

RENATA KOSIN

Czy jeśli straciłaś wszystko,  
masz jeszcze szansę, aby zacząć od nowa?

*Aleja  
Siódmego Anioła*

FILIA

RENATA KOSIN

*Aleja  
Siódmego Anioła*

---

---

FILIA

*Po życiu pełnym bezsensu i rozpacz,*  
*Zmieniony ręką boską w srebrnego anioła,*  
*W noc, która gwiazdą betlejemską straszy,*  
*Człowiek pewien przyfrunął tam, gdzie Dziecko woła.*

Czesław Miłosz, *Baśń wigilijna*

1.

---

Poranna rosa zmieniała się w szadź i skradła światu kolory. Spowiła go szczelnie mroźną półprzezroczystą bielą, aż stał się monochromatyczny. Na wilgotnych dotąd źdźbłach przekornie zielonej trawy i bezlistnych gałęziach drzew wyrosły lodowe igiełki i uformowały miniaturowe pióropusze. Jeżyły się od nich zwinięte w ruloniki brązowe liście i grudki błota wokół zmrożonych kałuż.

Smutny wcześniej krajobraz przywdział paradne szaty, by świat do reszty nie pogrążył się w późnojesiennej depresji. Mróz przypominał o czapkach, szalikach i rękawicach oraz karciał surowo tych, którzy go nie słuchali, ale dawał też wiele w zamian. Rozjaśniał rzeczywistość. Rozświetlał mrok, nie tylko ten powodowany wczesnym zmierzchem, ale też ten gnieżdżący się w sercach ludzi, w których zgasła potrzeba czekania na kolejny dzień. Podsycał resztki tłącego się w nich żaru, odwracał uwagę od tego, co go tłumilo, i rozpalał nową iskierkę nadziei. Nakazywał otwarcie szeroko oczu i dla nich niestrudzenie upiększał świat. Albo

ukrywał jego brzydotę, zamalowując okienne szyby grubym, lecz misternym ornamentem, przez warstwę którego można było jedynie odgadywać, czy wciąż jest dzień, czy też nadeszła już noc.

Natomiast na zewnątrz, zarówno w dzień, jak i w nocy, mróz rozsypywał wszędzie magiczne lodowe kryształki, które filtrowały na przemian ostatnie promienie jesiennego słońca, światło ulicznych latarni, to znów bladą poświatę księżyca. Migotały jak fałszywe diamenty na sukni panny młodej albo jak gwiazdy na rozpostartej nad światem anielskiej pelerynie, utkanej z mgły i ludzkich pragnień. Wszystko wokół skrzyło się i połyskiwało, oprószone szczerze efemerycznym brokatem, strojne i odświeżone, mimo że święta miały dopiero nadejść. Każdy kolejny dzień coraz mocniej nasiąkał jednak ich atmosferą, dawał złudzenie, że to prawie już, i ponaglał do przygotowań. Nadchodził czas oczekiwania. Dla jednych prawdziwie radosny, dla drugich mniej, a dla jeszcze innych wcale. Tak działo się co roku, a zaczynało niezmiennie w pierwszy mroźny poranek, którego nie można było już nazwać jesiennym, niezależnie od tego, co próbował udowodniać kalendarz.

Tamten lutowy świt, który Julia mimowolnie zachowała w pamięci, wyglądał podobnie, nie zwiastował jednak zimy, lecz jej schyłek. Nie był też promienny, nie rozświetlał wewnętrznego ani zewnętrznego mroku i nie zaczynał niczego, choć może powinien. Dla niej miał się stać początkiem końca, a niespodziewanie przeobraził się w interludium między „przedtem” a „teraz”, niedostatecznie donośne, by zagłuszyć to, co było wcześniej, jednak wystarczająco intensywne, aby niespokojne i chaotyczne nuty przeniknęły do jej nowego życia.

Powołała je do istnienia w chwili, gdy na jej policzku, a potem dłoń spadła kropla porannej rosy i potoczyła się samotnie, jakby chciała wyręczyć w tej roli łzę uwięzioną pod powieką. A potem zastygła w oczekiwaniu na gest, który przesądzi o jej nietrwałym losie. Może właśnie dlatego Julia nie starła jej z dłoni, pobielającej nie tylko z powodu zimna. Długo wpatrywała się w drżący wodny paciorek o lśniącym licu, w którego krzywym zwierciadle odbijał się maleńki fragment rzeczywistości. Ten, który musiał jej od tego momentu wystarczyć.

Świat odbity w kropli rosy właśnie wtedy stał się JEJ światem.

Początkowo takim, jakim go ujrzała, gdy się nagle pojawił, ale niebawem zaczął się zmieniać. Kryształicznie czysta granica maleńkiej przestrzeni nieustannie traciła swoją przejrzystość. Z każdym dniem mętniała jak oszronione szkło i okrywała burym cieniem wszystko, co znajdowało się w środku. Nowy świat Julii stopniowo, lecz systematycznie zamarzał, nie bacząc na zmieniające się pory roku. Niczym pałac Królowej Śniegu. A Julia mimowolnie stawała się jego częścią.

Przejmujący chłód wnikał do jej wnętrza milionem igiełek, zmieniając w sopol lodu również serce. Powoli traciła z oczu powód, dla którego miałyby nadal bić, a szron, który osiadał na granicy jej nowej teraźniejszości, przesłaniał to,

co było dalej, poza zasięgiem jej wzroku, i przede wszystkim myśli. Dlatego czasem odnosiła wrażenie, że wszystko, również ona sama, zastyga w bezruchu. Jednak gdy tylko godziła się z myślą, że to koniec, nieznany impuls przywracał jej życiu nieśpieszny, aczkolwiek regularny rytm.

Pozwoliła uwięzić się w szklanej kuli wraz z maleńkim wycinkiem krajobrazu oprószonym sztucznym śniegiem, z naprędcie skonstruowaną rzeczywistością, która od tego momentu musiała jej wystarczyć. W zamian zyskała złudzenie, że należy tylko do niej. Czasem tylko zdarzało się, że ktoś tym jej nowo powstałym światem niespodziewanie potrząsał, powodując krótkotrwałą zamieć. Niezależnie od jej woli czy potrzeby.

– Które piętro, proszę pani?

Z letargu wyrwał ją taki właśnie impuls – niechciany jak wszystkie poprzednie. Ktoś wzbil obłok białego pyłu w jej szklanej kuli, zaproszył nim i tak już piekące oczy. Przegonił myśli i wspomnienia.

Podniosła nadal niezbyt przytomny wzrok na mężczyznę. Nie zauważyła go, gdy wchodził za nią do windy. Zastygł teraz z dłonią zawieszoną nad przyciskami znajdującymi się najwyżej, z wyczekująco zmarszczonym czołem i wymownie uniesionymi brwiami. Zza postawionego kołnierza płaszcz wyzierał niewielki fragment uprzejmego uśmiechu, potwierdzonego przez ściągnięte nim kurze łapki wokół oczu, ledwie widoczne zza zaparowanych okularów.

On też teraz niewiele widzi, pomyślała bezwiednie. Jednak gdy tylko ze szkła zniknie mokra mgiełka, wszystko wróci do normy, uspokoiła samą siebie już po chwili.

– Zdaje się, że jedenaste, prawda? – Zdjął okulary, by je przetrzeć końcem szalika. Zamrugał gwałtownie, strzepując z rzęs wilgoć, i spojrzał wprost na nią. Na jego twarzy malowało się taktowne zaciekawienie.

Skinęła głową bez słowa i od razu odwróciła wzrok. Dobrze wiedziała, że najbardziej lakoniczna odpowiedź wywołałaby następne, z pozoru niewinne pytanie o pogodę albo wywieszzone na tablicy ogłoszenie o wymianie podzielników ciepła. A potem lawinę kolejnych, już bardziej osobistych. Jeżeli nie dziś, to jutro, pojutrze lub za miesiąc. W ramach międzysąsiedzkich dobrych relacji, bez których Julia spokojnie mogła się obyć. A potem być może zrodziłoby się coś jeszcze, czego potrzebowała jeszcze mniej. Już sama myśl o flircie, nawet najbardziej niewinnym, przyprawiała ją o niemiły dreszcz.

Tak było za każdym razem, kiedy spotykała go w windzie. Zamiast, jak wszyscy inni, patrzeć w sufit, drzwi lub podłogę i liczyć w myślach mijane piętra, bezczelnie gapił się na nią i szukał pretekstu do zaczepki. Nawet wtedy, gdy towarzyszyły mu inne kobiety. Roześmiana pulchna brunetka, wiecznie nadąsana ruda z miniaturowym pieskiem w różowym kubraczku albo eteryczna blondynka – zawsze ufnie przytulona do rękawa jego modnie skrojonego płaszczu. One też

niekiedy jej się przyglądały, pewnie jako potencjalnej rywalce, którą nie miała nigdy zostać. Nie zamierzała jednak wyprowadzać ich z błędu. Nie dbała o to, co o niej myślały.

Początkowo śmieszyły ją rzucane ukradkiem przez kobiety podejrzliwe spojrzenia, ale z czasem zrobiło się jej ich żal. Bo raczej żadna z nich nie wiedziała o istnieniu pozostałych. Ani o tym, że nie jest tą jedyną w życiu mężczyzny, który od czasu do czasu zapraszał do swojego mieszkania, z pewnością tak samo eleganckiego i zadbanego jak on. Wydawał się typowym trzydziestoparoletnim singlem myślącym tylko o zaspokajaniu swoich potrzeb. Wiecznie spragniony rozrywek współczesny hedonista, dla którego najwyższą wartością jest jego własne ego. Zadowolony i spełniony w swojej roli, na swój sposób szczęśliwy, przynajmniej we własnym mniemaniu. Całkowite przeciwieństwo Julii. Nie zazdrościła mu tego ani przez chwilę. Nie chciałaby jego życia ani beztroski, z jaką je wiódł. Nie nachodziła ją pokusa, by go naśladować, choć nie miała wątpliwości, że to mogłoby być przyjemne. Zajmowanie się tylko tym, co „tu i teraz”, bez roztrząsania przeszłości i zastanawiania się nad przyszłością. Wiedziała, że na to wszystko nie zasłużyła. Jej przeszłość zbyt mocno do niej przywarła, a przyszłość mogła nigdy nie nadejść.

Gdy wysiadł w końcu na swoim piętrze, wypuściła z płuc zbyt długo przetrzymywane powietrze. Jeszcze większą ulgę poczuła, gdy przekroczyła próg swojego mieszkania, jedyne miejsce, w którym czuła się bezpieczna. Całe było niewiele większe od jej dawnego salonu, ale spełniało wszystkie warunki, by mogła je nazywać swoim domowym zaciszem. Jasny pokój z ascetyczną wnęką kuchenną i nieco większą sypialniano-garderobianą, mikroskopijna łazienka oraz przedpokój, gdzie mieścił się tylko wieszak na wierzchnie okrycia i stojak na buty, tworzyły spójną całość. Tak jak skromny wystrój wnętrza.

Komoda z dwiema szufladami, półka na książki, ciemnoszara sofa z jedną tylko poduszką do podpierania pleców, stolik, miękki dywan i lampa podłogowa z białym abażurem wyznaczały strefę wypoczynku. Krótki ciąg prostych szafek i najpotrzebniejszych sprzętów – część kuchenną, natomiast cała reszta i jej funkcje były kwestią umowną, wyjątkowo łatwą do ustalenia, ponieważ Julia w dniu, w którym się tu wprowadziła, omówiła to wyłącznie sama ze sobą. Podobnie jak wszystkie inne sprawy związane z egzystencją na trzydziestu dwóch metrach kwadratowych, będących obecnie jedynym skrawkiem świata, który miała na wyłączność i do którego nikt prócz niej nie miał wstępu.

Mimo to za każdym razem była zaskoczona witającą ją w mieszkaniu ciszą. Na jedenaste piętro docierało niewiele dźwięków z ulicy. Nie wyręczały ich też te dochodzące zza ścian. Czasem tylko stłumione i trudne do rozpoznania odgłosy udowadniały współistnienie innych mieszkańców wieżowca – anonimowych jak ona. I to było właśnie największą wartością mieszkania w tak dużym ludzkim

skupisku, przywilejem życia w mrówkowcu. Pozorna bezimiennosc i rzeczywista samotnosc, mimo tak wielu ludzi wokół. Istnieli, ale jakby ich nie było.

Julia nie znała swoich sąsiadów, niektórych nawet z widzenia, bo natykając się na kogokolwiek, spuszczała zwykle wzrok. Niewiele wiedziała nawet o tych najbliższych, również dlatego, że widywała ich zbyt rzadko. Zapewne tak jak ona mieszkali samotnie i nie szukali towarzystwa lub też nie mieli na nie czasu.

Mężczyzna z naprzeciwka wychodził na ogół o świcie, a wracał późno. W dodatku przemykał zawsze chyłkiem, a na pozdrowienie odpowiadał ledwie słyszalnym bezkształtnym mruknięciem, nie odwracając nawet głowy. Natomiast dziewczyna mieszkająca obok pojawiała się przed swoimi drzwiami czasami rano, a innym razem wieczorem, jednak wtedy, gdy mężczyzna wracał, ona właśnie wychodziła lub na odwrót. Mocny makijaż i ekstrawagancka fryzura oraz widoczny niekiedy pod rozpiętym płaszczem połyskliwy strój zdradzały charakter jej zajęcia, podobnie jak fakt, że w ciągu dnia odrabiała zaległy sen.

Gdy pewnego popołudnia wychyliła się z mieszkania, by zwrócić Julii list wrzucony przez pomyłkę do jej skrzynki, była w piżamie, puchatych kapciach z uszami królika i szlafroku w różowe chmurki. Pozbawiona makijażu twarz okazała się zaskakująco niewinna w porównaniu z tą wieczorną, bo prawie dziecięca. Ten niespodziewany widok, nieujarzmione lakierem jasne włosy dziewczyny rozsypane wokół zaróżowionych od snu policzków, usta rozchylone w nieśmiałym uśmiechu i wahanie malujące się w oczach o kształcie i kolorze miętowych karmelków dziwnie Julię rozczuliły. Do tego stopnia, że na chwilę zaniemówiła. Przez zbyt długi moment trwały obie w krępującym milczeniu, wreszcie dziewczyna odezwała się pierwsza.

– Pani ma na imię Julia, prawda? – Wyciągnęła rękę z listem, który wcześniej trzymała w kieszeni. – Przykro mi, ale zorientowałam się, że to nie do mnie dopiero, gdy zajrzałam do środka. – Odwróciła kopertę rozdartą stroną do góry. – Bardzo przepraszam – dodała ze skruchą w głosie. – To dlatego, że mam na imię Julita i nazwisko też na „em”. Ale obiecuję, że następnym razem, to znaczy gdyby listonosz znów się pomylił, będę bardziej uważna.

– Nie szkodzi. – Julia wzięła od niej list i, nie oglądając go, wsunęła do torebki. Dyskretnie uwolniła z płuc powietrze, a wraz z nim przelotny lęk spowodowany tym, że usłyszała swoje imię i że została rozpoznana... – To nic ważnego. Nie ma się czym przejmować – skwitowała szybko, by zatuszować napięcie. – Dziękuję pani.

– Julita. Mam na imię Julita, bez „pani”.

Julia uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Dziękuję – powtórzyła i wolno zamknęła za sobą drzwi, zostawiając dziewczynę na korytarzu samą.

Nie musiała sprawdzać, od kogo jest odzyskana korespondencja, ponieważ to



wiedziała. Na jej nowy adres przychodziły wyłącznie powiadomienia ze spółdzielni. Cała reszta trafiała do skrytki na poczcie. Tak zdecydowała na początku i nie zamierzała tego zmieniać. Ani tym bardziej wyjaśniać sąsiadce.

Wspomnienie tamtego zdarzenia sprawiło, że Julia sięgnęła do torebki, którą wcześniej porzuciła na komodzie w przedpokoju. Przewiesiwszy ją sobie znów przez ramię, wydobyła plik kopert. Ważyła chwilę w dłoniach najgrubszą, pozostałe odłożyła na kuchenny blat. Wreszcie rozerwała papier. Wyjęła i uformowała w wachlarz plik fotografii. Przyglądała im się przez chwilę, przekładając wolno jedną za drugą. Jednocześnie przemieszczała się bezwiednie w stronę prowizorycznej garderoby ukrytej za wąskim sypialnianym łóżkiem. Spod półek, drążków i wieszaków, osłoniętych kotarką z cienkiej tkaniny, wyciągnęła wytarte na rogach pudełko po butach. Uchyliła lekko pokrywę i wsunęła pod nią zdjęcia tak, by nie oglądać reszty zawartości. Zaraz potem wepchnęła pudełko w najodleglejszy kąt szafy obok kilku innych, mniejszych i większych od niego, opakowanych w błyszczący papier. Na te pozostałe nawet nie spojrzała. Podniosła się z klęczek i opadła ciężko na łóżko przykryte śliską grafitową narzutą, przyciskając do piersi torebkę.

Zapatrzyła się w ścianę naprzeciwko, nagą i jednolitą, tak jak jej umysł wyzuty w tym momencie z wszelkich treści. Zbawienny trik, który opanowała po wielomiesięcznym treningu, pomagał jej przetrwać podobne chwile. Blokował większość myśli i uciszał emocje. Zamrażał wszystkie jak srogi oddech Królowej Śniegu. Jednak mentalny chłód i kojący bezruch wnętrza nie wystarczał, by poskromić ciało. Ono nadal zbyt łatwo poddawało się znajomym objawom paniki. Mimo starań wciąż nie potrafiła ich okiełznać. Gdy tylko usiłowała zapanować nad drżeniem rąk, kolan i warg, szarpanych dodatkowo przyśpieszonym oddechem, ogarniały ją trudne do wytrzymania duszności, oblewała fala gorąca, która topiła złodowaciałe wnętrze, choć przed oczami wciąż panowała śnieżna zamieć. Zaciskała je w oczekiwaniu i nadziei, że w końcu wszystko minie, a jej świat zamknięty w szklanej kuli przestanie wirować. Niestety, czas, w którym wszystko wracało do normy, zamiast się kurczyć, rozlewał się jak mętna woda z topniejącej bryły lodu.

Wierzchem dłoni otarła pot skroplony na wciąż pulsujących skroniach. Mankiet płaszcza szorstki i mokry od rozpuszczonego śniegu musnął jej rozpalone policzki, przypominając, że nadal ma na sobie ciepłe wierzchnie okrycie. Pochyliła głowę i spojrzała na buty, pod którymi zdążyła się już pojawić błotnista kałuża, ale nie miała siły ich zdjąć. Zdrętwiałe palce ześlizgiwały się z zapiętych ciasno guzików okrycia. Zdołała ściągnąć jedynie z głowy czapkę i rozplątać szalik. Oddychała głęboko, owijała ciasno jego koniec wokół dłoni i bezgłośnie liczyła mijające sekundy, usiłując nad sobą zapanować.

Z odrętwienia wyrwało ją łaskoczące wibrowanie torebki. Odsunęła ją od

siebie na długość ramion, zdziwiona, że ciągle ją do siebie przyciska, i wysypała zawartość na łóżko. Odnalazła telefon, ale go nie odebrała. Długo wpatrywała się w wyświetlacz, zanim odrzuciła połączenie, tak jak wszystkie poprzednie. Niestety, telefon już po chwili rozdzwonił się na nowo, a odblokowany przypadkowo dźwięk ostro przeciął ciszę i wtargnął brutalnie do jej uszu. O dziwo, nie zirytowało jej to. Wręcz przeciwnie, pozwoliło w nieoczekiwany i gwałtowny sposób powrócić do rzeczywistości. Błyskawicznie zebrała się w sobie i tym razem odebrała.

– Przykro mi, ale nie zmieniałam zdania. Z powodów, które podałam panu wczoraj, przedwczoraj i, o ile się nie mylę, jakiś tydzień temu, nie mogę przyjąć pańskiego zlecenia – rzuciła oschle bez żadnych wstępów, nie dopuszczając rozmówcy do głosu. – Do świąt zostało niewiele czasu, a ja mam inne zobowiązania. – Urwała i słuchała przez chwilę. – Rozumiem, ale proponuję, by zgłosił się pan do mnie w przyszłym roku, tym razem odpowiednio wcześniej, o ile oczywiście nadal będzie pan chciał skorzystać z moich usług. – Wpadła mu w słowo, siłąc się na uprzejmie profesjonalny ton, ale też nie kryjąc pobrzmiewającej w nim irytacji. – Do widzenia.

Zdecydowanym gestem nacisnęła czerwoną ikonkę. Dopiero wtedy przełknęła ślinę, a wraz z nią dławiące ją w gardle kłamstwo. Po raz kolejny podczas rozmowy z natrętnym klientem rozminęła się z prawdą. Nie miała innego wyjścia ani bardziej wiarygodnej wymówki, a nie mogła przecież zdradzić prawdziwej przyczyny, dla której odmówiła przyjęcia zarówno tego zlecenia, jak i większości pozostałych. Dekorowanie witryn sklepowych było nie tylko głównym źródłem jej dochodów, ale też pasją, niestety nie dotyczyło to świątecznych wersji wystaw. Miała swoje powody, by nie lubić świąt Bożego Narodzenia i trzymać się z daleka od wszystkiego, co się z nimi kojarzyło. Nawet kosztem utraty klientów.

Pozbierała rozrzucone na łóżku drobiazgi, na powrót włożyła je do torebki, a potem pozbyła się wreszcie płaszcza. Odniosła wszystko na miejsce, zdjęła buty i bosy podeszła do okna. Oparła dłonie o parapet, a czołem dotknęła chłodnej szyby. Zapatrzyła się w rozciągającą się przed nią przestrzeń.

Miasto wyglądałoby jak starannie wykonana makieta, gdyby nie monotonia barw spowodowana porą roku. Oszronione dachy domów tworzyły niemal jednolitą płachtę z ulicą i sinym niebem, upstrzonym tylko tu i ówdzie ruchomymi ciemnymi kropkami ptactwa. Horyzont i wszelkie kontury zacierał dym unoszący się z kominów, wymieszany z mgłą. Drzewa słaniały się lekko, smagane mroźnym powietrzem, i co rusz rozsiewały wszędzie osypujące się z gałęzi lodowe ziarenka. Po mikroskopijnych z jej perspektywy ulicach przemykali skuleni z zimna przechodnie, a samochody sunęły po lśniących oblodzonych arteriach o wiele ospalej niż zwykle. Świat – nie tylko ten widoczny na zewnątrz – spowolniła nadchodząca wielkimi krokami prawdziwa zima, mająca przynieść własne surowe zasady.

Widok za oknem był, obok anonimowości i ciszy, największą wartością miejsca, które Julia wybrała sobie do życia. Lubiła to, ale tylko za dnia. O zmierzchu opuszczała rolety i włączała radio. Zagłuszała nieprzyjemny szum w uszach, a w głowie niechciane wspomnienia, czyli wszystko, co zwykle składało się na zjawisko określane przez niektórych samotnością. Dla niej to poczucie byłoby wyłącznie łaską, gdyby była jej dana. Rozpraszał je irytujący spektakl, który rozgrywał się za oknem każdego wieczoru i trwał, dopóki nie przegnał go pierwszy zwiastun poranka.

Nocne miasto niezależnie od pory roku przeobrażało się w bożonarodzeniową choinkę, skrzącą się od niejednorodnych lampek. Niekończące się święto miejskich świateł i barw wiecznie dominowało czas, który powinien kojarzyć się ze spokojem i odpoczynkiem od dziennego zgiełku. Natomiast Julii widok za oknem niezmiennie kojarzył się z dniem, w którym utraciła wewnętrzny spokój już na zawsze.

Oderwała dłonie od parapetu i opuściła rolety. Pociągnęła za sznurek zwisający z abażuru lampy i gdy tylko rozbłysło żółte światło, zapaliła wszystkie pozostałe, oprócz górnego. Nie lubiła go. Zbyt wiele odsłaniało.

Nastawiła ekspres do kawy i z rolką ręcznika papierowego w ręku poszła do sypialni, by wytrzeć wreszcie z podłogi brzydką plamę, która zaczynała wsiąkać w drewniany parkiet. Zanim się pochyliła, kątem oka dostrzegła niewielki jasny prostokąt odcinający się od grafitowej narzuty na łóżku.

Podniosła bladobłękitną wizytówkę.

– *Meble stylowe. E. Hebner* – przeczytała na głos. – *Aleja Siódmego Anioła?*  
– Zaskoczona wpatrywała się w adres. Dotąd nie zwróciła na niego uwagi, a powinna, bo nazwa ulicy była niezwykła. Nigdy wcześniej się z nią nie zetknęła, a przecież zdążyła już całkiem nieźle poznać miasto, w którym zamieszkała przed prawie dwoma laty. Skoro więc ulica była niepopularna, sklep przy niej zlokalizowany nie mógł dobrze prosperować. Nic dziwnego, że właściciel był w tak wielkiej desperacji.

Zamyśliła się. Nie wierzyła w znaki, ale w szczęśliwe zbiegi okoliczności już tak. Dlatego postanowiła dać szansę właścicielowi bladobłękitnej wizytówki. Nie tylko ze względu na tajemniczego Siódmego Anioła, ale na coś jeszcze, czego nie umiała na razie sprecyzować.

Rozejrzała się w poszukiwaniu telefonu, który odruchowo gdzieś odłożyła. Dopiero po kilkunastu minutach znalazła go w kieszeni płaszcza. Zerknęła raz jeszcze na wizytówkę, po czym szybko wybrała numer.

– Dobry wieczór. Mówi Ju... Tak, to ja. – Nabrała w płuca powietrza, pozwalając rozmówcy na krótki słowotok składający się głównie z fraz, jakie słyszała w trakcie wszystkich poprzednich rozmów. – Nie zmieniłam zdania, ale pomyślałam, że zanim podejmę ostateczną decyzję, zobaczę pana sklep. Może być

jutro o jedenastej? W porządku. Przyjadę. Tak, na pewno.

2.

---

Aleja Siódmego Anioła okazała się niezbyt długą uliczką, będącą w zasadzie przedłużeniem jednej z alejek wynurzających się z pobliskiego parku. Być może niegdyś stanowiła jego część, obecnie zagarniętą przez miasto i zagospodarowaną w sposób bardzo praktyczny.

Od reszty zieleńca różniła się tym, że pomiędzy zachowanym, nielicznym już drzewostanem usadowiło się kilkanaście niskich budyneczków, których styl nie pozostawiał złudzeń co do czasu powstania. Julia ze zgrozą spoglądała na rząd brudnych, przeszklonych pawilonów z zardzewiałymi ramami okien, napuszonych łuską starej farby i z równie jak one odrapaną elewacją w stalowoniebieskim, łososiowym, groszkowym lub niegdyś białym, a dziś szaroburym kolorze. Niektóre przypominały opuszczone baraki. Inne desperacko nawoływały jaskrawymi szyldami do odwiedzenia znajdujących się w nich sklepów z szerokim wachlarzem artykułów – począwszy od tych, z którejs już z kolei ręki, po bezcłowe za pięć

złoty, chemiczne, spożywcze i monopolowe. Niestety, brudne szyby wystawowe i panujący za nimi półmrok nie zachęcały – na przekór szydom – do skorzystania ani nawet wstąpienia na chwilę do środka, choćby tylko dla zabicia czasu, ale nakazywały omijać ponure przybytki z daleka. Okoliczni mieszkańcy musieli poddać się tej sugestii, ponieważ nigdzie nie było widać żywej duszy.

Julia najchętniej zrobiłaby to samo i czym prędzej wróciła na przystanek autobusowy, mieszczący się u wylotu uliczki. Zaczynała żałować, że posłuchała impulsu, który skłonił ją do przyjazdu w to dziwne miejsce, tak bardzo niepasujące do tego, co obiecywała wydrukowana na wizytówce nazwa. Z coraz mniejszym przekonaniem wypatrywała sklepu z meblami stylowymi pana E. Hebnera. Jeśli wyglądał podobnie jak wszystkie pozostałe, nie miała tu czego szukać. Doceniała wiarę mężczyzny w jej ponadprzeciętne umiejętności dekoratorskie oraz szanowała determinację, z jaką starał się namówić ją do współpracy, wydzwaniając do niej po wielokroć, ale wiele wskazywało na to, że będzie musiała mu uświadomić, iż nie jest cudotwórczynią. Nawet w czasie, który ze względu na specyfikę nadchodzących świąt tak bardzo sprzyjał czynieniu cudów.

W zasadzie już tylko po to zmierzała do celu. Żeby mimo wszystko dotrzymać słowa i rozproszyć mrzonki mężczyzny, któremu pochopnie dała nadzieję, jak się okazywało, przerażająco złudną. Perspektywa niezbyt przyjemnej rozmowy spowolniła jej kroki, a to dało okazję, by jeszcze uważniej przyjrzeć się otoczeniu, tak różnemu od tego, w jakim na ogół bywała. Zupełnie jakby zatrzymał się tu czas... tylko niestety w najgorszym momencie. Bo Julia nie wątpiła, że był też taki, w którym to miejsce wyglądało zupełnie inaczej.

Mimowolnie rozglądała się z coraz większym zainteresowaniem, usiłując odszukać jakiegokolwiek oznaki domniemanej dawnej świetności Alei Siódmego Anioła – tego, czym niegdyś była. Ku jej zadowoleniu nieliczna wcześniej roślinność zaczynała gęstnieć, przez co spacer zrobił się prawie przyjemny. Niestety, ostatni z mijanych pawilonów nie był sklepem meblowym, co ją nieco zbiło z tropu. Mimo to poczuła się zaintrygowana i postanowiła nie rezygnować z poszukiwań. Podciągnęła szalik, mocniej związała jego końce, a potem chuchnęła parokrotnie w dłonie i zatupała, żeby trochę się rozgrzać oraz strząsnąć z butów śnieg. Mroźne powietrze miło szczypało w policzki, a na ramiona i głowę sypał się śnieżny pył strącany z gałęzi drzew przez ptaki. Julia strzepnęła go z rzęs i wystającej spod czapki grzywki, i znacznie żwawiej ruszyła przed siebie.

Ulica coraz bardziej przypominała typowo parkową alejkę. Nie tylko dlatego, że skończyły się zabudowania. Nad popękany od mrozu asfaltem pochylały się wiekowe drzewa, które o innej porze roku łączyły się pewnie w zielony szpaler. Teraz tuliły się do siebie, splatając oszronione gałęzie, jakby chciały osłonić się wzajemnie przed chłodem.

Gdzieniedzie stały drewniane ławki. Julia przysiadła na jedynej, którą ktoś

wcześniej odśnieżył, i rozejrzała się, nadal zdezorientowana. Wyjęła z kieszeni wizytówkę i jeszcze raz sprawdziła adres. Nawigacja w telefonie informowała, że właśnie dotarła na miejsce, tymczasem przed sobą widziała jedynie parkowe zarośla. Naszła ją ochota, by jednak zawrócić i pewnie zrobiłaby to, gdyby nie poczucie obowiązku. Obiecała obejrzeć sklep przed podjęciem ostatecznej decyzji o przyjęciu bądź odrzuceniu zlecenia i zamierzała dotrzymać słowa. Prawda była taka, że właściwie już zdecydowała, jednak w dobrym tonie było poinformować o tym pana Hebnera osobiście, bo rozmowa telefoniczna byłaby w tej sytuacji nietaktem. Zwłaszcza że Julia była już tak blisko. Jedyne, co musiała zrobić, to w końcu odnaleźć ów nieszczęsny sklep.

Zostało jej kilkanaście minut do umówionej godziny spotkania, dlatego postanowiła rozejrzeć się jeszcze po okolicy, zanim zadzwoni do właściciela sklepu i poprosi o pomoc.

Ruszyła tam, skąd przyszła, by tym razem uważniej przyjrzeć się mijanym sztydom i budynkom. Pomyślała, że sklep mógł się znajdować na tyłach któregoś z nich. Mogła go po prostu przeoczyć, gdy przez chwilę szła zamyślona z zadartą głową, przyglądając się dostojnym koronom drzew i płaczącemu się między ich nagimi gałęziami ptactwu. Po namyśle skręciła w wyłożoną płytami ścieżkę, którą wcześniej minęła obojętnie, uznawszy, że wiedzie po prostu w głąb parku. Teraz na jej krańcu dostrzegła ładny, prawdopodobnie zabytkowy budynek, przypominający jeden z tych spotykanych w modnych uzdrowiskach słynących ze leczniczych wód. Ze względu na jego specyficzny charakter nie bardzo wierzyła, że mógłby mieścić sklep z meblami, ale wydał jej się na tyle interesujący, że postanowiła przyjrzeć mu się z bliska i sprawdzić, co się w nim znajduje.

Ku swojemu zaskoczeniu już po paru krokach natknęła się na powyginaną blaszaną strzałkę z nazwą sklepu, przymocowaną do grubego pnia drzewa. Natychmiast wydłużyła krok i już po chwili znalazła się na miejscu. Nie weszła jednak do środka. Z otwartymi ze zdumienia ustami wpatrywała się w zachwycającą bryłę uroczej budowli w stylu eklektycznym – z maleńką wieżyczką w części bocznej, ładną czerwoną dachówką, smukłymi kolumnkami wieńczącymi półokrągły taras i ogromnymi witrynami. Niestety, tylko frontowe wydawały się oryginalne, wykonane z pięknego ciemnego drewna; pozostałe wymieniono na nowe – we właściwym kształcie i kolorze, ale... z plastiku.

Za podzielonych szprosami szyb wyzierały poustawiane nieco bezładnie meble, przekrzywione abażury lamp i porcelanowe bibeloty o dziwnych kształtach. Nad oryginalnymi na szczęście drzwiami ze wspaniałym dwubarwnym witrażem zawieszono sztyd – niemal identyczny jak te na oddalonych o niespełna kilkaset metrów, pseudomodernistycznych pawilonach. Kolorowy i przeraźliwie krzykliwy. Niestety niezbyt skuteczny, skoro Julia musiała zadać sobie tak wiele trudu, by odnaleźć wskazany adres, a i tak ostatecznie trafiła tu przez przypadek.

W dodatku wciąż nie mogła uwierzyć, że był właściwy, mimo że nie powinna była mieć już wątpliwości. I teraz jeszcze bardziej niż przedtem miała ochotę uciekać, po krótkim poinformowaniu właściciela, że nie przyjmie zlecenia, bez tłumaczenia, którego pewnie by nie rozumiał. Tak, jak pewnie nie rozumiał, jaką krzywdę wyrządził budynkowi, w którym otworzył swój sklep przypominający rupieciarnię. Bo właśnie to zapowiadał jego widok z zewnątrz. Julia długo nie potrafiła się przemóc, by wejść wreszcie do środka, i pewnie stałaby tak w nieskończoność, gdyby drzwi nie otworzyły się nagle i w ich progu nie stanął elegancko ubrany, z wyglądu nieco młodszy od niej mężczyzna. Uśmiechnął się nieznacznie i zgrabnie sfrunął ze schodów.

– Hebner – przedstawił się i uściśnął podaną mu automatycznie dłoń. – Cieszę się, że udało mi się panią przekonać.

– O ile dobrze pamiętam, miał mi pan najpierw pokazać sklep, a dopiero potem ewentualnie przekonywać – odparła odrobinę zbita z tropu. Również dlatego, że wyobrażała go sobie jako kogoś znacznie starszego. Głównie przez sposób, w jaki dobierał słowa i formułował zdania podczas rozmów telefonicznych. W jego stylu mówienia wyczuwało się dystynkcję i staroświeckie maniery, które teraz zostały potwierdzone przez gesty. Mężczyzna znów skłonił się przed nią i, jedną ręką przytrzymując połę niedopiętej marynarki, drugą wykonał prawdziwie kordialny gest w jej kierunku, a potem w stronę mieniącego się urokliwie witraża w uchylonych teraz drzwiach sklepu.

– Wobec tego zapraszam serdecznie w nasze skromne progi. Zaraz wszystko pani pokażę i opowiem, co sobie zaplanowałem oraz jak to będzie wyglądało.

– Ale to chyba ja powinnam... ekhm... zaplanować, o ile oczywiście się podejmę... – zaczęła, lecz zaraz urwała. Bo przecież w ogóle nie zamierzała tego robić. Planowanie aranżacji czegoś, co nie miało potencjału, by stać się czymś nawet tylko odrobinę lepszym, ale nadal złym, było kompletnie bez sensu.

Mimo to ujęła podane jej ramię i pozwoliła się poprowadzić do środka. Mężczyzna popatrywał na nią dyskretnie, wciąż leciutko się uśmiechając. Wyglądał na bardzo zadowolonego. Zdawał się nie dostrzegać malującego się niewątpliwie na jej twarzy zniechęcenia lub też, co było bardziej prawdopodobne, dla własnego komfortu go ignorował. Z nadzieją i powściągliwie tonowanym zapalem w głosie mówił coś bez przerwy, a ona, zamiast słuchać, rozglądała się trwożnie po przytłaczającym i chaotycznym wnętrzu wypełnionym piętrzącymi się niemalże pod sufit różnymi meblami udającymi antyki. Mijani nieopodal wejścia, jak się domyślała, pracownicy sklepu – młody mężczyzna i kobieta w biurowej garsonce, pozdrowili ją uprzejmie, choć z dziwnym chłodem w oczach i głosie, po czym bez słowa wyjaśnienia zniknęli na zapleczu. Hebner odprowadził ich baczным spojrzeniem. Na jego twarzy odmalowało się małe niezadowolenie, czy też bardziej zawód, ale taktownie nie skomentował w żaden sposób ich



zachowania.

– Dlaczego wymienił pan część oryginalnych drewnianych okien na plastikowe? – spytała Julia, korzystając z faktu, że na moment zamilkł.

Rozłożył zastygłe wcześniej w połowie gestu ręce na znak bezradności.

– No cóż. Są ogromne i przez to kosztowne, dlatego muszę to robić stopniowo. Zacząłem od tych, które były w najgorszym stanie, ale myślę, że już w przyszłym roku uda mi się wymienić również pozostałe na bardziej nowoczesne i solidniejsze...

– Nie wierzę! – Mimowolnie podniosła głos i, obracając się na pięcie, wolno zatoczyła ramieniem krąg. – Naprawdę pan nie dostrzega, jaką krzywdę wyrządza temu wyjątkowemu miejscu?

– Ale przecież ja właśnie po to tu panią... – Wyraźnie zdezorientowany usiłował się tłumaczyć. Na jego twarzy tym razem odmalowało się zakłopotanie.

– Nawet jeśli przekonam pana do zachowania oryginalnych frontowych witryn i wymiany tylko trwale uszkodzonych elementów na identyczne, czyli drewniane, to nie przywróci to życia tym, których już nie ma. – Wskazała okna w odległej, bocznej części sklepu. – Jak można było coś tak pięknego wymienić na... plastik?

Radykalna zmiana wyrazu twarzy świadczyła o tym, że w końcu pojawił się sens jej zarzutów. Odchrząknął jeszcze mocniej zmieszany i potarł skroń.

– Są bardziej praktyczne. Nie wieje przez nie jak przez te stare, a wyglądają prawie jak drewniane.

– Prawie – mruknęła odruchowo, z już nieskrywanym sarkazmem.

– Proszę zrozumieć, renowacja tego budynku to nie tylko wymiana okien. Długo stał nieużywany i niemal wszystko tu wymaga remontu. To pociąga za sobą ogromne koszty. Podobnie jak utrzymanie i cała reszta, a sklep od dawna nie przynosi dochodu wystarczającego, by się nie martwić o jego przyszłość.

– Szczerze mówiąc, w ogóle mnie to nie dziwi. – Westchnęła trochę współczująco. – Nie dość, że niełatwo tu trafić, to niespecjalnie zachęca do odwiedzenia swoim wystrojem. Nie wspominając o ewentualnych zakupach.

– Ależ sama była pani łaskawa przed chwilą wspomnieć, że to wyjątkowe miejsce...

– To prawda, wyjątkowe i z ogromnym potencjałem, ale niekoniecznie na tego typu działalność. Skąd w ogóle tak niedorzeczny pomysł, by otworzyć tu sklep z meblami?

I do tego jeszcze tak tandetnymi, pomyślała, ale nie dodała tego głośno.

– Przeniosłem go tutaj z centrum. Niespodziewanie stałem się właścicielem tej nieruchomości, więc sama pani rozumie... – Znów zamilkł, tym razem zdeprymowany.

Nie rozumiała. Natomiast mężczyzna wyglądał tak, jakby skończyły mu się

przygotowane pewnie skrupulatnie argumenty i desperacko poszukiwał nowych. Współczuła mu, jednak to nie zmieniało faktu, że nie była w stanie pomóc. Domyślała się, że Hebner mógł otrzymać budynek w spadku, ale nie zamierzała o to dopytywać. Nie tylko przez grzeczność. Po prostu cała ta sprawa przestała ją interesować. Chciała jak najszybciej opuścić to miejsce i nie ciągnąć jałowej dyskusji. Nie wiedziała jednak, jak to zrobić, by nie urazić mężczyzny. Mimo fatalnych okoliczności poczuła do niego dziwną sympatię. Być może z powodu jego ujmującej powierzchowności i niecodziennych staroświeckich manier, którymi ją sobie zjednał już na początku spotkania. Nawet gdy wtedy jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Co znajdowało się tu wcześniej? – spytała właściwie tylko po to, by przerwać krępujące milczenie.

– Pijalnia wód i kawiarnia.

Uniosła brwi i mimowolnie się uśmiechnęła. Ucieszyła ją nieoczekiwana trafność jej pierwszego wrażenia. Pogratulowała sobie w myślach intuicji.

– To wiele wyjaśnia. – Pokiwała wolno głową. – Miejsce wydaje się do tego stworzone. Park wygląda uroczo nawet zimą, więc latem musi się tu kręcić wielu spacerowiczów.

– Być może kiedyś tak było, bo teraz po prostu tędy przechodzą, spiesząc się dokąds, albo wyprowadzają na spacer psy. Zaraz potem znikają. Dziś ludzie wolą się relaksować w centrach handlowych, popijać latte albo smoothie warzywne w designerskich kafeteriach... – Zawiesił głos i westchnął. – Chociaż właściwie przestali tu przychodzić, chyba zanim jeszcze takie powstały. – Zamyślił się. – Może wówczas, gdy coś się skończyło, po to, by zaczęło się inne, jak to w życiu bywa? Jedno odchodzi, by mogło przyjść drugie, lepsze albo gorsze, bo na to nie zawsze ma się wpływ. Tak czy inaczej kawiarnia przestała być dochodowa i została zamknięta wiele lat temu.

– Nie chcę być złym prorokiem, jednak wydaje mi się, że prędzej czy później ten sam los czeka pański sklep, jeśli nie zmieni pan jego lokalizacji, i to jak najszybciej, póki jeszcze nie zbankrutował. Wtedy zaprojektuję panu odpowiednią witrynę. Bo tutaj niestety nie bardzo widzę jej sens... Przykro mi.

– Rozumiem. – Lekko zadrżał mu głos. – Właściwie od początku podejrzewałem, że tak będzie. Potrzebowałem jedynie poczucia, że zrobiłem wszystko, by móc tu zostać. – Westchnął gorzko. – Bo prawda jest taka, że firma prosperowała całkiem nieźle, dopóki jej tutaj nie przeniosłem. Teraz widzę, że popełniłem błąd, ale istnieją ważne powody, dla których postanowiłem jeszcze zawalczyć. I nie chodzi mi wcale o widmo plajty, bo to wbrew pozorom wcale nie byłoby najgorsze. Liczyłem, że mimo wszystko da się jeszcze uratować coś dla mnie bardzo ważnego, i w pani pokładałem ostatnią nadzieję. Jak widać złudną – dodał ze smutkiem i zwiesił ciężko głowę.

Zauważyła, że zerka na nią dyskretnie spod zmrużonych powiek, sądząc, że tego nie widzi. Odniosła też wrażenie, że usiłuje grać na jej emocjach. Nie zamierzała temu ulegać.

– Obawiam się, że przecenił pan moje możliwości – odparła krótko i cofnęła się o krok.

To, czego oczekiwał od niej ten z pewnością zdesperowany i ogromnie uparty mężczyzna, było nie tylko niewykonalne, ale też pozbawione sensu. Nie wiedziała, o co tak naprawdę toczy się gra, skoro uzmysłowił jej jasno, że chodzi nie tylko o możliwość zatrzymania sklepu, ale nie miała wątpliwości, że wcześniej czy później skończy się fiaskiem. Powinna jak najszybciej mu to uzmysłwić i tym samym uchronić go przed poniesieniem kolejnych kosztów, które nie miały raczej szansy się zwrócić.

– Powiedziano mi, że jest pani najlepsza. W sklepach, w których zaprojektowała pani wystawy, obroty wzrosły nawet parokrotnie. A niektóre były w jeszcze gorszej kondycji niż mój, bo na skraju bankructwa. To pani je uratowała.

Miała rację. Tylko udawał, że się poddaje. Wcale nie zamierzał rezygnować i brnął, wyciągając teraz jak z rękawa kolejne karty przetargowe.

– Gruba przesada – odparowała.

Postanowiła hamować jego zapędy i robiła to, nie przestając się cofać w kierunku drzwi.

– Jeśli jest w tym tylko część prawdy, mnie to wystarczy. Nie mam już wiele do stracenia. Jeśli pani mi nie pomoże, wraz z końcem roku zamknę sklep. Mam jednak jeszcze cień nadziei, że uda się go ocalić. Intuicja mi podpowiada...

– Niestety, moja intuicja mówi mi coś całkiem przeciwnego – przerwała mu trochę zbyt ostro, bo zamarł z otwartymi ze zdziwienia ustami. – Nawet najwspanialsza, najbardziej zachwycająca witryna sklepu nie jest w stanie skłonić klientów do skorzystania z jego oferty, jeśli nie zdołają do niego trafić – dodała już nieco łagodniej. – A nawet ja mimo precyzyjnego adresu miałam z tym kłopot. Budynek stoi na uboczu, nie widać go z głównej alei. Jest co prawda strzałka, ale też ledwie widoczna, bo w niezbyt odpowiednim miejscu.

– Zdaję sobie z tego sprawę i podjąłem już pewne kroki, by to zmienić. Zainwestowałem w odpowiednią reklamę, tylko wciąż nie mam pojęcia, jak nakłonić ludzi, którzy się tu być może niebawem pojawią, do kupowania moich mebli! Liczyłem, że pani się to uda. Myślę, że o tej porze roku odpowiednio zaaranżowana witryna w klimacie *Opowieści wigilijnej* Dickensa mogłaby działać cuda.

– Dickens? Ale przecież to już było! I to zbyt wiele razy, w dodatku na wszystkie możliwe sposoby. Sądzi pan, że ktokolwiek jeszcze zachwyci się tak ograniczonym motywem?

– Ależ oczywiście, że tak! Pewne rzeczy nigdy się nie nudzą. Przecież zbliża

się Boże Narodzenie. Wszystko już sobie przemyślałem, na aukcji internetowej znalazłem nawet takie zmyślne urządzenie, małą maszynkę do produkcji sztucznej mgły.

– Mgły? – Zdumiała się.

– Przecież Londyn każdemu z tym właśnie się kojarzy. A w połączeniu ze sztucznym śniegiem i błękitną łuną...

– Maszynka produkuje też łunę? – Wpadła mu w słowo i bezwiednie parsknęła śmiechem.

– Kupiłem mnóstwo ledowych taśm, niebieskich i białych. Mam też gdzieś w sklepie lampę elektryczną w kształcie gazowej latarni. Trzeba tylko się zastanowić, jak odtworzyć realistycznie dziewiętnastowieczną londyńską uliczkę i wkomponować w nią postać Ebenezera Scrooge'a. Może taką wyciętą z kartonu? A oprócz niego któregoś z duchów świąt Bożego Narodzenia występujących w opowieści...

– Jednego? A dlaczegoż by nie wszystkich? – podchwyciła z udawanym entuzjazmem.

– Jednocześnie? Bo ja myślałem, żeby wymieniać je w odpowiedniej kolejności, dajmy na to, co parę dni. – Wciąż nie wyczuwał sarkazmu w jej głosie. Na przepełnionej nadzieją twarzy odmalowała się czysta ekscytacja. – Co pani o tym sądzi?

– Sądzę, że wobec tak szczegółowego planu nie jestem panu do niczego potrzebna.

– Liczyłem, że pomoże mi pani dopracować szczegóły i jakoś to wszystko zorganizować.

– Do tego nie potrzebuje pan mnie, ale kogokolwiek, kto dysponuje odpowiednią ilością wolnego czasu i parą sprawnych rąk. Bo ja zajmuję się w pierwszej kolejności projektowaniem witryn, a zdaje się w tym już mnie pan wyręczył. Nie widzę powodu, dla którego miałabym przyjąć za to honorarium. Przykro mi, ale nic tu po mnie.

Chciała się pożegnać, ale mężczyzna zamiast zwyczajnie oddać uścisk, pochwyił jej dłoń w obie własne i przytrzymał, patrząc Julii prosto w oczy, z niewyobrażalnym błaganiem.

– Przepraszam, może faktycznie trochę mnie poniosło z inwencją, ale to dlatego, że bardzo mi zależy. Chciałem tylko pomóc. Jest tak mało czasu. To oczywiste, że może pani urządzić wszystko wedle własnego uznania, z zachowaniem jedynie konwencji, o której wspomniałem.

– Opowieść wigilijna i dziewiętnastowieczny Londyn? – upewniła się, starając się wyrwać rękę ze zbyt mocnego uścisku, niestety bezskutecznie.

– Ale to chyba żaden problem, prawda? – Uśmiechnął się ujmująco. Zmienił taktykę. Oparł jej dłoń na zgięciu swojego łokcia i tym razem już delikatnie

przytrzymał. – Mamy tu mnóstwo pięknych przedmiotów. Może któryś panią zainspiruje?

Westchnęła cicho, ale dała się poprowadzić w głąb sklepu, uznawszy, że dalsze pertraktacje niewiele zmienią. Postanowiła dać mężczyźnie trochę czasu na ostudzenie emocji, z nadzieją, że sam zrozumie, jak wygórowane są jego oczekiwania, a plany pozbawione sensu. Towarzysząc mu, rozglądała się z umiarkowanym zainteresowaniem, jedynie z grzeczności poświęcając nieco więcej uwagi wskazywanym sobie przedmiotom. Niestety, nie tylko nie znalazła weny, ale poczuła, jak do końca ulatuje ta najbardziej mizerna z mizernych, która wciąż jeszcze w niej była, gdy przekraczała próg tego miejsca.

Nie miała nic przeciwko meblom stylizowanym ani tym bardziej epokom, których ducha miały oddawać. Uważała to za wypadkową gustu, indywidualnych potrzeb i zasobności portfela nabywcy. Mogły naśladować styl ludwikowski, biedermeier, art déco, modernistyczny czy jakikolwiek inny, o ile odwzorowany był rzetelnie, a przedmioty wykonane zgodnie z zasadami, ze szlachetnych materiałów: drewna, dobrej jakości tkanin, stopów metali, ceramiki, szkła czy kryształu. Tymczasem przed oczami miała głównie płytę wiórową, tani laminat, a nawet plastik pomalowany złotą farbą. I mimo że odkryła tu kilka perełek o wartości adekwatnej do ceny, zostały one stłamszone przez kicz i tandetę. Z niewiadomego powodu repliki antyków wykonane z prawdziwego drewna, politurowane czy fornirowane, ustawiono w najodleglejszej części salonu i wyeksponowano w taki sposób, że niełatwo było je dostrzec, a przede wszystkim docenić ich piękno. Julia z pewną nadzieją i tym razem rzeczywistym zainteresowaniem przyglądała im się przez chwilę, jednak szybko zdała sobie sprawę, że ze względu na gabaryty trudno byłoby je wykorzystać w aranżacji sklepowej witryny.

Hebner wreszcie dostrzegł i przyjął do wiadomości grymas rozczarowania i żalu malujący się na jej twarzy, ponieważ jego zapal znacznie przygasł.

– Jest jeszcze magazyn – zagadnął nieśmiało. – Przenieśliśmy tam wszystko, co zalegało zbyt długo na ekspozycji.

– Przykro mi, ale nie sądzę, by to cokolwiek zmieniło. – Uśmiechnęła się współczująco.

– Może jednak zechce pani chociaż rzucić okiem. – Patrzył na nią teraz niemal błagalnie. – Obiecuję, że jeśli i tam nie znajdzie pani niczego, co mogłoby panią przekonać, nie będę dłużej nalegał.

Zgodziła się. Miała nadzieję, że gdy obejrzy ten nieszczęsny magazyn, mężczyzna da jej w końcu spokój i pozwoli odejść.

W nieogrzewanym i ciemnym pomieszczeniu na tyłach sklepu królowały przede wszystkim kartony złożone na płasko i poukładane w stosy, folia do pakowania i zabezpieczona nią całkiem spora ilość mebli. Usunięcie ich

z ekspozycji wydawało się zasadne ze względu na wątpliwą urodę i jakość, o czym Julia przekonała się, gdy tylko odsłoniła kilka pierwszych z brzegu. Dlatego nie miała ochoty oglądać pozostałych.

– A tamto?

Zanim skierowała się do drzwi, wskazała jeszcze przeciwległy kąt pomieszczenia. Stało tam mocno zakurzone „coś”, co wyglądało na odwróconą tyłem szafę albo regał. W odróżnieniu od reszty niczym nie zostało przykryte, więc pewnie dlatego przykuło jej uwagę.

– To dawne wyposażenie małego gabinetu na zapleczu, w części z wieżyczką. Pochodzi jeszcze z czasów, gdy działała tu kawiarnia. Mam tam teraz swoje nowe biuro, wstawiłem do niego bardziej funkcjonalne i odpowiednie dla mnie meble, a stare wylądowały tutaj. Nie są oczywiście na sprzedaż, ale nie mam na razie pomysłu, co z nimi zrobić...

– Mogę zerknąć?

Jakby w odpowiedzi, włączył dodatkowe światło, wydobywając z przygnębiającego półmroku podniszczone sprzęty. Najwyższy okazał się regałem na książki, za nim stał drugi, identyczny, a na końcu Julia dostrzegła sporą komodę przypominającą dolną część kredensu. Podeszła bliżej, by lepiej się jej przyjrzeć. Wtedy zauważyła coś jeszcze – mały sekretarzyk z mnóstwem miniaturowych szufladek, bardzo elegancki i bogato zdobiony, w stylu prawdopodobnie secesyjnym, bo spod grubej warstwy kurzu wyzierały rzeźbione kwiatowe motywy. Obok stało pasujące do niego krzesło, drewniane, z oparciem z toczonych szczebelków. Wysunęła je delikatnie i cofnęła się kilka kroków, żeby z tej odległości obejrzeć znalezisko.

– Niezwykłe – mruknęła bardziej do siebie.

– Ostrożnie!

Hebner podtrzymał ją za łokieć, ponieważ poślizgnęła się, gdy zaaferowana wdepnęła w niewielką stertę śmieci poniewierających się po dawno niezamiatanej podłodze. Skorzystała z podanego jej ramienia, pochyliła się i od obcasa odczepiła, jak się okazało, kawałek papieru pakowego z nalepionym listem przewozowym firmy kurierskiej. Odruchowo przeczytała adres.

– Przedziwna nazwa ulicy – skwitowała mimochodem. – Dlaczego Siódmy Anioł, a nie pierwszy, drugi albo ósmy?

– Bo ósmego nie ma i nigdy nie było.

– Czy to znaczy, że te od pierwszego do siódmego istnieją? – Uśmiechnęła się, przewidując żart. Mina mężczyzny przez chwilę to właśnie sugerowała, ale nagle spoważniał.

– Na pewno istnieje sześć. Tak mówią, bo sam nigdy nie sprawdzałem, nie znalazłem dotąd na to czasu. Zachowały się podobno wszystkie, i to tutaj, w parku, z wyjątkiem siódmego, który gdzieś zaginął.

– Kiedy to się stało?

– Naprawdę nie zna pani historii parku z aniołami? Sądziłem, że każdy tutaj o niej słyszał.

– Nie. Właściwie jestem po raz pierwszy w tej okolicy i widziałam tylko ten skrawek zieleńca, który mijałam po drodze. Niestety, nie spotkałam ani jednego anioła. Nie wiedziałam nawet, że park tak się nazywa.

– Właściwie nieformalnie, bo tylko okoliczni mieszkańcy tak na niego mówią. Kiedyś, gdy był bardziej rozległy, przecinało go dokładnie siedem głównych alejek. Na początku każdej stał jeden anioł, ale każdy inny, bo też inne miał do spełnienia zadanie. Pierwszy był zatroskany, kolejny uradowany, następny, zdaje się, zasepiony, potem rozmarzony, zadumany, zagniewany, i na końcu rozmiłowany albo natchniony, bo co do tego nie było nigdy pewności. Pewnie przez to najczęściej nazywano go Siódmym Aniołem albo po prostu Zaginionym, bo w pewnym momencie zniknął. Alejki też z czasem w sporej części poznikały, zagarnęło je miasto. Anioły zostały przeniesione w głąb parku, z wyjątkiem ostatniego.

– Co właściwie się z nim stało?

– Nie wiadomo. Być może dlatego ulicę, przy której stał, nazwano jego imieniem. Kawiarnia, która się tu niegdyś mieściła, też miała w nazwie anioła, i to dużo wcześniej.

– Niezwykłe.

Julia nagle przypomniała sobie, co ją skłoniło do zmiany zdania i tym samym doprowadziło do sklepu. Właśnie Siódmy Anioł w nazwie ulicy. Podzieliła się tym spostrzeżeniem z Hebnerem.

– Myślę, że powinien pan umieścić nazwę ulicy na szyldzie. Jest tak klimatyczna, że nie potrzeba innej – dodała.

– Czy jeśli wezmę pod uwagę tę sugestię, zgodzi się pani zaprojektować witrynę? – zapytał z nadzieją w głosie.

Nie odpowiedziała od razu.

Ze zdziwieniem zanotowała własne wahanie. Podświadomie czuła, że nie sprawiła tego usłyszana przed chwilą historia, że stało się to nieco wcześniej. Prawdopodobnie w momencie, gdy wśród starych mebli wypatrzyła sekretarzyk.

– To zależy od tego, czy zgodzi się pan odejść od swojej koncepcji.

– Mam zrezygnować z *Opowieści wigilijnej*? – Był wyraźnie rozczarowany.

– To będzie niezmiernie trudne. Dickens, a właściwie Londyn, również ten już współczesny... – Zacisnął na chwilę usta. – Jest dla mnie szczególnym miejscem, wychowałem się na jego przedmieściach, mieszkałem tam przez większość życia.

– Odejście od Dickensa nie musi wcale oznaczać rezygnacji z dziewiętnastowiecznego Londynu w tle.

– Nie? Czyli byłby tylko Londyn, ale bez Ebenezer Scrooge'a?

– Londyn, ale zamiast Dickensa... William Blake.

– Bożonarodzeniowa wystawa inspirowana twórczością skandalisty i heretyka? – W jego słowach coś zazgrzytało.

– Był poetą wyklętym i niezbyt docenianym, zwłaszcza za życia, ale mimo wszystko londyńskim. A w jego dziełach, również tych malarskich, tłumnie pojawiają się anioły. – Podniosła trzymaną wciąż w rękach papier odczepiony od buta i postukała palcem w zapisany na nim adres. – Anioły – podkreśliła. – Cóż może być bardziej właściwego dla tego miejsca niż anioł na pierwszym planie sklepowej witryny?

– No nie wiem, te Blake'a są trochę mroczne. – Pokręcił głową z powątpiewaniem, wykazując się zaskakującą znajomością tematu, co w jakimś stopniu zaimponowało Julii. William Blake nie był zbyt popularnym twórcą, a przynajmniej nie tak, jak ten, którego mężczyzna wymienił w pierwszej kolejności. – I czy nie uważa pani, że anioły są tematem jeszcze bardziej trywialnym niż duchy z opowieści Dickensa? – dodał z lekkim przekąsem.

– Nie, jeśli zestawimy je z odpowiednimi rekwizytami.

Kiwnęła brodą w kierunku sekretarzyka. Hebner natychmiast zrozumiał, co ma na myśli, i w odpowiedzi wybuchnął śmiechem.

– Rozsypujący się grat na wystawie mojego sklepu ze stylowymi meblami? Nie zgadzam się!

– W porządku. Ma pan do tego prawo. Nie ma tematu.

Włożyła ręce do kieszeni płaszcza i zrobiła kilka kroków w stronę wyjścia.

– Ale... – zająknął się. – Zaraz, zaraz, czy to znaczy, że jeśli zgodzę się na wyeksponowanie w witrynie tego biureczka, pani zaaranżuje resztę?

– To mój pierwszy warunek. Drugi jest taki, że pracuję sama. Ani pan, ani nikt inny nie będzie ingerował w projekt. Przykro mi, ale takie są moje zasady zawsze w trakcie pracy, nie tylko dla pana.

– A mgła? I światełka?

Zastanowiła się chwilę.

– Nie mogę zagwarantować, że je wykorzystam, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Chwilę bił się z myślami.

– Zgoda – wydusił w końcu. – Jednak proszę, by wzięła pani jeszcze jedno pod uwagę. Hmm... Tak jak już wspominałem wcześniej, dysponuję nieco ograniczonym budżetem. Oczywiście to nie dotyczy pani honorarium, znam stawki i jestem na nie przygotowany, ale jeśli chodzi o rozmach przedsięwzięcia, niestety nie możemy pozwolić sobie na zbyt wiele.

– Na rozmach nie możemy pozwolić sobie również ze względu na czas. Zostało nam go naprawdę niedużo. Przygotuję ofertę i przedstawię ją panu w ciągu trzech dni. A do tego czasu proszę się jeszcze zastanowić, czy to naprawdę ma



sens. Bo ja, szczerze mówiąc, wciąż nie jestem co do tego przekonana i zadania podejmuję się tylko na pana odpowiedzialność. Dlatego ze względu na ryzyko niepowodzenia ostateczna decyzja należy właśnie do pana.

3.

---

Wstała tylko na chwilę, by zasłonić okno i dolać sobie wina. Potem wróciła do komputera. Upiła jeden mały łyk i odstawiła kieliszek. Ze zmarszczonym czołem zapatrzyła się w purpurowy płyn kołyszący się jeszcze przez chwilę za szkłem zmatowionym od częstego dotyku i wciąż rozgrzanym ciepłem jej dłoni.

Pogrążona w myślach przegapiła zmierzch. Zorientowała się, że jest już ciemno dopiero wtedy, gdy za oknem rozbłyły światła i rozległą ciepłą łuną zabarwiły część pokoju na pomarańczowo. Straciła poczucie czasu, kiedy długo i intensywnie wpatrywała się w zakurzone biurko widniejące na monitorze laptopa, usiłując wykrzesać z siebie chociaż cząstkę emocji i namiastkę dreszczy, które poczuła w sklepowym magazynie na jego widok.

Jak zawsze zaufała intuicji. To właśnie ona skłaniała ją do przyjmowania zleceń pozornie niemożliwych do realizacji i teoretycznie skazanych na niepowodzenie. Nigdy dotąd przecucia jej nie zawiodły i wszystkie projekty

kończyły się sukcesem, dlatego uwierzyła, że tak będzie i tym razem. Lub też bardzo chciała w to wierzyć. Sekretarzyk miał stać się dla niej iskrą inicjującą to właściwe już olśnienie, inspiracją, zapalnikiem dla reszty wizji. Miał natchnąć do działania. Miał pomóc jej w odnalezieniu nieistniejącego dotąd w jej mniemaniu sensu przyszłej wystawy w sklepie pana Hebnera, tymczasem uparcie odmawiał współpracy. Nie chciał niczego podpowiedzieć, mimo że w zapuszczonym magazynie sklepu bez żadnej zachęty sączył do podświadomości Julii ciche obietnice. Teraz milczał niczym opuszczony i równie mocno zapuszczony grób. Jakby warstwy wiekowego brudu przysłoniły również jego domniemany potencjał.

Wieloletni kurz osiadł na nim jak rumieniec wstydu na policzkach speszzonej panny w odpowiedzi na zbyt śmiały komplement lub pąs zakłopotania mężatki, która, zagubiona w szarej codzienności, wyszła z wprawy w byciu olśniewającą. Biurko, którego od dawna nikt nie potrzebował, miało jeszcze mniej powodów, by kogokolwiek zachwycać. A wrażenie, jakie wywarło na Julii, mogło być jego ostatnim tchnieniem zawieruszonym w zakamarkach zakurzonych szuflad. Kolejnego mogło już nie być.

Dlatego jego widok powodował już tylko frustrację, podobnie jak pomysł z wykorzystaniem aniołów jako motywu przewodniego. Julia właściwie od początku nie myślała o tym poważnie, a pragnęła jedynie zasugerować Hebnerowi, że ma w głowie wstępny plan, by odwieść go od pomysłu z Dickensem w roli głównej. Tymczasem prawda była taka, że nie istniał żaden, nawet najbardziej mglisty plan, i szansa, że to się zmieni, malała z każdą kolejną sekundą. Niewinna półprawda przeobrażała się w zwyczajne kłamstwo, które mogło ściągnąć na głowę Julii nieprzyjemności. Bo jeśli nic się nie zmieni, będzie musiała wycofać się ze złożonej, jak się okazywało – nazbyt pochopnie, obietnicy.

Zdesperowana, w poszukiwaniu innego źródła inspiracji zaczęła przeglądać swoje wcześniejsze, zbliżone tematycznie projekty, jednak i to na niewiele się zdało. Przypomniało jej jedynie ten, od którego wszystko się zaczęło. Zupełnie niepotrzebnie, bo powstał w czasach, do których nie lubiła wracać pamięcią.

Znalazła się wówczas na początku zupełnie nowej drogi. Z jedną tylko walizką przybyła do obcego miasta, by zacząć wszystko od początku, z czystą kartą, ale i bez planu na przyszłość. Nawet tę najbliższą, bo nie miała dokąd pójść. Dopiero gdy porządnie przemarzła na dworcowej ławce, zdecydowała się wstąpić do pobliskiej galerii handlowej, napić się czegoś gorącego i pomyśleć o noclegu w niedrogim hotelu. Miała co prawda dość pieniędzy na spokojną i w miarę dostatnią paromiesięczną egzystencję, postanowiła jednak gospodarować nimi ostrożnie. Była przecież na początku, jak mniemała, długiej drogi i wciąż nie miała pojęcia, dokąd ją ona zawiedzie. Na pewno wiedziała jedynie to, że nie może już zawrócić.

Dlatego poddała się losowi, który podpowiedział pierwszy zakręt w jej

całkiem nowym, dopiero co wyklutym życiu, i wskazał ogłoszenie przyklejone do szyby mijanego sklepu. Szukano ekspedientki, a Julia spełniała wszystkie niezbyt wygórowane wymagania. Nie zniechęciła jej nawet analogiczna do nich pensja, za to ucieszyła informacja, że pracownica, którą miałyby zastąpić, oprócz stanowiska zwalnia też niewielkie mieszkanie na jedenastym piętrze wieżowca, zaledwie dwa przystanki autobusowe od galerii.

Od razu zdecydowała się je wynająć. Miało być tymczasowe, ale do Julii szybko dotarło, że zostanie w nim na dłużej. Pasowało idealnie do jej aktualnego stanu ducha i kolejnego życiowego zakrętu, na jakim się znalazła. Bo w sklepie pracowała krótko, a za jego ladą nie przestała nawet jednego dnia, o czym znów zdecydowała nie ona, ale przypadek, który przesądził o jej dalszym losie.

Pierwszy dzień w nowej pracy zaczął się nietypowo, ponieważ poproszono ją o pomoc przy zmianie ekspozycji wystawowej, a z powodu nieprzewidzianego zamieszania pozostawiono z tym samą. Wystarczyły trzy godziny, by uporała się z zadaniem. Zamiast rozpakować jedynie rekwizyty, tak jak jej polecono, odruchowo wykonała całą resztę. Nie znając planów projektanta, rozminęła się z nimi całkowicie, a jej samowola wywołała jego głębokie oburzenie. Za to kierownika sklepu wprowadziła w euforię, gdy przed witryną ustawił się tłum gapiów, który następnie przeniósł się do wnętrza sklepu.

To sprawiło, że angażowano ją już niemal wyłącznie do aranżacji wystaw i ekspozycji również w pozostałych filiach sklepu. Wkrótce zainteresowały się nią inne sieci. Skorzystała jednak z ich ofert dopiero wtedy, gdy zaczęła działać niezależnie i została zawodową projektantką sklepowych ekspozycji i wystaw.

Z czasem jej usługi stały się jeszcze bardziej popularne mimo całkowitego braku reklamy. Wystarczyła ta szeptana, a Julii było to na rękę. Nie chciała rozgłosu, nadmierny szum mógł sprawić, że usłyszeliby go ci, przed którymi postanowiła się ukryć. A to spowodowałoby powrót do tego, o czym tak bardzo pragnęła zapomnieć, a co wbrew jej woli, podstępnie, bo w niewielkich i ledwie zauważalnych dawkach przenikało do nowego życia. Zarówno to dobre, jak i złe, przy czym Julia nie zawsze potrafiła jedno od drugiego odróżnić i oddzielić, więc wolała odrzucać wszystko.

*Visual merchandising*, czyli kreowanie przestrzeni handlowej, nieoczekiwanie stał się jej nowym sposobem na bezpieczną egzystencję i odegnał obawę, że stłamsi ją ponura proza materialnej strony życia. Pieniądze nie miały dla Julii takiego znaczenia jak dawniej, ale rozsądek nakazywał zadbać o minimum, którego teraz potrzebowała, by przeżyć. Nawet gdy nie była pewna, czy naprawdę tego chce...

Jej życie straciło sens w dniu, w którym inny przypadek omal go ostatecznie nie zakończył. W każdej kolejnej sekundzie żałowała, że tak się nie stało, że jakimś cudem ocalała. Jednocześnie czuła, że właśnie dlatego powinna żyć jak najdłużej,

obojętnie gdzie, jak i dla kogo, by zapłacić za to, co zrobiła. Bardzo chciała zapomnieć, ale wiedziała, że jej nie wolno. Wspomnienia miały być wieczną pokutą za winy nie do odkupienia. Były więc przyjmowane z pokorą i poczuciem, że kara nie jest wystarczająco wysoka.

Właśnie dlatego z dawnego życia, prócz walizki z najpotrzebniejszymi rzeczami i starym laptopem, nieświadomie zabrała coś jeszcze. Zdała sobie z tego sprawę, gdy po raz pierwszy ustawiła rekwizyty na sklepowej wystawie. Zupełnie odruchowo i właściwie wbrew sobie wykorzystała to, co zawsze potrafiła robić najlepiej, czym zajmowała się przez większość życia, od którego uciekła, bezwiednie zabierając ze sobą właśnie tę jego część.

Umiejętność tworzenia i ponadprzeciętnie rozwinięta wyobraźnia okazały się zbyt mocno w niej zakorzenione, by mogła je odrzucić, nawet wobec innych zmian, jakie w niej zaszły. Dzięki temu nadal potrafiła niemalże na zawołanie i czasem bez udziału świadomości wykreować całkiem nową, choć fikcyjną rzeczywistość, by potem zatrzymywać wycięty z niej tylko jeden kadr i więzić go za wystawową szybą. Nowy, stworzony dla określonej potrzeby świat. Jak ten w szklanej śnieżnej kuli, jednak w przeciwieństwie do niego trwale nieruchomy i istniejący tylko chwilę, dopóki nie zastąpi go inny.

Wszystkie bez wyjątku witryny zaaranżowane przez Julię przyciągały jak idealnie zaprojektowana okładka bestsellera. Zatrzymany w czasie fragment stworzonej przez nią opowieści w przedziwny sposób rozpalał wyobraźnię obserwatorów i nie pozwalał oderwać od siebie wzroku. Wzniewał ciekawość i chęć poznania jej początku i końca. Nawet wobec świadomości, że to nigdy nie będzie możliwe, tak jak niemożliwe jest poznanie dalszego ciągu historii zapisanej na kartce wyrwanej z powieści nieznanego autora. Albo nigdy niedokończonej książki.

W poprzednim życiu, tym, które porzuciła, Julia była pisarką. Stworzyła wiele udanych opowieści ze szczęśliwym zakończeniem i oddała je światu, ale sama nie zamierzała już do nich wracać. Wyjątkiem była ostatnia, wciąż przechowywana na pulpicie starego laptopa. Nie miała ani dobrego, ani jakiegokolwiek innego finału. Pozostała historią bez końca, tak jak nowe życie Julii, która, choć pogodziła się z tym ostatecznie, nie potrafiła powstrzymać się przed regularnym otwieraniem utworzonego dawno temu dokumentu.

Nie poprzestawała jednak wyłącznie na czytaniu zapisanej w nim opowieści. Nieustannie poprawiała ją albo pisała wręcz na nowo, od początku, za każdym razem inaczej, a niekiedy nawet wbrew wcześniejszym założeniom. Nie potrafiła też wyjaśnić, dlaczego wciąż to robi, ani tym bardziej przestać. Była pewna, że nigdy już nie napisze nowej książki, a dla tych, do których prawa mieli wciąż jej dawni wydawcy i które nadal można było znaleźć w księgarniach, nie było miejsca w jej nowym życiu. Prawie wszystko, co z nimi związane, również nazwisko,

musiało zostać w poprzednim wcieleniu. Zrobiła, co w jej mocy, by tak się stało, choć nie było to wcale łatwe.

Odcięła się od tego, co było już za nią – dawnej pracy i rutynowej codzienności, z wyjątkiem jednej tylko rzeczy. W każdym pierwszym tygodniu miesiąca otrzymywała koperty wypchane zdjęciami, o które nie prosiła i których nie powinna oglądać. Tego jednak nie była w stanie zmienić, nie miała na to wpływu. Lub też samą siebie oszukiwała, wmawiając sobie, że tak właśnie jest, i odpędzała natrętną myśl, że wystarczyłoby nie otwierać listów albo od razu zwrócić je nadawcy. Brakowało jej odwagi, by przyznać przed samą sobą, że wcale nie chce tego robić. I że z lęklwym wytęsknieniem czeka na każdy kolejny taki list, z nieustającym poczuciem winy i wstydem z powodu własnej słabości.

Nieskończona powieść początkowo wypełniała skromną treść jej obecnego życia, ale potem nastąpiła nagła zamiana ról. To życie Julii stało się treścią powieści bez tytułu, zupełnie jakby na niego nie zasłużyła, jakby musiała pozostać bezimienna niczym bezpański psiak albo niechciane dziecko. Niczym terażniejszość Julii, bo coraz mocniej utożsamiała się z tym, co sama napisała pod wpływem nieznanym impulsów.

Początkowo nieświadomie i niekiedy kompulsywnie usuwała wcześniejszą treść, a potem wyrzucała z siebie nadmiar emocji i zostawiała je na pustych znów stronach powieści w formie słów. Czuła dzięki temu ulgę, a potem jeszcze większe niż wcześniej napięcie, gdy musiała do nich wrócić, bo wówczas znów wydawały jej się nie takie, jak powinny. Kasując i pisząc wszystko wciąż od nowa, pozwalała sobie na złudne poczucie kontroli nad tym, co się wokół niej działo, pozorny spokój. Ulgę. Dopiero potem wracała przerażająca świadomość, że nie da się już nic zrobić, by było lepiej. Ani tym bardziej cofnąć czasu, wykasować z niego jak z pochopnie zapisanego dokumentu tej jednej krótkiej chwili, która zmieniła niemalże idylliczne życie w najprawdziwszy koszmar.

*Poranna rosa zmieniła się w szadź i skradła światu kolory.*

Jak co wieczór przeczytała pierwsze zdanie bezimiennej powieści. Jedyne, które od początku brzmiało tak samo, jakby było nietykalne. Może dlatego, że zarówno wcześniej, jak i obecnie pasowało idealnie do reszty we wszystkich jej możliwych wersjach? Tylko ono. Wciąż pamiętała moment, w którym pojawiło się w jej głowie. Wigilijny ranek przed dwoma laty, ostatni od początku do końca szczęśliwy i wówczas naprawdę piękny. Wszystkie kolejne były już inne, niezależnie od pogody. Dla niej tak samo ponure.

Drugie zdanie wykasowała parę tygodni po kolejnej wigilii, a potem następne, aż do tymczasowego końca, bo do tego prawdziwego nigdy nie dotarła, mimo że była naprawdę blisko. Brakowało dnia, góra dwóch i oddałaby gotowy

tekst swojemu wydawcy, gdyby nie zdarzyło się coś, co odwróciło bieg wszystkich zdarzeń, zarówno tych w powieści, jak i w jej własnym życiu. Niemalże w tym samym tragicznym momencie.

*Bezbarwna pustka spychała w nicość wszystko, co wcześniej miało wartość większą, niż tylko urojona.*

Zapisała nowe zdanie, zastępując nim inne, już skasowane, po czym zamknęła laptopa. Zaskoczyła ją i trochę przestraszyła ciemność, która nagle zapadła. Nie zauważyła, że wcześniej rozcieńczał ją tylko blask monitora. Nie zapaliła jednak światła, by ją przegnać. Podkuliła pod siebie nogi i zamknęła oczy, chcąc sprawdzić, czy to cokolwiek zmieni, czy pod powiekami pojawią się kolory. Niestety, mrok nie ustępował, zupełnie jak ten, który od dawna panował nie tylko nad jej duszą, ale i nad całą resztą. Również nad ciałem i umysłem.

Wstała i po omacku podeszła do okna. Uchyliła lekko opuszczoną wcześniej roletę.

– *Ja stróż latarnik nadaję z mrówkowca*[1] – wymamrotała z ustami przyciśniętymi do lodowatej szyby fragment wiersza ulubionego kiedyś poety.

Odkąd zamieszkała w wieżowcu, ciągle pobrzmiewał jej w głowie. Zastanawiała się, w ilu ciemnych oknach stoją podobni do niej ludzie i boją się spojrzeć tam, gdzie pali się światło i widać też czasem ruch. Za większością szyb oszronionych, zaparowanych lub przejrzystych o każdej porze dnia i roku toczyło się życie, zwyczajne dla tych, którzy je wiedli, nieświadomie wpędzając się w rutynę określaną przez nich dla niepoznaki stabilizacją i poczuciem bezpieczeństwa. Dla tych, którzy je podpatrywali zza własnych firanek i uchylonych rolet było jednak niezwykle, bo podejrzone ukradkiem przez zniekształcającą rzeczywistość granicę własnej szklanej kuli.

Julia czasem wbrew sobie myślała o ludziach mijanych w windzie wieżowca. Niektórzy, tak jak ona, żyli w pojedynkę. Dziewczyny mieszkającej obok i mężczyzny z naprzeciwka również nikt nie odwiedzał, a za to przystojnemu sąsiadowi z dziewiątego piętra otaczające go kobiety nie pozwalały na samotność. Julia niekiedy żałowała, że nie może regularnie zaglądać w ich okna, by się dowiedzieć, jak często pali się w nich światło albo sprawdzić, czy tak jak ona podglądają życie innych ludzi, żeby przekonać się, czy tamci są szczęśliwi, nawet jeśli tylko sami ze sobą.

Dawno temu ktoś jej powiedział, że patrzenie na świat z wysoka pozwala nabrać do niego dystansu. Za każdym razem, gdy to robiła, coraz dobitniej uświadamiała sobie, jak bardzo się pomylił. Takie patrzenie na świat przypominało wyłącznie o samotności oraz o tym, jak mały jest wobec niego człowiek i jak nikły ma wpływ na los przede wszystkim własny. Julia już dawno przestała wierzyć, że

sprawuje nad czymkolwiek kontrolę. Niezależnie od tego, co robiła i jakie decyzje podejmowała. Nawet ucieczka niewiele zmieniła w niej samej. Ocalała jedynie tych, którzy zostali. Dzięki temu zyskali szansę na trwały spokój, którego ona nie miała już nigdy zaznać i tym samym nie mogła ofiarować go im.

Wciąż nie zapalając światła, dotarła do sypialni i w ubraniu opadła na łóżko. Mocno przycisnęła głowę do poduszki. Spróbowała przywołać obraz z monitora komputera, najpierw ten z pierwszym zdaniem powieści, a potem ze zdjęciem sekretarzyka. Zdołała to zrobić, ale nie wydarzyło się nic, co pozwoliłoby jej zasnąć spokojnie. Mimo to postanowiła, że zanim się ostatecznie podda, pojedzie do sklepu Hebnera i jeszcze raz popatrzy na ów nieszczęsny mebel, który sprowadził większość jej myśli na zachwaszczone manowce.

Jeśli poczucie, które ją ogarnęło, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, nie wróci, nie będzie więcej próbować.

[1] Fragment wiersza Mirona Białoszewskiego pod tym samym tytułem.



4.

---

– Pana Hebnera nie ma i nie wiadomo, czy w ogóle dziś jeszcze będzie. Podejrzewam, że raczej nie.

Kobieta o grudniowych oczach stanęła w lekkim rozkroku pomiędzy ladą a czteroosobową sofą. Dłonie oparła na talii podkreślonej cieniutkim paseczkiem i zastygła w pozie świadomego swojej roli ochroniarza, tarasując wąskie przejście do dalszej części lokalu. Jej mina sugerowała, że nie zamierza ustąpić.

– Nie szkodzi. – Julia mimo to wyminęła ją zręcznie, uchylając się jedynie przed wystającym chudym łokciem, i wykonała kilka szybkich zdecydowanych kroków w głąb sklepu. Dopiero wtedy odwróciła się i uśmiechnęła rozbrajająco. – Ja tylko na chwilę, żeby... pobrać wymiary. – Wymyśliła na poczekaniu. – Zapomniałam o tym wczoraj, a sama pani rozumie, bez tego niewiele da się zaplanować. No a przecież święta, ho, ho, ho! – Potrząsnęła niewidzialnym dzwoneczkiem, naśladując tubalny głos świętego roznoszącego prezenty. – Już tuż, tuż!

– Przecież pani sama w to nie wierzy – odparła sprzedawczyni chłodno i wycofała się za ladę.

– W co? Ma pani na myśli Świętego Mikołaja i jego pomocników? – Julia mrugnęła do niej porozumiewawczo. Nie była wcale złośliwa, raczej usiłowała obrócić sytuację w żart, jednak zamiast tego zderzyła się jedynie z pełnym politowaniem spojrzeniem kobiety. Pracownica pozostawała nieczuła na jej próby rozładowania nie najlepszej atmosfery i nawiązania pozytywnych relacji.

– To wszystko bzdury – odparowała przez zaciśnięte zęby, uciekając wzrokiem gdzieś w bok. – Fanaberie i niepotrzebne szastanie pieniędzmi.

– Czyli uważa pani, że pan Hebner nie powinien korzystać z moich usług? Że lepiej byłoby, gdyby zrezygnował z profesjonalnie zaprojektowanej witryny?

– Tak właśnie uważam. Są o wiele pilniejsze wydatki.

Julia milczała chwilę. Przypomniała sobie, jak jej zleceniodawca wspominał, i to parokrotnie, o swoich kłopotach finansowych. Nie przypuszczała jednak, że są aż tak poważne, jak sugerowała ciągle zacięta mina pracownicy.

– Przepraszam, że o to pytam... – zaczęła ostrożnie, nie chcąc jeszcze mocniej jej zdenerwować, bo zniechęcić do siebie już bardziej nie mogła. Zwłaszcza że gdyby podejrzenia okazały się słuszne, kobieta faktycznie miałaby ważny powód, by jej nie lubić. – Czy to oznacza, że pan Hebner nie wypłaca państwu na czas wynagrodzenia? – spytała jak umiała najdelikatniej i uśmiechnęła się z empatią.

Pracownica sklepu tym razem zmieszała się i nawet lekko zarumieniła, co niespodziewanie ociepliło jej zimowe dotąd oblicze.

– Wypłaca. – Pokiwała wolno głową, z pewnym namysłem. – Czasem tylko trochę się spóźnia, ale zawsze o tym uprzedza i potem wynagradza nam to niewielką premią. Teraz już nie ma z tym kłopotu.

– Teraz? Czy to znaczy, że nie zawsze tak było?

– Od roku jest już dobrze – odparła wymijająco. – To znaczy byłoby dobrze również dla niego, gdyby sklep lepiej prosperował – poprawiła się.

– Ale przecież pani pracodawca robi, co może, żeby tak właśnie się stało.

Kobieta znów spochmurniała, a jej twarz przybrała bladopopielaty odcień.

– Tylko on tak uważa – sarknęła. – Bo jak do firmowej kasy wpadnie trochę grosza, zaraz wydaje wszystko na to, na co nie powinien.

– A na co, pani zdaniem, powinien wydać te pieniądze?

– Mógłby, na przykład, sprowadzić trochę świeżego towaru. – Rozłożyła ręce w geście wyrażającym oczywistość i potrząsnęła głową.

– Ale przecież akurat tego tu nie brakuje! – Julia zdziwiła się szczerze. – Właściwie to ledwie się tu wszystko mieści.

– Co z tego, skoro opatrzyło się klientom. I przez to właśnie panuje zastój, takie jest moje zdanie. Przydałoby się coś nowego, dla urozmaicenia i na zachętę.

– No i właśnie po to tu jestem. Żeby zadbać o wygląd sklepu i zrobić wszystko, co w mojej mocy, by klienci mieli ochotę tu wracać.

– Chyba tylko po to, by popatrzeć sobie na wystawę. A to przecież niczego nie zmienia.

– Wcale nie musi tak być. – Julia prześlizgnęła się wzrokiem po bezładnie poustawianych meblach i dodatkach. – Proszę mi powiedzieć, kto do tej pory odpowiadał za wystrój lokalu i jego estetykę?

– Estetykę? – Zdziwiła się. – Przecież to nie kwaciarnia, ale zwykły sklep meblowy.

– I tutaj mamy sedno wszystkiego. Lokal usługowy, nawet jeśli nie jest elegancką kwaciarnią, nie może być zwyczajny, jeśli mają przyjść do niego ludzie. I dotyczy to każdego sklepu, nie tylko meblowego.

– To co niby mam zrobić? Powkładać bukiety w puste wazony rozstawione na stołach? A jeśli woda zniszczy politurę? Kto za to zapłaci?

Kobieta znów rozłożyła ręce, ale tym razem w geście bezradności. Nadal w jej głosie pobrzmiwał sarkazm, lecz słysząc w nim było też inne tony, jakby powoli zaczynała się poddawać.

– Mało prawdopodobne, bo politury tu jak na lekarstwo, a laminatu nie ma co żałować – odparła Julia, naśladując jej ironiczny ton, ale zaraz ugryzła się w język. Nie miała zamiaru być złośliwa, nawet jeśli okoliczności bardzo temu sprzyjały. – Bukiety nie wystarczą – dodała już o wiele łagodniej. – Wystrój sklepu powinien wносить jakąś treść i pod każdym względem tworzyć spójną całość. Wszystko, co zastanie tu klient, musi się ze sobą idealnie komponować. Z personelem włącznie.

– A co jest ze mną nie tak? – Kobieta znów się nastroszyła. Nerwowym gestem poprawiła niewielki żabocik pod brodą, sprawdziła guziki bluzki i wygładziła na biodrach nieistniejące zagniecenia ołówkowej spódnicy sięgającej kolan. – Czegoś mi brakuje?

– Przede wszystkim uśmiechu. Jest zima, ale sprzedawca o każdej porze roku powinien mieć na twarzy lato lub późną wiosnę. Z grzejącym przyjemnie słońcem, kolorowymi kwiatami i nastrojowo brzęczącymi owadami. Niestety, pani dopasowała swoje oblicze do aktualnej pory roku, i to w wyjątkowo pochmurnej i zimnej wersji. Do mnie, co prawda, nie musi się pani uśmiechać, ale do klienta już obowiązkowo. Tak jakby go pani witała w progu swojego domu. Ludziom na ogół zależy, by goście czuli się u nich jak najlepiej, prawda?

– Ale przecież nie każdy gość jest mile widziany... – Popatrzyła na nią wymownie.

– To jednak nie może dotyczyć sklepu. Tu każdy klient jest na wagę złota i powinien być witany szerokim uśmiechem. – Julia udała, że nie dostrzegła przytyku. Mimowolny status persona non grata nie miał dla niej większego znaczenia. To była praca i tylko praca. Julia już dawno temu nauczyła się w takich momentach wyłączać niektóre emocje i uruchamiać inne, zarezerwowane

wyłącznie do celów służbowych. Dlatego nie starła ze swojej twarzy ujmującego uśmiechu, a nawet jeszcze go ociepliła, w nadziei, że ogrzeje nim nadal zdystansowaną rozmówczynię. Kontynuowała ze spokojem: – Stworzymy tu taki klimat i takie warunki, że prawie każdy prędzej czy później sięgnie do swego portfela. Nawet jeśli wcześniej nie planował zakupów.

– I to ma sprawić jakaś tam... – Widać było, że powstrzymała się od obcesowego epitetu. – Bożonarodzeniowa wystawa?

– Tym zajmę się sama. Reszta zależy już tylko od pani.

– Ale ja mam pojęcia, co miałabym robić oprócz szczerzenia się do ludzi jak... ktoś niespełna rozumu. Bo skoro te kwiaty w wazonach nie wystarczą, to ja już nie wiem... – Wykonała obronny gest i znów wycofała się za ladę.

– Ależ oczywiście, że pani wie! Proszę się zachowywać tak, jak przystało na dobrą gospodynię. Gdy przyjmujemy gości, nie tylko się miło uśmiechamy, ale staramy się im pokazać z jak najlepszej strony, jednocześnie odwracając uwagę od niezbyt atrakcyjnej reszty. Niestety, to bywa trudne, gdy wokół panuje chaos. Tak jak tutaj. Najpiękniejsze meble schowaliśmy za tymi, które pewnie niewielu zauroczy. Zamieniłabym je miejscami albo wręcz pozbyłabym się tych, których nie powinno tu być wcale.

Wskazała stojącą najbliżej kiczowatą komódkę z taniego tworzywa, udającą mebel w stylu art déco.

– Czyli co? Wynieść do magazynu?

– To byłoby chyba najlepsze rozwiązanie. – Julia pokiwała głową i chwyciła brzeg mebla. – Pomogę pani. A przy okazji zmierzę biureczko, które tam stoi. Potrzebuję go do mojego projektu.

Komoda okazała się tak lekka, że dałoby się ją wynieść w pojedynkę, mimo to podreptały obie, odstawiając mebelek tylko na chwilę, żeby otworzyć drzwi magazynu.

– Muszę wracać na sklep, bo dziś jestem sama. – Kobieta otrzepała rękę z pewnym zakłopotaniem, po czym splótła je, wyginając palce. – Ale pokaże mi pani potem, co jeszcze należałoby usunąć, tak?

Julia skinęła głową, teraz już nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie zostanie sam na sam z sekretarzykiem. Oczekiwała, że znów do niej „przemówi”. Dokładnie tak, jak za pierwszym razem. A przynajmniej taką miała nadzieję.

Nagle zaczęło jej na tym bardzo zależeć. Dlatego z bijącym sercem przecisnęła się przez barykadę z tekturowych paczek, by położyć wreszcie obie dłonie na chropowatym blacie. Wstrzymała oddech i wolno powiodła palcami po roślinnych zdobieniach, mosiężnych okuciach szuflad i giętych nóżkach. Zdmuchnęła zalegający kurz, ale ponieważ na niewiele się to zdało, wyjęła z torebki nawilżane chusteczki i przetarła politurę, ujawniając w ten sposób jej rzeczywisty, czekoladowy kolor. Wysunęła nieco mebel, żeby przyjrzeć mu się

w lepszym świetle, a potem zastygła w pełnym napięcia oczekiwaniu.

Niestety, nie poczuła wcześniejszych dreszczy i charakterystycznego dławienia w gardle ani nawet cienia poprzedniej ekscytacji. Za to odniosła wrażenie, że otula ją przyjemne ciepło. Jakby ktoś zarzucił jej na ramiona miękki koc i włożył do rąk starą porcelanową filiżankę z herbatą pachnącą imbirem, goździkami i cynamonem. A potem delikatnie rozmasował kark i stopy...

Znów pogłaskała drewno, ledwie powstrzymując się przed odstawieniem na blat mebla wyimaginowanej filiżanki, i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Wiedziała już, że się nie pomyliła. Biurko było wyjątkowe i na wszystkie możliwe sposoby usiłowało jej to przekazać, wywoływało niewytłumaczalne złudzenie domniemanych przyjemności, takich, o jakich marzy niemal każdy człowiek. Julia, mimo że nie powinna, w skrytości ducha również pragnęła zarówno kojącego duszę ciepła, jak i ekscytującego dreszczu emocji pobudzających do natychmiastowego działania. Dlatego już wiedziała, że nie może porzucić niezwyklego znaleziska, skoro wysyłało jej tak jasne sygnały. Zupełnie jakby biureczko usiłowało wrócić do swojej dawnej roli, być podziwiane i móc znów komuś służyć. Tymczasem Julia nadal nie wiedziała, kogo przy nim posadzić i przede wszystkim, po co. Bo przecież to było najważniejsze. Należało wykreować dla niego idealną oprawę, by każdy, kto je obejrzy w witrynie sklepu Hebnera, poczuł to samo, co ona. Ciepło, które koi duszę i wycisza emocje, ale tylko te złe.

W zamyśleniu otworzyła kilka kolejnych szuflad. Tak, jak się spodziewała, były puste. Na dnie niektórych poniewierały się tylko ciemne okruchy i włochate kłaczki kurzu. Sprawdziła dla pewności wszystkie. Ostatnia, której dotknęła, stawiała opór i wysunęła się tylko do połowy. Delikatne szarpnięcia nie pomagały. Julia, zniecierpliwiona tym, domknęła ją w końcu trochę zbyt mocno. W konsekwencji lekki sekretarzyk niespodziewanie zachwiał się i... runął do tyłu.

Krzyknęła strwożona, usiłując chaotycznie zapobiec katastrofie, jednak z marnym skutkiem. Została jej w ręku tylko górna szuflada, ponieważ zdążyła złapać jej uchwyt. Julia przez chwilę bała się spojrzeć w dół, spodziewając się najgorszego, ale gdy wreszcie otworzyła oczy, odetchnęła z ulgą. Biurko osunęło się wprost na stertę tektury i wszystko wskazywało na to, że uszło z wypadku bez szwanku. Podniosła je ostrożnie, dosuwając tym razem z przesadną wręcz delikatnością wszystkie szuflady. Wówczas zauważyła, że z ostatniej wystaje kawałek papieru.

Okazał się złożoną na czworo kartką.

– Coś się stało? – Usłyszała zaniepokojony głos sprzedawczyni, która, zwabiona rumorem i pewnie krzykiem Julii, pojawiła się w uchylonych drzwiach.

Kobieta omiotła czujnym wzrokiem całe pomieszczenie, ale raczej nie zwróciła uwagi na kartkę, którą Julia zdążyła schować do kieszeni. Zrobiła to odruchowo. Dopiero potem przyszło jej do głowy, że wcale nie musiała. To był

tylko kawałek papieru, z pewnością nic istotnego. Taką przynajmniej miała nadzieję.

– Wszystko w porządku, potknęłam się o coś, ale chyba nic się nie stało. – Od razu ruszyła do wyjścia, żeby nie przedłużać dyskusji. – Zmierzyłam, co trzeba. Mam to, czego potrzebowałam, mogę przygotować projekt.

– A sklep? Obiecała mi pani wskazać meble, które trzeba wynieść.

– Obie wiemy, że poradzi sobie pani z tym o wiele lepiej, niż ja. – Julia uśmiechnęła się rozbrajająco. – Specjalizuję się w dekoracjach, nie znam się na stylizowanych meblach.

– Eee, no tak. – Kobieta niepewnie przestąpiła z nogi na nogę. – Oczywiście.

Julia, zanim wyszła, już tylko dla zasady, by nie było wątpliwości co do jej intencji, zmierzyła wysokość i szerokość frontowych witryn. Sprawdziła jeszcze kilka innych drobiazgów, o których przypomniała sobie przy okazji, po czym pożegnała się serdecznie, życząc już znacznie bardziej przyjaźnie nastawionej do siebie kobiecie miłego dnia.

Przez cały czas czuła, jak ukryta w kieszeni płaszcza kartka coraz bardziej jej ciąży. Bała się ją wyjąć w obecności pracownicy Hebnera, choć nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego. Przecież nie było powodu, by ukrywać znalezisko.

– Bez sensu – mruknęła, zmierzając po chrzęszczącym żwirze, którym wysypano podjazd wiodący do głównej alei. – To pewnie zwykły śmieć zawieruszony w szufladzie, która przez to się zacięła.

Wciąż jednak nie miała odwagi tego sprawdzić. Nawet wobec faktu, że z pewnością nie wzbudziłoby to żadnych podejrzeń sprzedawczyni, która, jak Julia zdążyła zauważyć kątem oka, nadal przyglądała jej się dyskretnie, stojąc w oknie.

– To na pewno nic ważnego, a jeśli tak, przy następnej okazji odłożę po prostu ten głupi świstek tam, gdzie był – wymamrotała do siebie i wsunęła rękę do kieszeni chcąc sprawdzić, czy papier nadal tam jest. Był i wciąż niezrozumiale uwierał.

Może właśnie dlatego zamiast skręcić w stronę przystanku autobusowego, powędrowała w głąb parku. Potrzebowała czasu i odrobiny spokoju, by zebrać myśli, zastanowić się nad przyszłym projektem witryny. Mimo że już wiedziała, jaki chce uzyskać efekt, wciąż nie miała pojęcia, jak go stworzyć. Musiała wszystko sobie przemyśleć, zamówić rekwizyty, oszacować koszty. A czas uciekał.

Zgrzana marszem przysiadła na pierwszej odśnieżonej ławce. Zdjęła rękawiczki, rozsypała szalik i, pochyliwszy się nieco, równała oddech. Dopiero potem sięgnęła po notes, chcąc zapisać pierwsze blade pomysły, które kielkowały w jej głowie, ale ostatecznie zrezygnowała. Chwilę tkwiła w bezruchu.

W końcu wyjęła z kieszeni kartkę i wolno ją rozłożyła. Prześlizgnęła się wzrokiem po rozchwianych nieco linijkach tekstu i dotknęła policzków, bo nagle pojawiła się na nich gęsia skórka. Trzymała przed sobą poźółkły ze starości list

napisany przez pewnie zaledwie kilkuletniego chłopca. Prosił w nim o wymarzony i bardzo nietypowy prezent bożonarodzeniowy.

*Kochany Święty Mikołaju!*

*Mam na imię Antoś i pięknie Cię proszę, żebyś w tym roku zostawił mi pod choinką tylko jeden prezent, ale za to najważniejszy na świecie. Chciałbym dostać prawdziwe pióro ze skrzydła anioła, żeby napisać nim list do mojej mamy, która jest w niebie. Bo podobno tylko ono może sprawić, że list dotrze do niej naprawdę i że ona go przeczyta. A wtedy wreszcie mi odpowie.*

Julia czytała to wielokrotnie, z zawiązanym na supeł gardłem. Wilgoć, którą poczuła na rzęsach, uznała za topniejący śnieg, choć dobrze wiedziała, że śnieg nie ma słonego posmaku łez. Otarła je ukradkiem rękawiczką.

Wtedy właśnie usłyszała nad głową trzepot skrzydeł. Rozejrzała się zdezorientowana. Szaroniebieski gołąb przefrunął nad gęstym krzewem śnieguliczki, wciąż obsypanej białymi kulkami owoców, niczym miniaturowymi bombkami. Przysiadł na ramieniu wielkiej skrzydlatej postaci. Zamarły na postumencie kamienny anioł, którego Julia nie zauważyła wcześniej, patrzył wprost na nią. Miał lekko przechyloną głowę i dwie głębokie bruzdy na czole. Końcami palców dotykał lewego policzka, zupełnie jak Julia zaledwie przed chwilą, gdy czytała pierwsze linijki listu. Drugą dłoń wyciągał prosto w jej stronę.

Julia wpatrywała się w niego jak urzeczona.

– To Anioł Zatraskany i, jak mi się wydaje, wcale nie bez powodu. – Usłyszała nagle i gwałtownie obróciła głowę. – A i jego skrzydlatych braci mniejszych nie na darmo aż tylu dziś przyleciało. Czasem wabią je tutaj cudze smutki.

Z niemałym zdziwieniem zorientowała się, że już nie jest sama. Nie zauważyła, kiedy na skraju ławki przysiadła drobniotka staruszka w wytartym nieco płaszczu obszytym sztucznym futerkiem, nienaśladowującym żadnego prawdziwego, i naciśniętym na same uszy małym kapelusiku z filcowym kwiatkiem. Spod jego opuszczonego ronda wyzierały liczne siwe loczki i głęboko osadzone oczy o ciepłym odcieniu błękitu. Uśmiechała się do Julii dobrodusznie i jednocześnie współczująco, jakby dostrzegła łzę, która potoczyła się po jej policzku, zanim Julia zdążyła ją przechwycić i ukryć w zmarzniętej dłoni.

– To przez mróz. – Zawstydzona, otarła szalikiem twarz tak mocno, że aż zaszczypały ją policzki. Pociągnęła lekko nosem i wyjęła z kieszeni zmiętą chusteczkę, żeby go wydmuchać.

Kątem oka zerknęła na staruszkę, która nadal jej się przyglądała, w dodatku bez najmniejszego skrępowania, wręcz badawczo. Nie odrywając od niej wzroku nawet na moment, włożyła pomarszczoną i zaróżowioną pewnie od zimna dłoń do

papierowej torebki po cukrze i wydobyla z niej garść ziaren. Podrzuciła je wysoko, powodując niezwykły tumult wśród parkowego ptactwa, które z rozćwierkanym furkotem rzuciło się na pokarm.

Julia bezwiednie uśmiechnęła się na ten widok i kiwnęła brodą w stronę posągu, wciąż skrywając część twarzy w papierowej chusteczce.

– To jeden z siedmiu, które dawniej pilnowały parku, prawda? – zagadnęła uprzejmie, przypomniawszy sobie historię opowiedzianą jej przez Hebnera.

– Teraz z sześciu. Siódmego przecież od dawna nie ma.

Staruszka nagle posmutniała i zamarła z dłonią wsuniętą do torebki. Ptaki również prawie przestały się ruszać, być może w oczekiwaniu na kolejną porcję przysmaków.

– Wiadomo, co się z nim stało? – spytała Julia.

Kobieta drgnęła, jakby przestraszona. Kilka gołębi podfrunęło bliżej i teraz kręciło się u jej stóp obutych w wysokie sznurowane trzewiki.

– Chciałabym powiedzieć, że odleciał, ale niestety... Nawet jeśli zamierzał, to nie zdążył. Zabrano go i wywieziono, nie wiadomo dokąd – powiedziała ze smutkiem, zaraz jednak rozpogodziła się na nowo. Wyciągnęła w stronę Julii torebkę z karmą i potrząsnęła zachęcająco. Julia wydobyla z niej trochę ziaren i rzuciła trzem zmarzniętym szarym wróblom, które przycupnęły nieco z boku, pewnie ze strachu przed większymi od siebie ptakami. Dziobały chwilę nerwowo, zanim zostały przepędzone. Mimo to nie zrezygnowały, przefrunęły jedynie na drugą stronę ławki. Julia rzuciła im tym razem więcej karmy z przecuciem, że i tak niewiele skorzystają, ponieważ gołębie je uprzedzą.

– Szkoda, że nie dało się temu zapobiec – powiedziała, myśląc wciąż o zaginionym aniele. – Należało coś zrobić, by ocalić figurę. Byłyby wówczas razem, wszystkie siedem.

– Człowiek prawie zawsze chciałby mieć wpływ na wszystko, co się wokół niego dzieje, ale niekiedy to niemożliwe. – W łagodnym głosie staruszki delikatnie zabrzmiały bardziej stanowcze tony. – Każdy pragnie czegoś dla siebie i często zapomina, że klóci się to nierzadko z potrzebami innych. Ale to przecież normalne i lepiej się z tym nie spierać ani tego nie krytykować. Tak już po prostu jest. Los ma na nas swoje własne plany i czasem nie ma innego wyjścia, jak się im poddać i cieszyć się z tego, co nam dał. Bo przecież nigdy nie bywa tak, że nie daje niczego.

– A co, jeśli los daje nam coś, czego w ogóle nie chcemy?

– Należy okazać wdzięczność. Za prezenty zawsze należy uprzejmie podziękować, nawet jeśli się nam nie podobają. A potem zastanowić się, co z tym niechcianym fantem zrobić, bo przecież wszystko da się jakoś spożytkować, jeśli tylko człowiek trochę pomyśli i się postara. Jak nie dla siebie, to dla innych. – Podrzuciła energicznie ostatnią porcję ziaren, starając się, by jak najwięcej spadło



na wyciągniętą dłoń anioła. Potem wstała, otrzepała spódnicę z okruszków, wrzuciła do kosza zmiętą torebkę i poprawiła kapelusz. – A tobie, drogie dziecko, życzę, by jak najszybciej ci się to udało.

Julia wyciągnęła rękę i musnęła futrzany mankiet płaszcza staruszki, a potem, zanim zastanowiła się, co właściwie robi, ścisnęła lekko jej szczuplutki nadgarstek.

– Dziękuję – wyszeptała już po tym, jak zawstydzona opuściła wzrok na obecne wciąż ptaki, które teraz przycupnęły u jej stóp. – Nawet pani nie wie, jak bardzo mi pani pomogła.

– A ja jednak myślę, że wiem – powiedziała, zanim odeszła.

5.

---

Iskra inspiracji, na którą Julia tak bardzo czekała, w końcu rozbłysła. Wskresiła też setki następnych – białych, srebrnych i błękitnych, przymocowanych do długiego przewodu elektrycznego ukrytego w migoczącym od ich blasku szronie i popielatej mgle, która spowijała delikatną smugą witrynę sklepu meblowego E. Hebnera. Miła dla oka bladoniebieska poświata wydobyła z rozsypanego obficie sztucznego puchu ładną mroźną biel, dzięki czemu śnieg do złudzenia przypominał prawdziwy. Nawet mgła nie wyglądała sztucznie, chociaż Julia do ostatniej chwili łudziła się, że maszynka do jej wytwarzania okaże się zepsuta albo Hebner jakimś cudem zrezygnuje ze swego pierwotnego pomysłu. Mimo delikatnych sugestii tak się jednak nie stało, a ona z kolei nie śmiała wycofać się z danego mu słowa. Dlatego, snując w głowie wizje projektu, skupiła się na jego najistotniejszym elemencie, odsuwając na bok te, które nie do końca jej odpowiadały. I wbrew pozorom nie był nim stary sekretarzyk, ale ten, kto miał

przy nim zasiaść. Kurczowo uchwyciła się swojej pierwszej myśli i już wiedziała, że postąpiła słusznie.

Historia, której kadr miał uświetnić witrynę sklepu z meblami, zrodziła się z odnalezionego przypadkiem listu. Julia uznała to za szczęśliwe zrządzenie losu, a z losem postanowiła się nie spierać. Zaufała mu i podążyła za jego wskazówkami. Początkiem tej drogi był park pełen aniołów, nie tylko tych tkwiących nieruchomo na postumentach, ale też ich skrzydlatych braci mniejszych. Miano, jakim nieznajoma staruszka określiła ptaki gromadzące się w pobliżu Anioła Zatrokanego, ogromnie przypadło Julii do gustu. Nadal powtarzała je sobie w myślach, patrząc również na wrony i kawki, których najwięcej kręciło się w pobliżu jej wieżowca.

Gdy jechała do sklepu z już gotowym projektem i listą zamówionych rekwizytów, czuła, jak mocno bije jej serce. Zamarło tylko na moment, gdy podczas ścinania zakrętu alejki wiodącej do sklepu wpadła niemalże na duży drewniany drogowskaz, którego z pewnością wcześniej w tym miejscu nie było.

– *Galeria pod Zaginionym Aniołem. Stylowo i ze smakiem* – przeczytała, gdy zadarła głowę. – Ze smakiem? – wyszeptowała zaskoczona.

Gapiała się jeszcze chwilę na drewnianą tablicę z bardzo mieszanymi uczuciami. Nowy drogowskaz był, co prawda, bardzo gustowny, starannie i artystycznie wykonany, jednak zamieszczona na nim reklama, choć wiele obiecywała, to niestety była zupełnie nieadekwatna do oferty salonu meblowego.

Z tą właśnie informacją na ustach wpadła do sklepu, zastygła jednak w pół zdania i kroku na widok tego, co zobaczyła. Oparła się ramieniem o framugę drzwi i otworzyła szeroko oczy, nie kryjąc zdumienia.

Tam, gdzie wcześniej stała rozłożysta sofa i kilka innych sprzętów utrudniających dotarcie do dalszej części lokalu, teraz ustawiono tylko kilka małych okrągłych stolików z czterema całkiem różnymi krzesłami przy każdym. Na ich blatach migotały lampiony, które ktoś wykonał ręcznie, malując witrażowymi farbami słoiki i umieszczając w każdym z nich zwykłe białe świece. Z kolei przy sklepowej ladzie stała ogromna, żywa choinka przystrojona pomysłowymi i wyjątkowo udanymi dekoracjami z tektury falistej, folii bąbelkowej i kolorowych taśm do pakowania, a pod jedynym wolnym kawałkiem ściany wylądował dziwny mebel imitujący kominek. W „palenisku” leżały nawet sztuczne ceramiczne polana pomalowane tak realistycznie, że wyglądały jak pocięte konary brzozy z łuszczącą się białą korą i świeżo porąbane szczapy wyschniętego drewna.

– I co pani na to? – W głosie Hebnera, witającego Julię już w progu, pobrzmiwała niepewność. Patrzył na nią z niepokojem w oczach.

– Nie wiem – zająknęła się. – To znaczy nie bardzo rozumiem, po co to wszystko? – Nie mówię oczywiście o choince, bo jest piękna i świetnie pasuje,

mam na myśli raczej to. – Wskazała stoliki. Były całkiem ładne, ale tylko na pierwszy rzut oka, bo każdy, kto umiał ocenić wartość mebla, bez trudu mógł dostrzec kiepską jakość materiałów, z których je wykonano. – Myślałam, że powędrują do magazynu, przynajmniej na czas świąt.

– Ależ tak właśnie było. – Do rozmowy wtrąciła się sprzedawczyni, która wyłoniła się nagle zza pleców mężczyzny. – Wynieśliśmy wszystko, co było trochę lichego sortu, tak jak się umawialiśmy, ale szef zarządził, że stoły i krzesła wracają, i to jeszcze na sam front.

– To pani mi podsunęła tę myśl. – Hebner uniósł ręce w obronnym geście. – Sama pani powiedziała, że powinna tu być kawiarnia.

Julia przez chwilę trwała w niemym geście bezgranicznego zdumienia.

– I dlatego postanowił pan w miejsce sklepu meblowego, zrobić... to? – wykrztusiła wreszcie. Przysiadłszy na jednym z krzeseł, położyła przed sobą teczkę z projektem. – W takim razie bardzo mi przykro, ale chyba źle mnie pan zrozumiał.

– Ależ nie! – zaprzeczył gwałtownie. – Wcale nie zamierzam rezygnować z handlu stylowymi meblami. Aż tak odważny nie jestem, od lat pracuję w tej branży, a o gastronomii nie mam bladego pojęcia. Pomyślałem tylko, że można by to jakoś połączyć i wtedy przypomniałem sobie o wypożyczalni gastronomicznej, z której korzystałem dawno temu, gdy uroczyście otwierałem mój pierwszy sklep. Najpierw planowałem wypożyczyć od nich porządny ekspres do kawy, ale właściciel namówił mnie na czekoladziarkę.

– Będzie pan serwował w sklepie gorącą czekoladę?

Wreszcie zrozumiała, skąd wzięło się dziwne hasło na drogowskazy. Jak się właśnie okazało, nie pojawiło się tam przypadkowo ani tym bardziej przez językowy lapsus.

– Dokładnie tak! – Uśmiechnął się triumfalnie.

Julia mimo woli dostrzegła wykrzywioną w grymasie dezaprobaty twarz stojącej wciąż za nim sprzedawczyni. Zdecydowanie nie podzielała entuzjazmu szefa.

– Będziemy rozdawać ją za darmo – odezwała się z przekąsem, tym samym podając przynajmniej jeden z powodów swojej niechęci. Kolejnych Julia sama się domyślała. Serwowanie czekolady oznaczało dla niej dodatkowe obowiązki.

– Tylko w okresie przedświątecznym. – Bronił się Hebner.

– A potem? – Zainteresowała się Julia.

Wbrew wszystkim racjonalnym zastrzeżeniom, na przykład takim, że kolejna inwestycja dla kogoś borykającego się z kłopotami finansowymi może okazać się ostatnim gwoździem do trumny, pomysł zaczynał jej się podobać.

– Zobaczmy. Jeśli klienci to podchwycą, czekoladziarka zostanie, a czekoladę zaczniemy sprzedawać za niewygórowaną cenę. Może nawet zatrudnimy kogoś dodatkowo, pomyślimy o ekspresie do kawy i dystrybutorze

gorącej wody, żeby można było parzyć też herbatę? Oczywiście najlepszą, sprowadzaną z Anglii. A do niej będziemy podawać pojedynczo pakowane, kruche, maślane ciasteczka. Prawdziwy five o'clock!

– Przepraszam, że pytam, ale jest pan pewien, że pana budżet to wytrzyma?

– Otóż to! – Nie powstrzymała się sprzedawczyni, rzucając Julii spojrzenie tym razem pełne aprobaty.

– Na razie nie wydałem na to ani pensa, to znaczy, przepraszam, grosza... – Zaśmiał się z własnej pomyłki. – Właściciel wypożyczalni zaproponował barter, jak tylko przypomniał sobie, czym się zajmuję. Okazało się, że pilnie potrzebuje kilku domowych minibarków na kółkach, a ja miałem na stanie takich aż sześć.

– I pewnie wszystkie by poszły w zamian za tę maszynkę, gdybym w porę dwóch nie schowała.

– Wypożyczyłem tylko cztery, a i tak w zamian dostałem dodatkowo spory zapas czekolady.

– Wcale nie taki spory – wtrąciła znów sprzedawczyni. – Wystarczy góra na tydzień, i to tylko wtedy, jeśli nie poprosi o nią zbyt wielu klientów. A potem trzeba będzie kupić. – Popatrzyła znacząco na pracodawcę. – Prędzej czy później pojawią się koszty tego szaleństwa. Bo przecież inaczej nie można tego nazwać – dodała z przekąsem.

Hebner teraz trochę desperacko wpatrywał się w Julię, wyraźnie szukając u niej poparcia, dlatego wzięła głęboki oddech, chcąc zyskać na czasie. Zastanawiała się, po czyjej stanąć stronie, skoro właściwie obie miały rację.

– Myślę, że pani... – zaczęła wolno.

– Karolina. – Kobieta przedstawiła się krótko, stukając palcem w małą plakietkę przypiętą do kieszeni bluzki.

Julia skinęła głową.

– Serwowanie gorącej czekolady w środku zimy wydaje się sensowne – kontynuowała. – Ale myślę, że pani Karolina też ma sporo racji. Co będzie, jeśli pomysł się nie przyjmie i na płatne napoje nie znajdzie się wielu chętnych? Nie powiedział pan, na jak długo wypożyczył pan urządzenie. Bo domyślam się, że w końcu trzeba będzie je zwrócić albo zapłacić dodatkowo za wynajem.

– Niekoniecznie. Umówiłem się, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostawię sobie czekoladziarkę na stałe w zamian za moje minibarki. I tak nikt się nimi nie interesował.

– Sprawdziłam, są o wiele więcej warte od tej maszynki – oznajmiła Karolina znacząco. – Gdyby dodać do nich pozostałe, można by spokojnie wynegocjować jeszcze używany ekspres.

– I zrobimy to, jeśli będzie trzeba.

Karolina westchnęła demonstracyjnie i machnęła ręką na znak, że się poddaje. Zanim jednak odwróciła się i odeszła do swoich obowiązków, bo na

horyzoncie pojawili się jacyś klienci, Julia dostrzegła na jej twarzy cień satysfakcji i ledwie uchwytny uśmiech zadowolenia. I to nie było raczej złudzenie, ponieważ kobieta niebawem wróciła z tacą i czterema plastikowymi kubkami, nad którymi unosił się kuszący aromat. Dwa podała parze nieco zdezorientowanych, ale z pewnością pozytywnie zaskoczonych klientów, którzy od razu usadowili się przy jednym ze stolików. Pozostałymi poczęstowała Julię i swojego pracodawcę. Potem, skinąwszy jedynie głową i ściągnąwszy usta, by powstrzymać uśmiech, wróciła spokojnym krokiem za ladę.

– Widzi pani? To już działa! – wyszeptał konspiracyjnie mężczyzna i podsunął Julii jeden z kubków.

Podniosła go ostrożnie do ust i upiła łyk.

– Smaczna – powiedziała z uznaniem. – Życzę panu z całego serca, by pana plan się powiódł. Tym bardziej że początki są obiecujące. – Wskazała brodą udekorowane stoliki.

– To zasługa pani Karoliny. Sama zrobiła te lampiony. Ozdoby na choinkę również.

– A to? – Julia przypomniała sobie o drewnianej atrapie kominka. Z bliska wcale nie wyglądał lepiej i widać było, że jest nieprawdziwy, mimo całkiem ładnych żeliwnych okuć chroniących „palenisko”.

– Sprowadziłem na próbę jeden jeszcze w ubiegłym roku, ale niestety nie wzbudził zainteresowania klientów. Pomyślałem, że może jeśli pokażę, jak działa...

– Działa? Chce pan powiedzieć, że jest na prąd i będzie dodatkowo świecił?

Wolała sobie tego nie wyobrażać. Już ledowe lampki były dla niej sporym wyzwaniem i bez przerwy zastanawiała się, jak je zainstalować, żeby nie wyglądały zbyt trywialnie.

– Ależ skąd! Proszę tylko spojrzeć!

Wyjął z kieszeni zapalki i... podpalił sztuczne polana. Buchnął prawdziwy ogień, do którego wkrótce dołączył charakterystyczny trzask palonego drewna.

– Czy to na pewno bezpieczne? – Julia po chwilowym zaskoczeniu spowodowanym dość spektakularnym efektem, spoglądała na niespodziewane widowisko z rosnącym powątpiewaniem.

– Oczywiście. To jest biokominek i ma wszystkie niezbędne atesty. Paliwo ukryte w specjalnych pojemnikach na dnie paleniska także nie ma żadnych szkodliwych efektów ubocznych, tylko te pożądane i przyjemne. Fantastyczny, prawda? Nawet skwierczy jak prawdziwy.

– Co nie zmienia faktu, że prawdziwy nie jest – zauważyła, chociaż jej początkowy sceptycyzm zaczynał słabnąć. Ogień wyglądał bardzo naturalnie i sprawiał rzeczywiście miłe wrażenie. W dodatku całkiem mocno ogrzewał jej nadal chłodne dłonie i stopy, gdy przysiadła w pobliżu. Teraz już odważniej

wyciągnęła je w kierunku ognia.

– Ale dobrze się sprawdza jako zastępstwo. – Zatarł ręce, podobnie jak ona przybliżając je do ognia. Julia zapatrzyła się w „płonące” szczapy i bierwiona. W ogniu do złudzenia przypominały prawdziwe, a bijące od kominka ciepło i charakterystyczny trzask wzmacniały tylko to wrażenie.

– Brakuje jedynie uszatego fotela, skarpet na prezenty i książki z baśniami Andersena – powiedziała bezwiednie.

– Może uda się temu zaradzić? To znaczy skarpet i książki nie znajdę tak szybko, ale jeśli chodzi o fotele, to jesteśmy we właściwym miejscu. Zapraszam uprzejmie. – Wskazał przeciwległy kąt sklepu, niewidoczny z ich pozycji przez zasłaniający go duży prowansalski kredens. – Oto i są – oznajmił z zadowoleniem, gdy już się do niego przedarli.

Po drodze Julia zanotowała z uznaniem, że pani Karolina doskonale wywiązała się z zadania, ponieważ zniknęły wszystkie meble, których jakość pozostawiała wiele do życzenia, a pozostałe ustawiono w nienagannym porządku i odpowiednio wyeksponowano. Nadal było ich tylko trochę za dużo.

Hebner zauważył aprobatę malującą się na jej twarzy i uśmiechnął się, wyraźnie z siebie zadowolony.

– Do wyboru, do koloru. – Klasnął owacyjnie na koniec.

Kolory okazały się trzy. Szmaragd, indygo i karmazyn na szkockiej kracie, którą obito trzy fotele w stylu angielskim.

– Będą pasowały? – zagadnął.

– Tylko te dwa. – Wskazała skrajne. – Bo ten w środku o wiele lepiej będzie wyglądał w zupełnie innym miejscu.

Przymknęła oczy, zapadając się na próbę w miękkie siedzisko, i przytuliła skroń do bocznej części oparcia. Przejechała dłonią po miłej w dotyku, szenilowej tapicerce.

– Chce go pani umieścić w witrynie?

– Ależ skądże! Tam będzie coś zupełnie innego. – Poderwała się energicznie. Podwinęła mankiet i rzuciła okiem na zegarek. – Za chwilę powinna się zjawić ekipa, z którą współpracuję. Przywiozła rekwizyty i jeszcze dziś będzie wszystko gotowe.

– Dziś? – Spłoszył się lekko. – Powinienem wobec tego poprosić panią o wystawienie rachunku.

– Właśnie do tego zmierzam. – Pokiwała poważnie głową. – Co by pan powiedział na kolejny barter? – Znów pogładziła kraciaste obicie podłokietnika.

Zastanawiał się chwilę ze zmarszczonym czołem.

– Chodzi o fotel?

Julia rzuciła okiem na metkę przyczepioną do oparcia.

– O ile dobrze pamiętam, w kosztorysie widniała bardzo podobna suma.

– Trochę wyższa.

– W takim razie proszę poczęstować mnie jeszcze jednym kubkiem czekolady, ewentualnie dwoma, i będziemy kwita... – Urwała, słysząc rumor przy drzwiach wejściowych. – Oczywiście to potem, bo najpierw obowiązki.

– Ale ja jeszcze nie widziałem nawet projektu!

– Zobacz go pan, jak tylko skończymy. A pana uwagi i tak niewiele by wniosły. Jest za późno na jakiegokolwiek zmiany – dodała już w biegu, porzucając skonsternowanego mężczyznę, by jak najszybciej przekazać dyspozycje wynajętym pomocnikom.

Hebner usiłował jeszcze coś jej tłumaczyć, ale już go nie słuchała. Nie pozwoliła mu też obserwować prac przy aranżacji witryny, na co nalegał wielokrotnie. Wywołało to jego jeszcze większą dezaprobatę i niepokój.

Rozchmurzył się jednak, a nawet przeprosił za swoje zachowanie, gdy kilka godzin później z panią Karoliną i drugim z pracowników, który ofiarnie pomagał przy instalacji wystawy, wyszedł na zewnątrz. Przez chwilę wszyscy w milczeniu patrzyli na efekt końcowy. Julia z pewnej odległości obserwowała spokojnie ich reakcję.

Robiła tak za każdym razem, gdy odsłaniała nową witrynę. W takich momentach najbardziej interesowała ją reakcja odbiorców, bo ta mówiła najwięcej. Pierwsze wrażenie było wyjątkowo ważne i nie mogła go absolutnie przegapić, ponieważ zawsze było prawdziwe. Nawet jeśli ktoś usiłował coś udawać, nie był w stanie tego zrobić w pierwszej, najważniejszej sekundzie, podczas której działo się najwięcej. Błysk w oku, drgnienie kącika ust, zmarszczka na czole lub nosie, cokolwiek, co zdradzało prawdziwe emocje... Jeśli umiało się je właściwie odczytać, wiedziało się wszystko. A Julia nie tylko posiadała wrodzoną tę niezwykłą umiejętność, ale całkiem nieźle ją wyćwiczyła, obserwując ludzi podziwiających udekorowane przez nią witryny. Kluczowe dla niej było sprawdzenie, czy cel został osiągnięty. Bo gdyby okazało się inaczej, gotowa była zdemontować wystawę i zwrócić honorarium.

– To jest fenomenalne!

Jeszcze zanim padły te słowa, wiedziała, że tym razem nie będzie musiała tego robić.

Właściciel sklepu jedną ręką trzymał się za czoło, drugą klepał bezwiednie ramię pani Karoliny, która z kolei oburącz zasłaniała usta.

Julia uśmiechnęła się w duchu i dopiero wówczas przeniosła spojrzenie na witrynę, sekretarzyk i siedzącego przy niej anioła o ogromnych, choć zwieszonych i stulonych łagodnie skrzydłach z prawdziwych piór, odzianego w jasną suknię, której dół rozpyływał się i gubił we mgle snującej się wokół jego stóp. Długie platynowe włosy opadały miękką falą na blade czoło i policzki. Na w pół otwarte usta zdawały się coś szeptać, o czym świadczyło malujące się skupienie na pięknej



twarzy wyglądającej zaskakująco naturalnie. Pochylony nad rozwiniętym z rulonu białym papierem, ścisnął w dłoni wyjątkowej urody gęsie pióro ze srebrną stalówką. Drugą ręką lekko dotykał ogromnej szklanej kuli. Nieustannie wirowały w niej i skrzyły się płatki śniegu, wśród których wnikliwy obserwator mógł dostrzec sanie, rozpędzone renifery i otyłego woźnicę w charakterystycznym czerwonym stroju.

Julia podeszła bliżej i stanęła na granicy błękitnej poświaty, która wylewała się z witryny na nieudeptany śnieg. Pomyślała o liście nieznanego chłopca i o tym, że powinna powiedzieć o nim Hebnerowi. Jednak wciąż nie była w stanie tego zrobić. Powstrzymywała ją świadomość, że musiałaby go wówczas zwrócić. A ona, sama nie wiedząc dlaczego, bardzo chciała zatrzymać list. Być może tylko po to, by wyobrazić sobie, co mogłaby zrobić, gdyby kiedyś w jej ręce trafiło prawdziwe pióro ze skrzydła anioła...

6.

---

Przez wiele dni, niemal każdego wieczoru odwiedzała park z aniołami. Spacerowała wzdłuż alejek okrytych śnieżną bielą, oddychała głęboko świeżym mroźnym powietrzem, strącała sopte z oblodzonych ławek i biały puch z uginających się pod jego ciężarem gałązek.

Dopiero na końcu oglądała wystawę w sklepie Hebnera. Początkowo tylko po to, żeby sprawdzić, czy nadal przyciąga klientów. Za każdym razem cieszyła się jak dziecko, gdy przed witryną napotykała zatrzymujących się tam ludzi. Lubiała przyglądać się im, zgłębiać ich reakcje, odgadywać myśli na podstawie wyrazu twarzy i gestów, zanim jeszcze podzielią się oceną z innymi lub spontanicznie wyrażą swój zachwyty.

Z czasem jednak ich obecność z jakiegoś powodu zaczęła jej ciążyć, w dziwny sposób nużyć, a w końcu wręcz drażnić. Niekiedy przyłapywała się na tym, że najchętniej przepędziłaby stamtąd wszystkich. Tylko po to, by

w samotności popatrzeć na anioła za szybą, biurko i cudowne pióro zastygłe nad wiecznie białą kartką. A potem wyobrażać sobie, czym można by ją zapełnić. Znow, tak jak poprzedniej zimy, gdy oglądała zaaranżowane przez siebie wystawy, pragnęła poczuć się jak dziewczynka z zapalkami z baśni Andersena. Rozpalić w swoim sercu trzy symboliczne iskierki. Ogrzałyby je złudnie na krótką chwilę, a potem zgasły na zawsze wraz z tą, która wypaliła się zaraz na początku.

Pomyślała o tym po raz pierwszy w dniu, gdy taksówką bagażową pojechała odebrać swój uszaty fotel w kolorze indygo. Na jednym z dwóch pozostałych, które teraz stały w pobliżu kominka, leżały pięknie ilustrowane baśnie H. Ch. Andersena. Julia, zaskoczona widokiem książki, niepewnie dotknęła spłowiałej okładki i zatrzymała kciuk na rozwarstwiający się rogu, ale nie zajrzała do środka.

– Poszedłem za ciosem i poszukałem stosownego zbioru baśni odpowiednich do czytania przy płonącym kominku, tak jak pani radziła. – Usłyszała nad sobą głos Hebnera. Zaaferowana niespodziewanym znaleziskiem nie zauważyła, kiedy się przy niej pojawił. – Najpierw sprawdziłem w księgarni, ale nowe wydania ani trochę nie pasowały do wyobrażenia, które pani zostawiła w mojej głowie. Dlatego wstąpiłem do antykwariatu, no i miałem szczęście! Dostałem oryginalne wydanie baśni Andersena z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku, z ilustracjami Szancera, w nie najlepszym może już stanie, ale moim skromnym zdaniem warte znacznie więcej niż wydania współczesne. I nie mam tu na myśli oczywiście ceny, jaką podał mi antykwariusz, bo w tym wypadku nie miała znaczenia. Proszę tylko zerknąć do środka, a zrozumie pani, o czym mówię – zachęcał.

Nie zareagowała, więc pochylił się i wyciągnął rękę, chcąc pewnie zrobić to samemu. Nie pozwoliła mu, kładąc energicznie obie dłonie na książce.

– Wiem, co ma pan na myśli – powiedziała z naciskiem. – Widziałam już to wydanie. Rzeczywiście jest niezwykłe.

Nie tylko widziała, ale znała je całe niemalże na pamięć, zwłaszcza ilustracje, w każdym najdrobniejszym szczególe. Nie musiała ich oglądać, i przede wszystkim nie chciała. Zwłaszcza teraz, w czyjeś obecności. To nie był właściwy moment na wspomnienia. A te *Baśnie* je przywoływały. Malowały obraz wielu cudownych wieczorów, podczas których Julia długo czytała na głos wciąż te same, ulubione opowieści, za każdym razem wymyślając im nowe, alternatywne zakończenie. Takie, które wabiło tylko dobre sny. Może właśnie dlatego teraz te smutne w rzeczywistości historie dawały tak miłą jej sercu nadzieję na to, że kiedyś będzie lepiej? Nadzieję, której nie umiała odnaleźć w swoim prawdziwym życiu... Baśnie Andersena były nierozproszonym światłem w mrocznym tunelu, dodawały sił.

Hebner przyglądał się jej chwilę z uwagą. Widać było, że zbyt gwałtowna reakcja Julii zaskoczyła go, a nawet zaniepokoiła, ale nie dopytywał o powód. Uśmiechnął się z udawanym zrozumieniem.

– Ja też bywam sentymentalny – powiedział pozornie bez związku i zarumienił się nieznacznie. – W Anglii, w domu moich rodziców nadal stoją na półkach książki, które czytałem w dzieciństwie. Wiele z nich mnie ukształtowało... – Zamyślił się. – Szkoda, że dzisiaj ludzie tak mało czytają i nie przywiązują do tego wagi. – Wskazał stojący między fotelami drewniany gazetnik wypchany książkami, którego Julia nie dostrzegła wcześniej. – Między bajki i baśnie włożyłem kilka dorosłych lektur, ale niestety jedynie dzieci interesują się zawartością zbioru. Bo ich rodzice nawet go nie zauważają albo może tylko udają, że tak jest.

– Muszę już iść – oświadczyła nagle, może trochę zbyt szorstko, ale nie czuła się na siłach, by kontynuować rozmowę ani tym bardziej wysłuchiwać zwierzeń mężczyzny. – Taksówka na mnie czeka. Do zobaczenia następnym razem.

Dopiero w drodze do domu zawstydziała się na wspomnienie swojego zachowania. Przecież Hebner starał się tylko być wobec niej uprzejmy. Nie był niczemu winien, tymczasem jej chwilowe wahanie nastroju odbiło się głównie na nim. Powinna go jak najszybciej przeprosić. Początkowo chciała od razu do niego zatelefonować, jednak po chwili stwierdziła, że to nie jest najlepszy pomysł. Wciąż nie czuła się dobrze, w jej głowie panował bałagan. Powinna najpierw zebrać i uporządkować myśli, pozbyć się czarnych i szarych, a zostawić jedynie te przyjemne lub chociaż neutralne. Obróciła się i zerknęła na fragment kraciastej tapicerki w intensywnym odcieniu intygo, widoczny przez szybę oddzielającą część bagażową auta. Mimowolnie uśmiechnęła się do siebie.

– Wrócę tam jutro rano – wyszeptala bezgłośnie. – Tak będzie lepiej.

Niestety, jej plan nie do końca się powiódł. Nie dostała już szansy na rozmowę z właścicielem sklepu w idealnym do tego dniu, gdy była wyjątkowo pozytywnie nastrojona i przygotowana na krótką i miłą pogawędkę o czymkolwiek, byleby tylko zatrzeć poprzednie złe wrażenie. Hebner okazał się zbyt zajęty, by poświęcić jej nawet niewielką chwilę, i tylko pozdrowił ją z daleka skinieniem głowy.

Również później, gdy zaglądała do sklepu, nie nadarzyła się okazja do nawiązania rozmowy bądź też Julia sama już do niej nie dążyła, z czego zdała sobie sprawę po kolejnej miłej pogawędce tylko z panią Karoliną. W końcu uznała, że niepotrzebnie roztrząsa coś, co tak naprawdę nie ma najmniejszego znaczenia. Nie istniał żaden istotny powód, dla którego powinno jej aż tak zależeć na dobrych relacjach z tym w gruncie rzeczy obcym jej człowiekiem. Poza tym mężczyzna od początku nie wydawał się urażony. Zachowywał się zupełnie normalnie. Uśmiechał się przyjaźnie na jej widok, po czym odchodził spokojnie do swoich zajęć. Nie dopytywał też o powód kolejnych wizyt, mimo że zapewne mogły go dziwić.

Być może właśnie dlatego Julia z czasem przestała zaglądać do sklepu pod

byle pretekstem, na przykład napicia się czekolady czy zamienienia kilku słów z panią Karoliną.

Nagle poczuła się tam zbędna, mimo że sprzedawczyni za każdym razem witała ją niezwykle serdecznie i w o wiele lepszym niż kiedyś nastroju. Bo choć obroty w sklepie nie wzrosły spektakularnie, to pojawili się w nim wreszcie klienci. Kupowali wciąż tylko nieliczni, większość wyłącznie oglądała, niektórzy częstowali się tylko czekoladą, ale jednych i drugich każdego dnia przybywało, co pozwalało wierzyć, że będzie już tylko lepiej. Julia trzymała za to oba kciuki i w głębi duszy cieszyła się, że ostatecznie podjęła się aranżacji wystawy. Mimo dotkliwych dla siebie skutków tej decyzji, z czego zdała sobie sprawę dopiero po pewnym czasie.

Witryna z aniołem początkowo jak żadna inna wabiła ją do siebie, by niepostrzeżenie i podstępnie wydrążyć w sercu Julii dziurę. Otworzyły się zasklepione dawno temu rany i niespodziewanie znów zaczęły krwawić. Początkowo przyjęła to z pokorą, uznała, że tak powinno być. Należała się jej kara za to, że przestała o nich myśleć, i, zaaferowana czymś innym, prawie zapomniała... Dlatego wciąż nie przestawała przyglądać się aniołowi na wystawie, tyle że z daleka i spod zsuniętego na czoło kaptura. Dopiero gdy została na tym parokrotnie przyłapaną przez jednego z młodych pracowników sklepu, odpuściła.

Nadal jednak nie potrafiła powstrzymać się przed odwiedzaniem parku po to, by posiedzieć chwilę na którejś z ławeczek i popatrzeć na anioły. W ciągu jednego tylko dnia, po długiej wędrówce ośnieżonymi alejkami odnalazła je wszystkie. Porządnie przy tym zmarzła, bo park, jak się okazało, mimo znacznego uszczuplenia arealów w trakcie podnoszenia z gruzów powojennej Polski nadal był całkiem rozległy, a niektóre posągi skrywały się w jego najdalszych zakamarkach, otoczone iglastymi krzewami, w dodatku przykryte sporą warstwą śniegu. Na szczęście wszystkie anielskie twarze były odsłonięte. Pewnie dzięki ciągłemu trzepotowi skrzydeł gołębi, które lubiły siadać na ramionach kamiennych figur i przechylonych lekko głowach otoczonych metalowymi aureolami.

Obserwując skrzydlate bractwo, Julia rozglądała się mimowolnie za staruszką, która je dokarmiła, jednak nie spotkała jej ponownie. Być może z powodu coraz późniejszej pory wybieranej do odwiedzania parku. Po zmroku wszystkie ptaki już spały, a ludzie przemierzający alejki za dnia spędzali ten czas w ciepłe domowych pieleszy. Z pewnością pochłaniały ich już przygotowania do nadchodzących świąt. Lepili pierogi lub wycinali pierniki, ucierali mak albo wyjmowali z zakurzonych kartonów świąteczne dekoracje i świecidełka, by, jak co roku, przystroić nimi mieszkania. Byli też i tacy, którzy dopiero późnym wieczorem znajdowali czas na zimową przebieżkę, marsz z kijami albo ostatnie zakupy w osiedlowym sklepiku.

Druga strona parku graniczyła z rozległym blokowiskiem. Tam zwykle

popołudniami spacerowały trzymające się za ręce pary, niekiedy z dziećmi, również ciągniętymi na sankach, albo z psami wyprowadzanymi na obowiązkowy spacer. Po zmroku jednak niektórzy pośpieszali się wzajemnie, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w przytulnych ciepłych domach, z okien których mrugały już do nich choinkowe światełka.

W tamtą, o wiele bardziej zaludnioną część parku Julia zachodziła najrzadziej. W pobliżu nowoczesnego osiedla usadowił się tylko jeden anioł i nie było sensu wyłącznie dla niego przemierzać długiej alei zbyt często. Tak to sobie tłumaczyła, choć w głębi duszy wiedziała, że prawdziwa przyczyna leży gdzie indziej. Ludzie, których tam spotykała, wraz z otaczającym ich światem byli przeciwległym biegunem jej własnego. Przypominali, czym jej obecne życie różni się od tego, które wiodła kiedyś, a oblicze znajdującego się tam anioła od jej własnego. Radość, bo ta jaśniała na nieruchomych policzkach skrzydlatego posłańca, o wiele lepiej pasowała do świata, w pobliżu którego się znajdował, niż do tego, w którym żyła Julia.

Jej znacznie bliższy był anioł, który odnalazł ją pierwszy. Nie szukała go, a on i tak zjawił się w najwłaściwszym dla niej momencie i się o nią zatroszczył. Dzięki niemu na chwilę stała się dawną Julią po to, by sobie przypomnieć, dlaczego już nią nie jest. Bolało, ale nie narzekała i nie broniła się przed tym doznaniem, bo w głębi duszy wiedziała, że powinno boleć. Nie wolno jej było zapominać ani na chwilę o tym, co zrobiła, niestety, czas okazywał się dla niej zbyt łaskawy. Nie chciała, by leczył rany. Jak tylko umiała, broniła się przed tym, ale gdy tylko traciła czujność i pozwalała sobie na chociażby namiastkę spokoju i nikły przebłysk zadowolenia, natychmiast robił swoje.

Dlatego właśnie postanowiła odwiedzać tylko te anioły, które pasowały do rzeczywistego stanu jej duszy. Najczęściej tego pierwszego i dlatego ulubionego – Anioła Zatrokanego. Niekiedy zastępował go inny – Zasepiony lub Zagniewany. Nieco rzadziej zatrzymywała się przy Zadumanym, i w końcu całkiem przestała chadzać tam, gdzie mieszkał Anioł Rozmarzony. Już od dawna nie miała własnych marzeń, nie był więc jej do niczego potrzebny. Podobnie jak Anioł Uradowany, do którego już nie wracała, nawet w myślach. Te z kolei krążyły o wiele częściej, niżby sobie tego życzyła, przy ostatnim z aniołów, Rozmiałowanym, choć jego imię powinno dziś brzmieć: Zaginiony. Tak właśnie nazywała w duchu Siódmego Anioła, którego twarzy nie było dane jej poznać.

Po raz kolejny przemierzała poświęconą mu aleję, zastanawiając się, jaki ostatecznie spotkał go los. Jej ciałem od czasu do czasu wstrząsał dreszcz. Dzień był mroźny, jak wszystkie poprzednie, lecz Julia w ogóle tego nie czuła. Nie dygotała wcale z zimna, ale z powodu tego, co działo się z nią w środku. To nie był odpowiedni dzień na przyjemny, zimowy spacer i powinna była to przewidzieć, gdy przy skrytce pocztowej poczuła pierwsze uderzenie gorąca.

Teraz pot spływał jej po plecach i dekolcie, a cienka bluzka pod rozpiętym do połowy płaszczem kleiła się do ciała. Nie zwracała uwagi na mijających ją przechodniów, prawie nie reagowała na nieśmiałe albo zdawkowe propozycje pomocy tych, którzy dostrzegli jej nie najlepszy stan. Gestem tylko dawała znać, że niczego nie potrzebuje.

Szła z opuszczoną głową, unikając ludzkich spojrzeń. Zatrzymała się tylko na chwilę, by podnieść szalik, który zsunął się na ziemię i zaplątał pod nogami tak, że omal nie upadła na chodnik. Poczowała zawroty głowy, gdy się po niego schyliła.

Z powodu suchości w ustach z trudem łąpała oddech. Owinęła niedbale wokół mokrej szyi szal – brudny od śniegu zmieszanego z solą i żwirem, i weszła do pierwszego lepszego sklepu, żeby kupić sobie coś do picia.

Kolejna szara koperta zabrana ze skrytki na poczcie ciążyła jej w torebce jak kamień. Wciąż pozostawała nieotwarta, mimo że palce Julii zaciskały się na niej parokrotnie – na przystanku, w autobusie i w końcu, gdy wkładała do torebki butelkę z wodą mineralną. Wcześniej z trudem przełknęła kilka ciepławych łyków. Język przestał przywierać jej do podniebienia i uspokoił się oddech, niestety puls wciąż nie zwalniał. Dlatego długo i nerwowo szarpała się z zapięciem torebki, usiłując jednocześnie wyminąć grupę podpitych mężczyzn tarasujących chodnik. Jeden z nich wysunął się w jej stronę, obdarzając rubasznym uśmiechem obnażającym nierówne uzębienie pełne ciemnych przebarwień.

– A może piękna pani poratuje w potrzebie, hę? Nieszczęście takie mnie dziś spotkało, bo zabrakło złoty osiemdziesiąt na wino. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej i wzrokiem poszukał uznania u podchmielonych towarzyszy

Tamci zarechotali głośno, komentując bełkotliwie i w niewybredny sposób śmiałą prośbę kolegi od kieliszka.

Julia bez słowa wyjęła portfel i odliczyła kwotę. Mężczyzna zamarł ze znacznie mniej wyraźnym uśmiechem na ustach i dopiero po dobrej chwili wyciągnął rękę po pieniądze.

– Ale... Jak to tak? – wyjąkał, chowając monety do kieszeni. – I już? Bez gadania, coby do uczciwej roboty się wziąć i samemu zarobić albo dzieciom lepiej zanieść zamiast przepijać?

– A jeśli nawet tak powiem, posłucha mnie pan?

Wzruszył ramionami

– Ma pan dzieci? – spytała i spojrzała na niego z uwagą.

Cofnął się, nieco zmieszany, i zaprzeczył ruchem głowy.

– Właśnie. – Postąpiła krok w jego stronę, nie spuszczając z niego wzroku. – Brak pracy to wymówka próżniaków i gdyby pan chciał znaleźć jakieś zajęcie, już dawno by pan to zrobił. Więc po co miałabym strzepić sobie język? Mogłabym, co prawda, poradzić panu, żeby kupił pan sobie zamiast wina na przykład rękawiczki. – Z dezaprobatą popatrzyła na spierzchnięte od mrozu sinawe dłonie mężczyzny. –

Jednak gdyby było panu naprawdę zimno, pewnie już dawno by pan to zrobił.

Nie czekając na odpowiedź, dopięła guzik pod szyją i o wiele raźniej niż wcześniej ruszyła w stronę parku. Po kilkunastu krokach obejrzała się dyskretnie. Nieznajomy nadal tkwił tam, gdzie go zostawiła, i patrzył w jej stronę. Pozostali mężczyźni zniknęli, prawdopodobnie za drzwiami sklepu. Nie sprawdzała już tego jednak, podobnie jak tego, czy jej przypadkowy znajomy wciąż odprowadza ją wzrokiem.

W parku spędziła znacznie mniej czasu niż zwykle. Usiadła naprzeciwko Zatrokanego Anioła i, ponieważ było jeszcze jasno, wypatrywała staruszki, nie przestając sypać gołębim przyniesiony z domu słonecznik i owies. Przyglądała się ich kłótniom o każde ziarenko.

Nadal nie mogła też powstrzymać się przed ciągłym dotykiem koperty i wielokrotnie wsuwała dłoń do torebki, jakby sprawdzając, czy ciągle tam jest. Robiła to z tego samego powodu, dla którego człowiek bez przerwy dotyka tkliwego miejsca, sprawiając tym sobie jeszcze większy ból. Wiedziała, że powinna otworzyć kopertę dopiero w domu, jednak kusiło ją, by raz jeden złamać ustanowioną przez siebie zasadę i zrobić to wcześniej. A potem podzielić się z patrzącym na nią aniołem jej zawartością, i przy okazji swoim bólem. Pół na pół.

Staruszka i tym razem nie przysła, a ptaki w końcu odfrunęły. Julia podniosła się wolno z ławeczki i roztarła zdrętwiałe, przemarznięte uda. Zapięła porządnie płaszcz, po czym ruszyła w stronę przystanku autobusowego, świadomie wybierając zamiast okrężnej, ale za to niezwykle urokliwej parkowej alejki, jak to robiła zwykle, drogę obok sklepiku, gdzie kupiła sobie wodę. Już z daleka spostrzegła mężczyznę, który prosił ją o drobne. Był sam i kiwał się smętnie w przód i w tył, co oznaczało, że kwota, którą zebrał, wystarczyła na wino. Gdy go mijiała, podniósł na nią wzrok i przetaił przekrwione oczy. Ironiczny i znaczący wyraz twarzy sugerował, że mimo przyćmionego alkoholem umysłu rozpoznał Julię.

– Szanowna pani poratuje znów biedaka, co? Dwa złote chociaż – wychrypiał i od razu wyciągnął obie ręce. – Na rękawiczki – zarechotał drwiąco.

Podowała mu banknot pięćdziesięciozłotowy.

– Za dwa złote nie da się kupić porządných rękawiczek – odparła.

Przez długą chwilę trzymał pieniądze między dwoma palcami jak martwą mysz, wpatrując się w papierek z niedowierzaniem. Nawet nie zauważył, kiedy Julia zostawiła go samego. Dopiero gdy była już daleko, usłyszała wołanie. Odwróciła się.

– Dziękuję! – powtórzył.

Skinęła głową i od razu biegiem ruszyła przed siebie.

W autobusie nie usiadła, mimo że wiele miejsc było wolnych. Trzymała się kurczowo zimnego metalowego drążka, ze wzrokiem wbitym w okno. Dopiero po



długiej chwili zauważyła, że odbija się w niej czyjaś twarz, z pewnością obca. Starsza kobieta z torbą wypchaną zakupami, trzymaną na kolanach, przyglądała się jej z zainteresowaniem. Rozchylone lekko usta zapowiadały mogące pojawić się w nich lada chwila pytanie, dlatego Julia czym prędzej odwróciła wzrok. Przeczynała, co może usłyszeć, jak zawsze wtedy, gdy ktoś zbyt długo jej się przyglądał. Ktoś, kto mógł rozpoznać w niej dawną Julię, tę, która nie powinna już istnieć. Nie mogła do tego dopuścić. Bo gdyby jej obecny świat przez to runął, pewnie nie znalazłaby w sobie dość siły, by stworzyć dla siebie kolejny, a do tego pierwszego nie mogła już wrócić.

Nigdy.

Gdy w końcu znalazła się na chodniku, znów zaczęła biec. Zwolniła dopiero przed klatką swojego wieżowca. Weszła do pustej na szczęście windy i odetchnęła z ulgą. W domu od razu rzuciła się w kierunku szafy, aby wydobyć z jej dna pudełko po butach. Drżącymi dłońmi rozerwała kopertę.

Zdjęć było znacznie mniej niż poprzednio. Usiłowała odpędzić od siebie poczucie żalu. Z trudem powstrzymała się przed obejrzeniem ich po raz drugi. Przytuliła je tylko na chwilę do piersi, a potem delikatnie odłożyła wszystkie.

7.

---

Zawinięta w ciepły koc, z brodą opartą na krawędzi kubka pełnego gorącej herbaty, z lubością zapadła się w przysadzisty i napuszony stosownie do rodowodu, angielski fotel ze sklepu Hebnera.

Nowe miejsce odpowiednio uwidocznilo w nim wszystkie te cechy, które Julię urzekły, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Dopiero w stonowanym i ascetycznym otoczeniu widać było, jak jest ogromny. Gabarytem i swoją intensywną, jaskrawą barwą niemal zdominował przestrzeń w maleńkim, białoszarym i chłodnym dotąd salonie, co Julii, o dziwo, w ogóle nie przeszkadzało. Być może dlatego, że fotel odwracał uwagę od wszystkiego, co działo się poza jego terytorium – błysków światła za oknem, stłumionych dźwięków dochodzących nie wiadomo skąd i przede wszystkim myśli odbijających się echem od monotonii nagich ścian i półek, na których stały tylko lśniące nowością książki, żadnych innych przedmiotów, zdjęć ani niczego, co nadawałoby

mieszkanii indywidualny charakter tworzony zwykle po to, by czuó sió w nim mo¿liwie najlepiej. Tak zwaną duszú.

Z tego przede wszystkim powodu fotel tak bardzo nie pasował do nowego otoczenia. Łamał jego dotychczasowú konwencjé, sprawiał, że mieszkanie zdecydowanie o¿yło, choó nadal sporo brakowało mu do normalnoóci typowej dla wielu innych, tych całkiem zwyczajnych. Przestało jedynie wyglądaó jak idealnie zaprojektowana ekspozycja sklepowa, poniewa¿ zachwiana została jego dotychczasowa harmonia. Julia dostrzegła tę zmiané natychmiast i, mimo że wciąż udawała przed samą sobą, że to bez znaczenia, drżała na myó o kolejnych. Nie tylko w mieszkaniu, ale i we własnym ¿yciu. Powoli traciła kontrolé nad swojå rzeczywistoóciå i nie umiała powstrzymaó tego procesu. Zupełnie jakby ktoó w jej imieniu sterował jej losem – planował ka¿dy kolejny krok. A ona nie potrafiła sié temu przeciwstawió ani rozpoznaó, co jest dla niej dobre, a co złe. Nie miała te¿ pojęcia, dlaczego tak sié dzieje. Wiedziała jedynie na pewno, kiedy to wszystko sié zaczęło.

Zapatrzona w przedostatniå stroné kalendarza w twardej granatowej okładce, z niepokojem rozmyólała o tym, co ją jeszcze czeka, nie tylko w kończącym sié właśnie roku. Rzadko robiła plany, a jeśli ju¿, to niezbyt odległe. Woląa ¿yó bieżącymi sprawami, wedłóg bezpiecznego rytmu, który na ogół ustalał sié sam, jeśli tylko coó z zewnåtrz go nie zaburzyło, nie potrząsnęło óniegowå kulå, w której Julia zbudowała swój nowy mały ówiat. Wiedziała, że wówczas powinna po prostu spokojnie czekaó, a¿ wszystko samo sié uspokoi i wróci do normy. Tak było dotąd. Teraz ka¿dy kolejny dzieñ coraz bardziej ró¿nił sié od poprzedniego, a Julia wciąż nie była pewna, co to oznacza dla niej.

Do niedawna tkwiła w postanowieniu, że nie wróci wiócej do parku, i tym bardziej do sklepu Hebnera, jednak teraz, gdy spojrzåła na daté przekreólonå grubym czerwonym flamastrem, zrozumiała, że musi pojechaó tam jeszcze jeden raz. Obiecała to swojemu ulubionemu aniołowi, gdy spotkała go po raz pierwszy. Zatraskane kamienne oblicze dodało jej wtedy otuchy, wzmocniło ją. To w jego obecnoóci poczuła, że mo¿e w swoim ¿yciu zrobió jeszcze coó dobrego. Nie dla siebie, ale dla innych. Wtedy nie była pewna, co to miałoby być – dziś nie miała ju¿ co do tego wåtpliwoóci.

Musi zrobió wszystko, choóby nie wiadomo jak absurdalnie to brzmiało, by list małego Antosia nie pozostał bez odpowiedzi. Zamierzała odnaleó metaforyczne pióro ze skrzydła anioła, i przede wszystkim chłopca, który o nie poprosił. Właśnie dlatego postanowiła dokładnie w dzieñ Wigilii opowiedzieó o tym swojemu aniołowi. A potem wyrzució z siebie wszystko, co nagromadziło sié w niej przez ostatnie dwanaócie miesiúcy. Dokładnie rok wcześnie¿ wyplåkała to tylko w poduszké, teraz czuła, że to za mało. Potrzebowała kogoó, kto jej wysłucha, nawet jeśli niczego nie podpowie. Kamienny anioł nadawał sié do tego

doskonale.

Westchnęła. Odwinęła się z koca i szlafroka, wyswobodziła z koszuli nocnej i nago poszła pod prysznic. Miała nadzieję, że odświeżone ciało pozytywnie wpłynie na stan jej umysłu. A jeśli nie ono, to może kilka łyków świeżego powietrza. Od zbyt wielu dni nie wychodziła z domu i pewnie mimo nieprzyjemnego poczucia gnuśności nadal by tego nie zrobiła, gdyby do zmiany planów nie zmusiła jej własna lodówka. Świecąc smutno pustkami, błagała o zakupy. Julia postanowiła ją zapełnić tak, by zapasów starczyło przynajmniej na kilkanaście najbliższych dni. Liczyła, że w osiedlowym sklepiku na dole dostanie wszystko, czego potrzebuje.

Potem zamierzała skupić się już tylko na pracy. Przyjęła wiele zleceń na karnawałowe witryny i rozsądek nakazywał zająć się nimi jeszcze w grudniu, żeby zdążyć ze wszystkim na czas. Powinna jak najszybciej przygotować projekty, by wiedzieć, czego szukać w wypożyczalniach rekwizytów i zrobić wcześniej rezerwacje. Potrzebowała realistycznie wyglądających figur o twarzach i dłoniach z polimerowej glinki lub lateksu, wykwintnych strojów z błyszczącej tafty, atlasów, muślinów, z dodatkiem cekinów i piór. Powinna je wybrać jeszcze przed Bożym Narodzeniem, w przeciwnym razie inni ją uprzedzą i nie zostanie nic, na czym by mogła oprzeć swoje późniejsze pomysły.

Tak to sobie tłumaczyła, choć w głębi duszy wiedziała, że to tylko wymówki. Ważniejsze od rekwizytów było coś, czego nie musiała nigdzie szukać, bo miała to w sobie – wyobraźnia, dzięki której potrafiła stworzyć idealny obraz na podstawie mglistego zarysu. Potem historia toczyła się już właściwie sama, a ona musiała jedynie zdecydować, który jej fragment zaprezentować światu, zatrzymując go w umownym kadrze sklepowej witryny.

Praca była jedynie pretekstem i usprawiedliwieniem dla samotności, na którą się zdecydowała. Starła się żyć z dala od wszystkiego, co działo się na zewnątrz, poza jej światem, co jej samej nie dotyczyło. Skupienie potrzebne do przygotowania kolejnych projektów pozwalało odegnąć klejące się do umysłu myśli i nie patrzeć na raniącą jej oczy magię świąt Bożego Narodzenia, która powoli zaczynała przyprawiać Julię o mdłości.

Początkowo nie rozumiała, co się z nią dzieje. Od zbyt wielu dni nie czuła się najlepiej. Nie miała apetytu i przez to brakowało jej energii. Całodzienny posiłek stanowiło późne śniadanie składające się z jogurtu i płatków. Teraz również nie była głodna, ale bolesny skurcz żołądka i miękkość kolan przypominały, że jeszcze nic nie zjadła, mimo że powinna przed pójściem pod prysznic.

Owinąwszy się ręcznikiem, wsparła dłonie na umywalce i spojrzała na swoją bladą twarz odbitą w zaparowanym do połowy lustrze. Wykrzywiła usta w drwiącym uśmiechu, gdy wyobraziła sobie, jak osuwa się omdlając na zimną terakotę. Leżałaby tak, dopóki nie wróciłaby jej świadomość albo póki by nie

umarła z głodu i wychłodzenia. Jak dziewczynka z zapalkami, przez głowę przemknęła jej nedorzeczna myśl. Paradoksalnie przywołała ją do rzeczywistości. Sprawiała, że Julia odrzuciła ręcznik i wyszła z łazienki. Szczękając z zimna zębami, rozglądała się bezradnie i usiłowała sobie przypomnieć, gdzie zostawiła wyjęte z szafy, świeże ubrania. Znalazła je porzucone na kuchennym blacie, obok czajnika i puszki z herbatą. Uniosła w zdumieniu brwi i zaśmiała się cicho.

Z jakiegoś powodu coraz częściej zachowywała się nielogicznie, podczas gdy powinna być rozsądna, dbać o siebie i dobrze się odżywiać. Nie miała przecież nikogo, kto się nią zaopiekuje, jeśli przez własną niefrasobliwość wpędzi się w chorobę. Wcześniej nie musiała o tym pamiętać, była świetnie zorganizowana i to, co obecnie przychodziło jej z takim trudem, wówczas było prawie niezauważalną codzienną oczywistością, wykonywaną jakby mimochodem.

Na wciąż wilgotne i rozdygotane ciało włożyła wreszcie bieliznę, sweter i dżinsy. Zapięła pod samą szyję narzuconą pośpiesznie kurtkę, a wilgotne włosy schowała pod czapkę. Zaróżowioną wciąż od gorącej wody twarz owinęła szalikiem, wsunęła stopy w pierwsze z brzegu buty, sięgnęła po torebkę i otworzyła drzwi. Gdy zobaczyła wychodzącego od siebie sąsiada, zastanawiała się chwilę, czy nie skorzystać ze schodów, ale ostatecznie razem z nim weszła do windy. Mężczyzna mruknął niewyraźne „dzień dobry” i utkwiał wzrok w zamykających się drzwiach, nie odrywając go od nich ani na sekundę, zanim się nie otworzyły na dole. Wtedy natychmiast wybiegł, bez pożegnania.

Julia odprowadziła go wzrokiem, z dłonią opartą na przytwierdzonej do lustra poręczy. Dopiero gdy zniknął jej z oczu, ruszyła w ślad za nim. Po drodze minęła rudą dziewczynę z psem na rękach, a zaraz potem pulchną brunetką, tę samą, którą (tak jak i tę poprzednią) widywała już parokrotnie w towarzystwie mężczyzny z dziewiętego piętra. Obejrzała się za nimi i zmarszczyła lekko czoło, ale zaraz potem wzruszyła ramionami. Spodziewane kłopoty nie były przecież jej zmartwieniem, tylko niefrasobliwego podrywacza, który mógł przewidzieć konsekwencje, zanim wplątał się w chory układ. Może właśnie dlatego w końcu powinien je ponieść? Julia współczuła jedynie omotanym i zapewne zbałamuconym przez niego kobietom, niestety było już za późno, by coś temu zaradzić i oszczędzić upokorzenia chociaż jednej z nich, gdy się spotkają. Lepiej też nie wtrącać się do cudzych spraw, by nie ściągnąć na siebie nie swoich problemów. Zwłaszcza gdy posiadało się nadmiar własnych.

Mechanicznie pakowała zakupy, nie zastanawiając się nawet, czy ma już wszystko, czego potrzebuje i w odpowiedniej ilości. Zwykle robiła wcześniej szczegółową listę, tym razem wypadło jej to z głowy. Lub też celowo sobie jej tym nie zawracała. Od pewnego czasu przestała przywiązywać wagę do tego typu spraw. Wydawały się bez znaczenia wobec innych, znacznie ważniejszych.

– I jeszcze pomidoriki, o tu je włożymy, może ja, z tej strony... –

Ekspedientka pomagała Julii podejrzanie gorliwie, ponieważ dla innych nie była aż tak uprzejma i pomocna. Jednocześnie przyglądała jej się ze źle skrywanym zaciekawieniem. – A może ja kogoś zawołam, żeby pani pomógł to zataścić do domu?

– Dziękuję, nie trzeba. Nie mam daleko, poradzę sobie.

Stłumiła znajome drżenie serca i odegnała obawę, która teraz wydała się nedorzeczną. Było mało prawdopodobne, by sprzedawczyni właśnie dziś rozpoznała w niej kogoś innego niż tylko mieszkankę pobliskiego osiedla robiącą od czasu do czasu zakupy w jej sklepiku, jednak pewna doza niepewności, jaka towarzyszyła Julii w podobnych momentach, odebrała jej na chwilę głos. Dlatego bez zwłoki chwyciła torby w obie ręce i podziękowała kobiecie samym tylko uśmiechem, gdy ta energicznie wyskoczyła zza lady, żeby otworzyć drzwi.

Niestety, z tymi do klatki schodowej musiała radzić sobie już sama, co okazało się niełatwe. Przytrzymując kolanami jedną z toreb, wstukiwała kod i gdy już prawie jej się to udało, w otwartych nagle drzwiach stanął elegant z dziewiątego piętra. Sam. Najwidoczniej udało mu się wybrnąć z niezręcznej sytuacji, w jakiej się z pewnością znalazł. Kobiety, które do niego zmierzały, musiały się ze sobą spotkać, tymczasem on nie wyglądał na zdenerwowanego, więc wydawało się, że wyszedł z tej konfrontacji bez szwanku. Julia miała nadzieję, że nie ucierpiała też nazbyt mocno żadna z jego wybranek.

– Pomogę – zaofiarował się i wbrew jej protestom przejął obie torby.

Zaskoczona, ruszyła za nim bez słowa, ale już po chwili odzyskała utracony na chwilę rezon.

– Dziękuję, dalej już sobie poradzę – powiedziała stanowczo, gdy zablokował na chwilę drzwi windy, żeby pozwolić do niej wejść kobiecie z kilkuletnią dziewczynką, które w międzyczasie również pojawiły się na klatce schodowej.

– Na pewno? – dopytywał, ale już się wycofując.

Potrząsnęła energicznie głową i wypuściła z ulgą powietrze, gdy winda wreszcie ruszyła.

– Boooli! – zapiszczała nagle dziewczynka.

Julia dopiero wtedy spostrzegła, że kobieta ściska rączkę dziecka tak mocno, że końce delikatnych paluszków pobielają. Jeszcze chwila i mogły zacząć sinieć.

Już zamierzała krzyknąć na sadystkę i wyswobodzić biedne dziecko, gdy winowajczyni w tym samym momencie uwolniła rączkę. Pochyliła się i z dziwnym wyrazem twarzy przytuliła pochlipującą cicho dziewczynkę, jednak nazbyt gwałtownie i trochę sztywno, jak pozbawiony uczuć automat. Nie odezwała się też ani słowem, nie usprawiedliwiła swojego zachowania, mimo że z pewnością dostrzegła oburzenie malujące się na twarzy Julii. Zacisnęła w wąskie kreski usta i oczy, i trwała tak unieruchomiona, zmuszając do tego samego coraz bardziej

przestraszone dziecko, dopóki winda się nie otworzyła. Wtedy odetchnęła z wyraźną ulgą. Nadal lekko zgięta w pół wyskoczyła na korytarz, ciągnąc za sobą małą. Dopiero wtedy wyprostowała się i drżącymi rękami wyjęła z kieszeni klucze, szepcząc pod nosem coś na kształt przeprosin. Przez chwilę gmerała nieporadnie w zamku i szarpała klamką. W końcu otworzyła drzwi i zniknęła za nimi wraz z marudzącym teraz dzieckiem. Julia patrzyła na to oniemiała, z palcem wbitym z całej siły w przycisk blokujący windę, nie zważając na to, że uchwyt plastikowej torby boleśnie wbija jej się w nadgarstek. Dopiero gdy kobieta i dziecko zniknęły jej z oczu, pozwoliła, by winda ruszyła.

Wysiadła na swoim piętrze i z impetem wpadła do mieszkania. Rzuciła niedbale zakupy na kuchenny blat, nie zwracając uwagi na turlające się wprost na podłogę pomidory. Odkręciła kran i przez chwilę piła łąpczywie rozchlapującą się wodę. Przycisnęła do twarzy mokre dłonie, jednak obraz, który nagle pojawił się jej przed oczami, nie chciał zniknąć. Nadal widziała małą i bardzo bladą dziecięcą rączkę. Jednak teraz już nie tę należącą do nieznanym dziewczynki. Inną. Taką, którą mogła oglądać już tylko w snach.

Skuliła się i załkała głośno. Zadrżała przestraszona i zamilkła, zupełnie jakby nie rozpoznała własnego szloch. Rozejrzała się bezradnie, nasłuchując w ciszy.

Podeszła do niedomkniętych drzwi. Otworzyła je nieco szerzej i po krótkim wahaniu wyszła na klatkę schodową. Znów nasłuchiwała. Przytrzymując się kurczowo poręczy, na wciąż miękkich nogach zeszła piętro niżej. Stała pod drzwiami, za którymi zniknęła kobieta z windy i przyłożyła do nich ucho. Usłyszała rwany dziecięcy śmiech, który w pierwszej chwili wzięła za płacz. Towarzyszyła mu wyśpiewywana melodyjnym głosem wyliczanka. Entliczek, pentliczek... na tego bęc! I kolejny wybuch śmiechu, tupot małych bucików, który stawał się głośniejszy, najwyraźniej się zbliżał.

Przestraszona oderwała się od drzwi i w panice uciekła na górę. Wpadła do otwartego na oścież mieszkania i, zdyszana, znów oparła się o kuchenny blat. Powiodła beznamiętnym wzrokiem po rozsypanych zakupach, po czym westchnęła z rezygnacją. Pozbierała pomidory, a potem starła z podłogi czerwone plamy soku.

Zamiast zająć się przyrządzaniem sobie posiłku, wróciła na fotel i zawinęła się w porzucony tam koc. Przycisnęła jego róg do coraz bardziej drżących ust. Zmrużyła oczy i popatrzyła w odsłonięte okno.

– *Ja stróż latarnik nadaję z mrówkowca* – wymamrotała ledwie zrozumiałe pierwszą strofę prześladowającego ją wiersza. – *Ja stróż latarnik...*

Po godzinie kompletnego bezruchu położyła sobie na kolanach laptopa. Rozprostowała na chwilę zdrętwiałe ramiona i nogi. Ich ból wydał się kojący i zdecydowanie na miejscu, bo przystawał do jej obecnego stanu. Poczowała ulgę. Uspokoila się też na tyle, by uświadomić sobie, że nadal jest zbyt rozbita, by spokojnie pracować. Po namyśle otworzyła dokument z powieścią bez tytułu. Jej

palce rozbiegły się po klawiaturze. Nie patrzyła nawet na monitor, po prostu pisała.

*Ja stróż latarnik nadaję z mrówkowca. Nie uratuję nikogo, bo we mnie jest już tylko ciemność...*



8.

---

Nie podchodziła do okien i nawet w dzień nie podnosiła rolet. Zanurzyła się cała w półmroku mieszkania i pogrążyła w pracy, usiłując w ten sposób przetrwać najtrudniejszy czas. Nie tylko nie wyglądała, ale też nie wychodziła już na zewnątrz, gdzie mimo mrozu trwała gorączka ostatnich zakupów i nerwowych przygotowań, przy akompaniamencie mieszających się ze sobą świątecznych melodii, w blasku światełek i wśród płaczących się wszędzie mikołajów o znudzonych z pewnością minach ukrytych pod przyklejonymi brodami z poliestru. Nie chciała na to patrzeć i wcale nie musiała, by mieć pewność, że jest dokładnie tak, jak co roku. To nie był już jej świat, dlatego odgrodziła się od niego, by przez najbliższe dni pozostać we własnym – dużo bardziej bezpiecznym i spokojnym, choć bez świątecznych życzeń.

Dwudziestego czwartego grudnia Julia ocknęła się wreszcie z gnuśnego odrętwienia, mimo że nie poczuła się przez to lepiej. Kręciła się niespokojnie po

mieszkań i wyczekiwała pierwszej gwiazdki, jednak nie tak, jak większość ludzi, ponieważ z innego powodu. Oni wraz z jej pojawieniem się mieli zasiąść do wigilii, natomiast ona zamierzała wyjść na niemalże pustą już wówczas ulicę i spędzić ten czas po swojemu. Pragnęła znów stać się dziewczynką z zapalkami z baśni Andersena.

Tuż przed zapadnięciem zmroku ubrała się ciepło, ale zanim wyszła, zapaliła świecę. Tylko na chwilę, podobnie jak rok wcześniej, dokładnie o tej samej porze. Zanim ją zdmuchnęła, trzymała przez moment w dłoniach, wpatrując się w drżący płomień. Maleńki i tak łatwy do zagaszenia jak niejedno ludzkie życie, nawet takie, które ledwie się zaczęło. Rozbłysło i nieoczekiwanie zgasło. Bo czasem przecież wystarczyło tak niewiele, właściwie mgnienie oka, by nadszedł nieodwracalny koniec, a potem został tylko ból i niewyobrażalne poczucie winy. Julia miała nosić w sobie już zawsze zarówno jedno, jak i drugie.

Odstawiła dymiącą jeszcze lekko świeczkę, po czym zamknęła za sobą drzwi.

Najpierw skierowała kroki do sklepu, w którym zatrudniła się przed prawie dwoma laty. Zdażyła przed zamknięciem, w niemalże ostatniej chwili. Zanim weszła, rzuciła krótko okiem na witrynę zaaranżowaną przez kogoś innego. Spodobała się jej. Nie była przeładowana, nie zdominowały jej nachalne informacje o przecenach i promocjach, co doskwierało większości innych. Ta była całkowicie przejrzysta i z pewnością dobrze przemyślana. I, co najważniejsze, przyciągała i skupiała na sobie wzrok przechodniów, w tym Julii, ponieważ dość niechętnie odkleiła się od niej, by wejść wreszcie do sklepu.

Udała, że nie widzi nieprzychylnego spojrzenia ekspedientki zerkającej niecierpliwie na zegarek. Zatrzymała się przy stojaku z miękkimi szalami i wybrała jeden, sugerując się tylko dotykiem. Dopiero potem obejrzała kolor i wzór. Okazały się doskonałe. Szaro-błękitne ornamenty i białe płatki śniegu tworzyły idealny deseń.

– Poproszę ten – powiedziała, gdy sprzedawczyni zaoferowała pomoc, chcąc pewnie w ten sposób wpłynąć na decyzję Julii o zakupie lub rezygnacji i, niezależnie od wyboru, skłonić ją do szybszego opuszczenia sklepu, który już za moment miał zostać zamknięty.

To jednak było niepotrzebne, ponieważ Julia i tak nie zamierzała zostać w nim dłużej, niż to było konieczne. Miała jeszcze coś ważnego do załatwienia. Podziękowała kobiecie, życząc jej wesołych świąt. W zamian usłyszała niemal identyczne słowa i z trudem stłumiła grymas niechęci. Nie chciała psuć komukolwiek nastroju, zarażając własnym, zdecydowanie nie najlepszym. Nagle przyszło jej do głowy, że nie ma prawa wchodzić w drogę ludziom spieszącym się do swoich bliskich ani tym bardziej obnosić się z osobistą niechęcią do świąt Bożego Narodzenia. To było zbyt egoistyczne. Powinna przynajmniej udawać, że

wszystko jest w porządku i nie zakłócać świątecznego spokoju tym, którzy, w przeciwieństwie do niej, na niego zasłużyli.

Z prawie pustego już pasażu dobiegał zgrzyt opuszczanych rolet, cichły świąteczne melodie i gasły światła. Klienci pośpiesznie opuszczali galerię. Julia skorzystała z obrotowych drzwi wyjściowych jako jedna z ostatnich.

Stała chwilę niepewnie na rozświetlonej kolorowo ulicy, mnąc w dłoniach pakunek z szalem, zanim wreszcie wsunęła go do torebki. Kusiło ją, by go rozpakować i obejrzeć raz jeszcze, sprawdzić, czy naprawdę jest tak miły w dotyku, jak wydało jej się za pierwszym razem. Bardzo chciała na niego jeszcze raz popatrzeć, a może nawet przymierzyć, mimo że nie był przeznaczony dla niej. Miała podarować go komuś, z kim od dawna pragnęła się spotkać, ale wciąż brakowało jej odwagi. Nie łudziła się nawet, że szalik pomoże jej w podjęciu decyzji, lecz i tak wolała go kupić już teraz. Na wszelki wypadek, gdyby wydarzyło się coś niespodziewanego. Coś, co pozwoliłoby wreszcie wręczyć go właściwej osobie albo zapakować i wysłać tam, skąd co miesiąc przychodziły koperty ze zdjęciami. Bez żadnych życzeń ani listu, bo tego już nie śmiała sobie nawet wyobrazić.

Szła ulicą i usiłowała nie patrzeć na świąteczne dekoracje ani na niemal ostatnich już przechodniów przemykających w pośpiechu. Ona sama już nigdzie się nie śpieszyła, dlatego dopiero gdy porządnie przemarzła, wsiadła do opustoszałego autobusu. Długo nie zdawała sobie sprawy z tego, że cała drży i bezwiednie zaciska w pięści zdrętwiałe z zimna dłonie, wbite w kieszenie płaszcza. Uświadomiła to sobie dopiero, gdy zrobiło jej się ciepłej i dzięki temu znacznie przyjemniej. Wówczas od razu wysiadła.

Znów szła przed siebie jak automat, zbyt mocno pogrążona we własnych myślach, by zorientować się, gdzie właściwie jest. Dlatego zdziwiła się, gdy nogi same poniosły ją we właściwym kierunku i dotarła wprost do parku z aniołami. Tam w końcu się ocknęła.

Nadal mijali ją nieliczni przechodnie, na ogół odświętnie ubrani, z kolorowymi prezentowymi torebkami w rękach. Miała nadzieję, że już za chwilę ulice zrobią się całkiem puste, a ona zostanie w parku sam na sam ze swoim ulubionym aniołem. Najpierw jednak postanowiła spotkać się z tym, którego osobiście uwięziła – ale nie w szklanej kuli, jak niegdyś siebie, lecz za sklepową szybą, przy starym biurku. Od wielu dni pochylał się nad wciąż tą samą białą kartką – listem, który nigdy nie miał powstać. Przecież biedny, zastygły w niewygodnej pozie anioł w przeciwieństwie do niej nie zasłużył sobie na ten los. Może właśnie z tego powodu miał tak smutno zwieszzone skrzydła? Może wolałby po prostu odfrunąć jak jego skrzydlaci bracia mniejsi?

Aleja Siódmego Anioła, choć znajdowała się na uboczu, również lśniła od kolorowych lampek w kształcie gwiazd i dzwonek rozwieszonych na ulicznych

latarniach. Śnieg strząsany przez wiatr skrzył się i mienił w ich blasku niczym brokat w potrząsanej niewidzialną ręką szklanej kuli. Żłota, świetlna poświata mieszała się z granatem nieba, nadając mu czystą ametystową barwę, równie nierealną jak noc, która miała się niebawem rozpocząć.

Większość przechodzących tędy ludzi pewnie zachwycił ten widok, ale nie ją. Dlatego mimowolnie przyśpieszyła kroku i zwolniła dopiero, gdy dostrzegła zimny błękitny poblask wylewający się ze sklepowej witryny sklepu Hebnera. Z daleka miała wrażenie, że ktoś tam stoi, ale gdy dotarła na miejsce, zobaczyła jedynie śnieg udeptany przez o wiele więcej niż tylko jedną parę butów. To oznaczało, że wystawa nadal cieszy się powodzeniem. Nie wzruszyło jej to jednak, nie odczuła też nawet namiastki dawnej satysfakcji. Usiłowała cieszyć się z tego, że sklep zyskał klientów, ale i to przychodziło jej z trudem. Nie rozumiała, dlaczego tak się dzieje, bo przecież dobrze życzyła jego właścicielowi i polubiła panią Karolinę, co do której na początku tak bardzo się pomyliła.

Stała w pewnej odległości i objęła się ramionami dla ochrony przed chłodem. Niebo było czyste, noc gwiazdzista i wyjątkowo piękna, jak rozpostarty nad rozpędzonymi saniami atramentowy płaszcz Królowej Śniegu, poprzątkany hojnie maleńkimi diamentkami. Może też dlatego zapowiadała się na wyjątkowo mroźną. Tymczasem Julia jeszcze długo nie zamierzała wracać do swojego mieszkania. Przed nią wciąż była trudna rozmowa z Aniołem Ztroskanym, a potem już tylko ze sobą.

Nagle usłyszała czyjeś kroki i ujrzała cień wylaniający się zza rogu budynku. Cofnęła się przestraszona, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że nie ma dokąd uciekać. Zaciśnęła rękę na pasku torebki, a drugą wsunęła do środka, zastanawiając się gorączkowo, czy jest w niej coś, czym mogłaby się obronić. Pod palcami wyczuła jedynie miękkość szala opakowanego w szeleszczącą folię.

Tymczasem ciemna postać zbliżała się ku niej wolno, ale zdecydowanie.

– Wygląda całkiem jak pani.

Z mroku wyłonił się mężczyzna. Ten sam, którego przed paroma dniami spotkała przed sklepem na skraju parku.

– Kto? – wykrztusiła, siląc się na spokojny ton, choć chryпка zdradzała napięcie. Nie bała się już, ale nadal czuła się niepewnie.

– No on. – Kiwnął brodą w stronę wystawy. – Ma tak samo opuszczone skrzydła. Na smutno.

– Nie mam i nigdy nie miałam skrzydeł – powiedziała bez zastanowienia, zdając sobie sprawę, jak nierealnie to brzmi. Choć, z drugiej strony, odpowiedziała jedynie na jego zaczepkę.

– Jak coś jest z tyłu, to człowiekowi trudno to dojrzeć, nawet w lustrze. A pani nie wygląda mi na taką, co często gapi się na swoje odbicie.

Bezwiednie dotknęła swojego policzka, który pokrył się nagle gęsią skórką.

Tym razem nie z zimna.

– Tutaj też pan się myli.

Mimowolnie odtworzyła w pamięci nieprzyjemny grymas oglądany w zaparowanym łazienkowym lustrze, gdy zastanawiała się, co by się stało, gdyby nagle straciła przytomność. Albo gdyby umarła.

– Ja tam swoje wiem. I na ludziach się znam jak mało kto. A szczególnie na takich. – Znów wskazał wystawę. – Zaraz wyniucham, kto ile wart. A pani jest warta więcej niż te pięćdziesiąt złotych, co od niej dostałem.

– Cóż... Wartość człowieka mierzy się chyba czynkami. Dobrymi albo złymi. Nie pieniędzmi.

– Dzisiaj to na pewno. Bo tak ogólnie, to bywa różnie, kwadratowo i podłużnie. – Zaśmiał się cierpko. – Za ludźmi nie nadążysz, każdy robi, co mu się podoba, i nie patrzy na drugiego. Nawet jak się o niego potknie, to udaje, że nie widzi i idzie dalej. Byle do przodu.

– Ale to chyba właśnie pańska dewiza, prawda?

– Może i tak. Bo ja się, proszę pani, potykam na okrągło, więc przywykłem, dlatego niekiedy nie zwracam uwagi, o co. I obojętnie, czy lecę potem na mordę, czy, za przeproszeniem, w przeciwną stronę, nic to nie zmienia. Ech... – Westchnął boleśnie i machnął ręką. – Bo człowiek to jednak słaby jest.

– Tak. – Skinęła głową. – Czasem nawet słabszy, niż mu się wydaje.

Milczeli chwilę oboje. Nagle mężczyzna podszedł do niej i wyciągnął obie ręce. Stłumiła w sobie odruch, by się cofnąć. I dopiero po chwili dostrzegła absurdalnie kolorowe rękawiczki w drobne prążki i zygzaki, zupełnie niepasujące do reszty burego odzienia nieznanego.

– Ale co do jednego nie miała paniusia racji. Da się kupić rękawiczki za dwa złote. – Znów uniósł dłonie w demonstracyjnym geście. – A resztę sobie zatrzymałem, żeby zrobić mojej narzeczonej prezent na święta. Tylko że... – Skrzywił się kwaśno. – Nie wyszło.

– Bo znów się pan potknął i upadł?

– Na mordę. – Przytaknął niechętnie. – Ale to nie było tak, jak sobie pewnie pani wyobraziła. Bo ja naprawdę umyśliłem sobie, żeby się w końcu ogarnąć, robotę sobie nawet ugadałem z jednym takim parkingowym, że po Nowym Roku będę robił z nim na zmiany.

– Więc co się stało, że jednak pan upadł?

– Ano nic właściwie! Pożegnać się chciałem z kolegami, tymi spod sklepu, tak, wie pani, z pompą, honorowo. Napić się z nimi zgodziłem ostatni raz, ale za swoje, tylko! Tamte od pani miałem dobrze schowane, żeby pokusy nie było. I dałem radę. Ale jak zleżłem, ktoś wsadził mi łapę, o tu... – Odchylił połę kurtki i pokazał wewnętrzną kieszeń. – ... i bandyta wyciągnął wszystko, nawet nie wiem, kiedy. I nie mogłem już kupić prezentu, choć sobie już taki jeden upatrzyłem.

Dlatego teraz już nie mam z czym iść na te święta.

– A jeśli ona czeka?

Wzruszył ramionami.

– Lepiej dla niej, jak się nie doczeka. Po co jej taki narzeczony, co nie umie dopilnować tego, co przed świętami najważniejsze? Ani tego, co w święta? – dodał ze smutkiem.

– Może więc warto przynajmniej wyciągnąć z tego jakieś wnioski na przyszłość?

– Już sobie wyciągnąłem i właśnie to mi wyszło, co powiedziałem... – Urwał, ponieważ tym razem głos mu się załamał.

Zastanawiała się chwilę, przyglądając się jednocześnie mężczyźnie, który wyraźnie zażenowany odwrócił głowę i pocierał nerwowo czoło, jakby usiłował zasłonić pewnie zwilgotniałe oczy. Tknięta nagłą myślą wydobyła z torebki miękki pakunek i wcisnęła mu go do rąk.

– Niech pan idzie do tej swojej narzeczonej i spróbuje się już nie potykać. Myślę, że jest pan na całkiem dobrej drodze, bo chyba już równej. I niech pan sobie wyciągnie te wnioski na nowo, a potem znów i znów, gdyby nie za wiele się z tego wykluło.

Ostrożnie rozwinął paczkę i zajrzał do środka.

– Ale jak to? – wyjąkał. – Tak po prostu? I już?

– Właśnie tak. Jest prezent, więc będą też święta. Życzę panu, by były mimo wszystko udane.

– A pani?

– Co ja?

– No czy one dla pani też będą udane? Bo skoro pani jest tutaj, zamiast w domu, z rodziną... – Pokręcił bezradnie głową.

Uśmiechnęła się i zatoczyła ramieniem krąg.

– Każdy ma takie święta, na jakie zasłużył.

– W takim razie nic tu się nie zgadza.

– Zgadza się, nawet pan nie wie, jak bardzo. Przyszłam tutaj, bo tego chciałam.

– Też do anioła? Jak ja?

– Tak, ale innego. Właśnie teraz do niego idę.

– To dobrze, bo każdy powinien mieć własnego anioła, takiego, wie pani, co by nad człowiekiem czuwał i w porę chwycił za chabety, jakby coś. Anioła Stróża.

– Ten mój ma trochę inne zadanie. Ale panu życzę, żeby znalazł pan sobie takiego, który pana w porę pochwyci, gdyby pan znów miał upaść. – Podała mu rękę, by się pożegnać.

– Nie trzeba życzyć. Przecież już go znalazłem – odparł, przytrzymując jej dłoń nieco dłużej. – Wszystkiego dobrego! I niech tam pani uważa na siebie po

drodze, czasem kręci się tu różne menelstwo. – Mrugnął porozumiewawczo.

– Będę uważała. – Pokiwała głową z udawaną powagą. – I niech pan wreszcie biegnie. Do narzeczonej. Na mnie też już pora.

Nie ruszył się jednak, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Widziała, jak nadal stał przed sklepem, gdy skręcała w alejkę wiodącą do parku. Machnął do niej, gdy się obejrzała. A ona dzięki temu poczuła się raźniej, mimo że, nie licząc napotkanego mężczyzny, w parku była już właściwie sama. Nawet ławka naprzeciwko jej anioła była nieodśnieżona. Zgarnęła śnieg rękawiczką i usiadła na jej skraju. Dopiero wtedy podniosła wzrok na pogrążoną w półmroku kamienną postać. Posłała ku niej wszystkie swoje myśli, te, które nagromadziły się w niej w ciągu ostatnich kilkunastu dni. A potem, nie czekając na odpowiedź, prawie jednym tchem wyjawiała też to, co ciążyło jej na sercu o wiele dłużej, i po raz pierwszy bez strachu.

Dopiero na końcu zapytała o list tajemniczego Antosia i odważyła się wypowiedzieć na głos prośbę, nie tylko w swoim, ale i w jego imieniu.

– Zatrósz się, proszę, o tych, którzy tego potrzebują i którzy na twoją troskę zasłużyli. Mnie pozwól jedynie złapać pierwsze pióro opadające z twojego skrzydła i pomóż odnaleźć chłopca, który być może wciąż je wypatruje.

Nie czekała długo na odpowiedź, która nadeszła niemalże natychmiast. Spłynęła na nią nagle, gdy w drodze powrotnej zerknęła w głąb alei wiodącej do sklepu Hebnera.

Z daleka nie było widać anioła, sekretarzyka ani nawet chłodnego błękitnego blasku. Tylko słaby zarys górnej części budynku, widniejący w srebrnym świetle księżyca i kilku latarni. Julia przyglądała się mu przez chwilę. Dotknęła pokrytego gęsią skórka policzka identycznym gestem, jak jej anioł, i tak samo wyciągnęła przed siebie drugą dłoń.

Już wiedziała, co powinna zrobić. I miała nadzieję, że uda jej się to osiągnąć niebawem.

9.

---

– Przykro mi, ale to niemożliwe. Absolutnie nie mogę się na to zgodzić.  
Hebner wciąż stał w pobliżu drzwi, przechylony lekko w ich stronę, z płaszczem przewieszonym przez ramię i telefonem komórkowym w dłoni, trzymając go niemal jak oręż, gotów jej użyć i zaraz potem wyjść. Jego mina sugerowała, że najchętniej zrobiłby to natychmiast, a powstrzymywały go prawdopodobnie wyłącznie jego dobre maniery.

Sprawa, z którą Julia do niego przyszła, okazała się znacznie bardziej skomplikowana, niż jej się wydawało jeszcze chwilę wcześniej. Złapała mężczyznę – w sposób dosłowny, bo chwytając za mankiet, więc niemal bezpardonowo, gdy już właściwie wychodził. Początkowo ucieszył się na jej widok i zapobiegliwie uprzedził kogoś, z kim właśnie rozmawiał przez telefon, o swoim ewentualnym spóźnieniu na umówione spotkanie, więc pewnie zamierzał poświęcić Julii przynajmniej kilka chwil, teraz jednak sprawiał wrażenie, jakby tego żałował.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego? – Ona z kolei kręciła głową z niedowierzaniem. – Przecież te meble kurzą się w magazynie i niszczej. A i sekretarzyk tam wróci, jak tylko wymieni pan świąteczną wystawę, jestem tego



pewna. Proszę nawet nie zaprzeczać.

Nie spodziewała się tak stanowczego oporu i wytrąciło ją to z równowagi. Dlatego wbrew sobie podniosła głos i nadała mu trochę zbyt ostry ton.

Nagle kątem oka dostrzegła panią Karolinę, która podnosiła się energicznie zza lady. Na jej twarzy malował się niepokój i czujność. Nie patrzyła jednak na Julię, ale na swojego szefa, zrobiła nawet krok w jego stronę, zupełnie jakby zamierzała ruszyć mu z pomocą. Natomiast on, choć był obrócony do niej tyłem i nie mógł tego widzieć, przesunął się do przodu, zachowując dotychczasowy dystans. Karolina na ten widok wycofała się na swoje stanowisko, nadal jednak nie spuszczała wzroku z pracodawcy, rzuciwszy jednak kilka wiele mówiących krótkich spojrzeń w stronę Julii. Widać było, że jest podenerwowana i gotowa w każdej chwili wtrącić się do rozmowy, co niespecjalnie pasowało do jej wcześniejszego, dość powściągliwego zachowania i niezbyt ostentacyjnego wyrażania poglądów na tematy, które jej bezpośrednio nie dotyczyły.

– Ależ nie zamierzam wcale temu zaprzeczać! Rzeczywiście, będzie tak, jak pani mówi. – Hebner z widocznym trudem silił się na spokój i uprzejmy ton. – Bo jak wspominałem już wcześniej, meble trafiły do magazynu tylko na pewien... – zająknął się – ... niedługi czas. Zamierzam niebawem znaleźć im lepsze miejsce.

– Grubość zalegającego na nich kurzu zdradza coś całkiem przeciwnego – mruknęła Julia już znacznie ciszej, wciąż jednak z rozgoryczeniem i sarkazmem.

– No dobrze, ma pani rację. Stoją tam od ponad roku, ponieważ chwilowo nie mam na nie pomysłu.

– Moim zdaniem, jeśli dotąd niczego pan nie wymyślił, to w najbliższym czasie też pan tego nie robi. I właśnie dlatego powinien pan skorzystać z mojej propozycji. Chcę odkupić tylko sekretarzyk, reszta mebli mnie nie interesuje. Proszę podać swoją cenę, nie będę się targować. Zapłacę za niego już dziś, a zabiorę, gdy już nie będzie panu potrzebny.

– Tłumaczyłem pani przecież, nie chodzi tu o pieniądze.

– Zatem o co?

– O coś, co ma o wiele większą wartość. Przynajmniej dla mnie – odrzekł tonem, który sugerował koniec rozmowy. – Dlatego nie mogę wyznaczyć za sekretarzyk żadnej ceny i tym samym go pani odsprzedać. Proszę mnie zrozumieć.

– Uśmiechnął się ugodowo.

– Rozumiem i nie nalegałabym tak bardzo, gdyby nie miała naprawdę ważnego powodu... Powinnam chyba panu o czymś powiedzieć już dawno temu...

– Julia przełknęła nerwowo ślinę.

Ważniejsza od materialnej bywała jedynie wartość sentymentalna lub emocjonalna. Nie miała wątpliwości, że mężczyzna ma na myśli jedną z nich bądź nawet obie. Dlatego zdecydowała się opowiedzieć mu wreszcie o tajemniczym liście, a może nawet o podszeptanym przez Anioła Zatrokanego pomysłe

odnalezienia jego autora. Oczywiście bez podawania powodów swojej decyzji, bo tych mężczyzna pewnie by nie zrozumiał. Nie zamierzała też oczywiście przyznawać się do swoich rozmów z kamienną figurą w parku. Bała się, że mogłaby narazić się tym na śmieszność, a wówczas jej prośba już na pewno nie zostałaby potraktowana poważnie.

Z powodu ciągłych rozterek wolno zbierała się w sobie, by uzasadnić logicznie swoje zamiary związane z sekretarzykiem. Szukała odpowiednich słów, również tych mogących wyjaśnić powód, dla którego wcześniej nie przyznała się do znalezienia listu. To było trudne, ponieważ sama właściwie tego nie rozumiała. Już otwierała usta, żeby powiedzieć cokolwiek wyłącznie po to, by przerwać krępującą ciszę i zyskać czas do namysłu, niestety nie zdążyła. Hebner narzucił na ramiona płaszcz i podał jej rękę na pożegnanie.

– Cokolwiek pani powie, to niczego nie zmieni. Przykro mi, ale naprawdę muszę iść – powiedział już z ręką na klamce. – Nie ma niczego, co byłoby w stanie skłonić mnie do zmiany zdania.

Wybiegł, zanim zdążyła go powstrzymać.

Bezradność zmieszana ze złością sprowokowały łzy, które na szczęście uwięzły Julii w gardle i tam już zostały. W przeciwnym razie wzbudziłyby niepotrzebną sensację wśród obecnych w sklepie klientów.

Chwilę stała nieruchomo, zdezorientowana i zagubiona. Jednak gdy tylko się otrząsnęła, rzuciła się ku drzwiom wyjściowym, chcąc jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz.

– Pani Julio! – Karolina złapała ją za ramię już na schodach. – Bardzo proszę, niech pani wróci.

– Ale po co? – sarknęła. – Pani pracodawca wyraził się jasno i nie sądzę, by cokolwiek skłoniło go do zmiany decyzji.

Nie miała wątpliwości, że kobieta przysłuchiwała się rozmowie z Hebnerem. Od początku tego nie kryła, wychylając głowę zza kontuaru, zresztą Julia sama się o to postarała, mówiła bowiem podniesionym głosem. Zwróciła tym uwagę również niektórych klientów. Nadal przyglądali jej się z zainteresowaniem, zupełnie jakby przeczuwali, że jeśli Julia jeszcze chwilę zostanie w sklepie, w końcu się rozpłacze.

– Też tak uważam i właśnie dlatego chciałabym porozmawiać. Nie zajmę pani wiele czasu, obiecuję.

Karolina nie ustępowała. Niemal siłą wciągnęła Julię do środka i zasłoniła sobą przed spojrzeciami ciekawskich. Potem delikatnie poprowadziła ją na zaplecze. Po drodze dała jedynie znak drugiemu z pracowników, by zajął się klientami, którzy zmiierzali w stronę lady, pewnie chcąc o coś zapytać.

Julia opadła na jedno z krzeseł znajdujących się w niewielkim pomieszczeniu pracowniczym i przyjęła podaną jej szklankę wody.

– Zatem proszę. Słucham panią. – Upiła parę łyków, po czym ponagliła kobietę, która usiadła naprzeciwko i przyglądała się jej badawczo, wprawiając w nieuzasadnione zakłopotanie.

– Nie bardzo wiem, od czego zacząć. – Skrzywiła się nieznacznie.

– Może jak to zwykle bywa, od początku? – Julia duszkiem dopiła wodę, odstawiła pustą szklankę na mały stolik i przeniosła na ekspedientkę pełen wyczekiwania wzrok.

Karolina pod jego wpływem potarła nerwowo skroń.

– Chyba lepiej będzie tym razem od końca. – Zawahała się. – Czy pamięta pani naszą rozmowę jeszcze przed świętami, o tym, że mój pracodawca nie zawsze był taki jak... obecnie?

Julia skinęła głową, a jej rozmówczyni zaczerpnęła tchu i zatrzymała powietrze w nadętych policzkach, by po chwili wypuścić je ze świstem.

– Nie chodziło mi o to, że nie płacił regularnie lub też nie zawsze zachowywał się tak jak należy wobec personelu. On po prostu nie był... – Znów wstrzymała na chwilę oddech. – No nie był zbyt sympatycznym człowiekiem – wydusiła wreszcie. – To znaczy... Nie był też jakimś nieokrzesanym gburem, prostakiem czy kimś w tym rodzaju, bo jego maniery zawsze były nienaganne. W końcu wychował się w Anglii, a Brytyjczycy słyną przecież z dobrych manier, więc wzorce miał jak najlepsze. – Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. – Był jedynie bardzo chłodny w stosunku do innych, również klientów. Nigdy się nie uśmiechał i wypowiadał tylko tyle słów, ile musiał, ani jednego więcej. Najczęściej krótkie, zwięzłe polecenia. Karciał, gdy coś było zrobione nie tak, za to nigdy nie chwalił, nawet gdy człowiek wyjątkowo się starał. Bardzo trudno było też odgadnąć, jaki ma nastrój, bo jego oczy zawsze wyglądały tak samo – nieruchome i bez wyrazu. Powiedziałabym nawet, że zimne.

Jak oczy Królowej Śniegu, pomyślała bezwiednie Julia.

– Ale teraz jest już zupełnie inaczej? – podsumowała wywód Karoliny, a ta skinęła głową.

– Zmienił się dosłownie z dnia na dzień, na kilka tygodni przed ubiegłoroczną Wigilią. Nie wiem do dziś, co się właściwie stało, podejrzewam tylko... – Znów się zawahała. – Nie powinnam o tym właściwie mówić, to nie są moje sprawy.

– Sama pani zaczęła.

– Tak, ponieważ dziś, kiedy z panią rozmawiał, zobaczyłam w jego oczach ten dawny chłód. Pojawił się tylko na moment, ale przestraszyłam się, że zaczyna dziać się coś, co spowoduje powrót tamtego dawnego Hebnera. Mimo że jeszcze do niedawna myślałam, że tak byłoby lepiej. – Pokiwała głową, dostrzegając zdziwienie na twarzy Julii. – Wiem, że to niedorzeczne, ale nie widziałam innego rozwiązania. Bo, niestety, od kiedy mój pracodawca stał się lepszym człowiekiem,

zapodział się gdzieś jego wcześniejszy instynkt do robienia interesów. Dlatego sklep podupadł. I wbrew temu, co pani sądzi, to nie ma wiele wspólnego ze zmianą lokalizacji. Po przenosinach, zaraz na początku prosperował całkiem nieźle, klienci dotarli tu za nami. Dopiero potem szef zaczął dziwne się zachowywać, robić te wszystkie niepotrzebne rzeczy... Źle inwestował, sprowadzał meble, na które wcześniej w ogóle nie zwracał uwagi. Trwonił firmowy kapitał w sposób zupełnie nieprzemyślany, a my, jako pracownicy, nic z tym nie mogliśmy zrobić. Nawet kiedy znaleźliśmy już w sobie dość odwagi, by powiedzieć mu, że postępuje nierozważnie, nie chciał nas słuchać. Mówił tylko, żebyśmy się nie martwili, że wszystko będzie dobrze, choć widać było, że ciągle nie jest. I dalej zachowywał się tak samo.

– Teraz rozumiem pani niechęć do mnie – skwitowała Julia.

Kobieta zarumieniła się nieznacznie.

– Dziś już wiem, jakie to było głupie i samolubne. Myślę, że ten anioł, którego posadziła pani na wystawie, przyniósł nam szczęście. W końcu coś drgnęło! Szef też zaczął patrzeć na wszystko inaczej, trochę bardziej racjonalnie. Żałuję, że nie robi nam pani kolejnych aranżacji wystaw.

– Nikt mi tego nie zaproponował – odparła z lekkim wahaniem. Słowa kobiety zaskoczyły ją i zdziwiły.

Karolina, widząc jej reakcję, skrzywiła się lekko, a Julia od razu pojęła znaczenie jej miny.

– Chodzi o pieniądze?

– Szef nawet coś tam podliczał, próbował wykroić dodatkowe fundusze, ale niestety są pilniejsze wydatki. Dlatego pewnie nawet nie wspominał. – Złożyła ręce i nagle poderwała się lekko, sugerując koniec rozmowy. – Co tu dużo mówić, nie stać nas na panią. A kolejnego fotela pewnie pani już nie zechce – zażartowała. Musiała wracać do pracy, przez uchylone drzwi widać było, że w sklepie zrobił się spory ruch.

– Fotela rzeczywiście nie – odparła Julia ze śmiechem, gdy przypomniała sobie, ile trudu kosztowało ją znalezienie w jej malutkim mieszkanku skrawka miejsca dla okazałego mebla, który zdecydowała się zabrać.

Karolina natomiast znów spochmurniała, trafnie odgadując to, co nie zostało wypowiedziane.

– Gdyby to zależało ode mnie, oddałabym pani ten nieszczęsny sekretarzyk nawet za darmo. Niestety, nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia. Wręcz nie powinnam się wtrącać. Nawet nasza rozmowa to już jest zbyt wiele.

– Rozumiem. Za darmo i tak bym go nie wzięła, ale za nowy projekt, a może nawet kilka, chętnie... – Julia patrzyła jeszcze z nadzieją na Karolinę, ale ta już od połowy jej zdania potrzasała smutno głową.

– Hebner nie odda pani tego biurka nawet za milion najwspanialszych

wystaw. Znam go. Jak raz coś sobie postanowi, to koniec.

Czyli wszystko przepadło, rozmyślała z goryczą, gdy opuszczała sklep. Już nic nie mogła zrobić. Pozostało tylko się z tym pogodzić.

– To koniec. – Maszerując parkową aleją, Julia w kółko powtarzała sobie szeptem ostatnie słowa Karoliny, jakby usiłowała w ten sposób samą siebie przekonać.

Ucichła dopiero, gdy zobaczyła coś, co sprawiło, że na chwilę zapomniała o powodach kiepskiego samopoczucia. Na ławce naprzeciwko Anioła Zatroaskanego siedziała znajoma staruszka i jak gdyby nigdy nic karmiła ptaki. W dodatku uśmiechała się do Julii w identyczny sposób jak podczas pierwszego spotkania, więc niekoniecznie dlatego, że ją rozpoznała. Ciepły uśmiech musiał po prostu leżeć w jej naturze i obdarzała nim każdego, kto tylko potrafił go pochwycić. Tak też było z jej troską o parkowe ptactwo. Najwięcej korzystały te skrzydlate głodomory, które odważyły się zbierać ziarna wprost z otwartej dłoni kobiety.

Staruszka tym razem miała przy sobie aż dwie papierowe torebki z karmą. I jedną od razu podała Julii, która nie kryła zadowolenia ze spotkania. Uśmiechnęła się szeroko i z niemałym trudem powstrzymała się przed bardziej wylewnym powitaniem, ponad zwyczajowe „dzień dobry”.

– A dobry – odparła kobieta pogodnie. – Jak każdy.

– Jednak nasz anioł pomimo to wciąż jest zatroskany – zażartowała Julia.

– Bo nie wszyscy wiedzą, że każdy dzień jest wystarczająco dobry, by się nim cieszyć. I o nich właśnie należy się zatroszczyć.

– Ale chyba nie dlatego pani tu przychodzi? Żeby skorzystać z pomocy anioła?

– Nieee... – Zaśmiała się lekko. – Przychodzę tu dla nich. – Chojnie sypnęła ziarnem, a równocześnie zerknęła czujnie na Julię. – Ale ty, kochanieńka, nic im nie przyniosłaś.

Julia zarumieniła się i ściągnęła usta.

– To dlatego, że przychodzę tu bardziej do niego – odparła po dłuższej chwili i zapatrzyła się w oblicze kamiennego posągu. – Ptaki odwiedzam tylko przy okazji.

– Na twoim miejscu odwiedziłabym dziś jeszcze przynajmniej dwa anioły. Przy fontannie i obok złamanej topoli. Oba pewnie mają ci sporo do powiedzenia, a i ty im.

Julia zamyśliła się chwilę. Pamiętała, że przy fontannie stał Anioł Zadumany, a nad topolą, która pewnie nie utrzymała ciężaru śniegu, pochylał się Anioł Zagniewany. Czyżby staruszka dostrzegła na obliczu Julii ślady złości? To było mało prawdopodobne, bo nawet podczas rozmowy z Hebnerem Julia robiła wszystko, by ukryć prawdziwe emocje, które zresztą teraz już prawie opadły.

– Nie wiem, czy zdążę – odparła wymijająco. – Trochę mi się dziś śpieszy.

– Wcale nie. – Staruszka pstryknęła palcami w torebkę z karmą, którą Julia trzymała nadal przed sobą, i wskazała ptaki. Wszystkie zamarły z przekrzywionymi główkami w oczekiwaniu na kolejną garść przysmaków. – Masz tu jeszcze sporo do zrobienia. Podobnie jak ja. Anielscy bracia mniejsi też są ważni. – Potrząsnęła swoją torebką.

Potem zamilkła i zajęła się już tylko ptactwem, zupełnie ignorując obecność Julii. Czasem tylko rzucała krótkie spojrzenia w stronę kamiennej figury.

Julia mimo to obserwowała ją jeszcze przez kilka minut, dopóki nie zorientowała się, że jej własne myśli niemal wszystkie odfrunęły i przycupnęły na ramionach anioła. Zupełnie jak ptaki wyczekujące kolejnej porcji karmy. Zamiast ziaren pragnęły jednak odpowiedzi na wiele pytań i wyjaśnienia wątpliwości, a Julia nie mogła im tego dać.

– Pomóż mi. – Poruszyła bezgłośnie ustami, wpatrując się w przyprószony śniegiem nieruchome oblicze. – Pomóż mi znaleźć chociaż jeden dobry dzień – dodała już tylko w myślach.

Opuściła wzrok. Przy nosku swojego buta dostrzegła małe białe piórko. Pochyliła się, by je podnieść, ale nie zdążyła, ponieważ uciekło, porwane przez niewielki podmuch wiatru. Poderwała się, chcąc je złapać, ale wtedy wypadła jej z rąk papierowa torebka i na udeptany śnieg wysypało się całe ziarno. Ptaki od razu sfrunęły na nie odważnie, a Julia zatrzymała się w pół kroku, by ich nie zdeptać, i zamarła w bezruchu, nie chcąc przestraszyć. W dodatku przez tę małą wojnę „braci mniejszych”, którą mimowolnie rozpętała, miała na wyciągnięcie ręki całe mnóstwo piór różnej wielkości i barwy. Sypały się obficie ze skrzydeł walczących o pokarm gołębi i mazurków. Tym razem nie schyliła się jednak po żadne. Wciąż żał jej było tego pierwszego, które odfrunęło z mroźnym wiatrem lub zmieszało się z pozostałymi.

– Zawsze tak jest, gdy dostają za dużo naraz. Tracą rozum. – Staruszka patrzyła na kłębiące się ptactwo. – A wtedy aż trudno uwierzyć, że to takie miłe i mądre stworzenia.

– To prawda. Jeśli czegoś jest mniej, wszystko wydaje się prostsze. O ile oczywiście nie myśli się tylko o tym, żeby posiąść więcej i więcej. Albo o tym, czego mieć się nie może.

– Prawie wszystko można zdobyć, trzeba jedynie skupić się na tym, co najważniejsze, bo jak chce się mieć za dużo naraz i od razu, to kończy się to właśnie tak. – Wskazała rzednące już, ale wciąż rozświergotane kłębowisko. – Lepiej jest najpierw rozejrzeć się wokół siebie i dopiero jak się naprawdę niczego nie znajdzie, szukać dalej. Byłe nie za daleko, bo wtedy najłatwiej coś przegapić, a i sił szkoda tracić na próżno, skoro wszystko ma się pod nosem. – Przeniosła wzrok na kilka wróbli, które dziobały spokojnie to, co rozsypało się po drugiej

stronie ławki. Z dala od miejsca, gdzie pozostałe ptaki wciąż walczyły zajadłe o kilka ostatnich ziarenek.

Julia zastanawiała się nad sensem jej słów. Nagle dotarło do niej, że od dawna sama tak właśnie postępuje. Wypatruje w oddali czegoś, co jest blisko, ale nawet gdy to widzi, nie wyciąga ręki, jakby bała się, że jeśli to zrobi, zniknie poczucie zawieszenia między „kiedyś” a „teraz” i stanie się coś, przez co będzie musiała pójść dalej albo co – a to byłoby najgorsze – zmusi ją do powrotu. Tymczasem ona nie czuła się gotowa na żadną z tych dróg, mimo że miejsce, w którym się zatrzymała na tak długo, również nie było jej docelowym. Czuła się w nim niekompletna. Dawno temu rozpadła się na milion kawałków i dotąd nie udało jej się poskładać ich na nowo. Wiedziała też, że to może nie być nigdy możliwe, ponieważ część z tych kawałków została tam, gdzie Julia nie mogła już wrócić. Dlatego musiała czymś je zastąpić, załatać dziury w duszy i sercu, by nie zagubić jeszcze więcej siebie, nie rozsypać się do reszty.

Pożegnała się ze staruszką i poszła odwiedzić pozostałe anioły, żeby poradzić się ich w kilku ważnych dla niej sprawach. Mimo że właściwie już kiedy podnosiła się z ławeczki, wiedziała, co powinna zrobić. Potrzebowała jedynie potwierdzenia, że postępuje słusznie, i małej podpowiedzi, od czego zacząć. Anioły miały jej w tym pomóc. Liczyła na to, że tak, jak zawsze, ich obecność natchnie ją do podjęcia tylko tych właściwych decyzji.

Zamyślona, długo spacerowała parkowymi alejkami, zmierzając w stronę aniołów całkiem okrężną drogą, zanim zrozumiała, że tym razem potrzebuje czegoś więcej. Tak naprawdę pomoc mógł jej tylko jeden anioł, ten, do którego można było dotrzeć tylko w jeden sposób. Dlatego ostatecznie skierowała kroki w stronę Alei Siódmego Anioła, do sklepu nazwanego jego imieniem. Zrozumiała, że jedyna wskazówka, która pozwoli odnaleźć drogę do Antosia, chłopca, który prosił o anielskie pióro, znajduje się właśnie tam.

Julia musiała jak najszybciej dowiedzieć się, do kogo należał sekretarzyk.

Gdy ponownie weszła do sklepu, od razu natknęła się na jego właściciela. Dokładnie tak, jak wcześniej, miał przewieszony przez ramię płaszcz, wciąż oprószony płatkami śniegu, więc musiał zjawić się chwilę przed nią.

Stał przy płonącym żywo kominku i ogrzewał dłonie, przyciskając je od czasu do czasu do zmarzniętych policzków. Wydawał się zamyślony i pewnie dlatego nie spostrzegł Julii, nawet gdy do niego podeszła. Natomiast ona dopiero wtedy zauważyła, że zniknął jeden z uszatyh foteli, ten w kolorze szmaragdu. Został tylko karmazynowy. Ale nadal leżała na nim stara książka z baśniami Andersena.

Bezwiednie sięgnęła po nią. Wtedy to mężczyzna zorientował się, że nie jest sam.

– Jak to dobrze, że pani wróciła.

Na dźwięk jego głosu gwałtownie odłożyła książkę na miejsce.

– Czyżby zmienił pan zdanie w sprawie sekretarzyka? – spytała, nie kryjąc nadziei, jednak z niewielką nutą sarkazmu.

Ściągnął brwi i zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy. Potem odsunął jedno z krzeseł przy pobliskim stoliku i gestem zaprosił ją, by usiadła. Sam zajął miejsce naprzeciwko. Splótł ręce na blacie, rozejrzał się wokół z pewnym roztargnieniem i pochylił się lekko w jej stronę.

– Tłumaczyłem pani przecież. Nie mogę go sprzedać, ponieważ ma dla mnie wartość sentymentalną – wyjął wreszcie prawie szeptem to, czego i tak się domyślała, po czym zerknął z ukosa na siedzących nieopodal ludzi, jakby upewniał się, że go nie słyszą. – Tak jak to wszystko tutaj. – Machnął nieznacznie ręką i znów złączył palce. – Bo gdyby tak nie było, nie narażałbym się na bankructwo, przenosząc sklep w miejsce, które się kompletnie do tego nie nadaje. – Zamilkł na chwilę. – Wspominałem pani na początku, że budynek trafił w moje ręce dość nieoczekiwanie, wkrótce po tym, jak ostatecznie zdecydowałem, że nie wrócę do Anglii. Postanowiłem zostać na stałe w Polsce... To znaczy tutaj. Przyczyn mojej decyzji było wiele. Między innymi nieustanne podróże w tę i z powrotem. Na dłuższą metę okazały się dość męczące, a sprawne kierowanie firmą na odległość trudniejsze niż początkowo sądziłem. Jednak najważniejszy powód mojej decyzji to ten, dla którego nie mogę się pozbyć tych starych mebli z magazynu. – Znów milczał chwilę, wyraźnie zbierając myśli. – I nie chodzi o to, że jestem związany emocjonalnie z nimi i z tym miejscem czy nawet z krajem. Mój ojciec wyjechał stąd wiele lat temu w poszukiwaniu lepszego życia również dla mnie i mojej mamy. Był jedynakiem, więc jego rodzice zostali tu sami. Nie pamiętam ich zbyt dobrze, bo miałem tylko kilka lat, gdy się przeprowadzaliśmy, i myślę, że między nimi a moim ojcem już wtedy nie najlepiej się układało. W przeciwnym razie mielibyśmy z dziadkami lepszy kontakt, choćby telefoniczny albo listowny. Tymczasem tak nie było. Tylko od czasu do czasu przychodziły od nich jakieś kartki, głównie na święta. Ojciec w ciągu całego mojego życia odwiedził ich zaledwie kilka razy, i to zawsze sam. Mama i ja nie bywaliśmy u dziadków. Podobnie jak oni u nas. Nigdy. Nie mam pojęcia, dlaczego. Rodzice nie potrafili bądź też nie chcieli mi tego wyjaśnić, dlatego w końcu postanowiłem sam rozwikłać tę zagadkę. Przyjechałem do Polski i odnalazłem dziadka, ale on poradził mi, że lepiej będzie, jeśli porozmawiam o wszystkim z ojcem. – Westchnął z rezygnacją.

– Domyślałam się, że nic z tego nie wyszło.

– Osiągnąłem tylko to, że tata w końcu otwarcie przyznał się do konfliktu ze swoimi rodzicami. Nadal jednak nie podawał przyczyny. – Mężczyzna, wyraźnie zakłopotany mówieniem o tak osobistych sprawach, potarł skroń. – Posprzeczailiśmy się o to, zresztą nie pierwszy już raz. Wtedy zrozumiałem, że ów



konflikt, czymkolwiek był powodowany, w jakiś niewytłumaczalny sposób zainfekował relacje również między nami, i to o wiele wcześniej. Nie wiem, jak to się stało, ale przeniósł się z pokolenia na pokolenie. Na nas. Bo ja również nigdy nie umiałem porozumieć się z moim ojcem, zawsze mieliśmy odmienne zdania na każdy możliwy temat, jakby na przekór sobie. Ciągle też działaliśmy sobie na nerwy, nie było między nami więzi, jaka powinna istnieć między ojcem a synem. Pomyślałem, że być może to jest dziedziczne i właśnie dlatego poczułem, że muszę odszukać moich dziadków, poznać ich i może dzięki temu zrozumieć, kto, gdzie i kiedy popełnił błąd. Niestety, gdy się wreszcie na to zdecydowałem, babcia już nie żyła. Pozostał tylko dziadek, który niespecjalnie miał ochotę rozmawiać o moim ojcu i czasach, gdy jeszcze byli rodziną, ani w ogóle o tak odległej przeszłości, mimo że akurat porządkował własne sprawy i robił rozrachunek z życiem, przeczuwając pewnie jego kres.

– Czy to oznacza, że i on...

– Nie, nie! Nie umarł! Po prostu zajął się sobą, żeby nikogo tym nie obciążać. Tak właśnie to ujął. I zdecydował, że zamieszka w domu opieki. – Hebner uśmiechnął się gorzko. – Sprzedał wszystko, co miał, zostawił tylko to. – Znów machnął ręką w nieokreślonym kierunku, mając pewnie na myśli budynek, w którym znajdował się sklep. – Twierdził, że nie umiałby się tego pozbyć ze względu na babcie.

– Czy sekretarzyk był jej własnością?

Skinął głową.

– Stał dokładnie w wieżyczce. Podobno bardzo lubiła to miejsce. Przesiadywała tam godzinami, ciągle coś sobie pisała, jakieś krótkie rymowanki z morałem, fraszki albo fragmenty dialogów podsłuchane w kawiarni i związane z nimi dykteryjki. Tak mówił dziadek. Rzadko to komuś pokazywała i po pewnym czasie wszystko niszczyła, jakby celem było dla niej samo pisanie, a nie jego efekt. Może właśnie dlatego wolała to robić na zapleczu kawiarni, a nie w domu, żeby nikt jej nie przeszkadzał... I po to urządziła tu sobie małe biuro. Albo dlatego, że zamarzyło jej się mieć własny gabinet wzorem prawdziwych pisarzy, a ta niewielka, ale bardzo klimatyczna wieżyczka świetnie się do tego nadawała... Zgaduję oczywiście, bo nie wiem na pewno. Moja babka była wyjątkową kobietą, więc i to, co robiła, musiało takie być. Może tutaj, pośród obcych jej ludzi i w tak pięknym otoczeniu, tworzyło jej się najlepiej? Bo faktem było, że uwielbiała całe to miejsce, również ze względu na park i anioły.

– Rzeczywiście musiała być niezwykłą osobą. – Julia wzięła głęboki wdech.

– Czy myśli pan, że mogłabym spotkać się z pańskim dziadkiem i poprosić, żeby mi o niej opowiedział?

Pomyślała, że to najodpowiedniejszy moment na zadanie takiego pytania i tym samym zyskanie szansy, aby wyjaśnić tajemnicę listu znalezionej

w sekretarzyku. Liczyła, że dowie się, kto jest jego autorem, nie ujawniając na razie faktu jego posiadania. Bała się, że jeśli zdradzi się z tym zbyt wcześnie, nie tylko będzie zmuszona go zwrócić, ale też niczego się o nim nie dowie.

Hebner przyglądał się jej chwilę lekko zdezorientowany, nie kryjąc zaskoczenia.

– Przykro mi, ale to niemożliwe – odparł wreszcie zdecydowanym tonem, rozwiewając tym samym jej nadzieje. – To starszy i schorowany człowiek, który potrzebuje spokoju z dala od obcych sobie ludzi, sam na sam ze swoimi wspomnieniami. Jak już wspominałem, nawet ze mną niechętnie się nimi dzieli.

– Ale mimo to udało się chyba panu nawiązać z nim nić porozumienia, skoro wciąż pan tu jest? – spytała odważnie, zdając sobie sprawę, że pozwala sobie na zbyt wiele.

Nie wiedziała, jak inaczej mogłaby wydobyć z Hebnera więcej informacji o jego rodzinie i nie wzbudzić tym jego podejrzeń albo nie być posądzoną o niezdrowe wścibstwo. A tak pewnie by się stało, gdyby dopytywała o imię dziadka i tym bardziej ojca, dlatego postanowiła na razie tego nie robić. Nadal liczyła, że mężczyzna sam zdradzi jej coś, co pomoże dotrzeć do staruszka, bez względu na zakaz. Czuła, że posuwa się za daleko, ale nie miała innego wyjścia. W przeciwnym razie nigdy nie odnajdzie Antosia. Nie spyta go o pióro ze skrzydła anioła. Nie dowie się, czy kiedykolwiek je znalazł.

– Chyba w końcu dogadaliśmy się jakoś, ja i dziadek – odparł mężczyzna spokojnie. – Choć przyznam, nie było łatwo, przynajmniej na początku. Sporo też zmieniło się wtedy w moim życiu... – Urwał i zamyślił się chwilę. – Przed wszystkim po tym, jak przekazał mi, jako swojemu jedynemu wnukowi, nieczynną od dawna i mocno podupadłą pijalnię wód. Powiedział, że mogę zrobić z nią, co tylko zechcę. Nie zabronił mi również sprzedaży, ale ja wyczytałem między jego słowami prośbę, bym tego nie robił, i postanowiłem ją uszanować. Ten budynek to nie tylko wspomnienia starego człowieka, którego ledwie znam, choć łączą nas więzy krwi. Wierzę, że tutaj właśnie znajduje się klucz do rozwiązania smutnej rodzinnej zagadki, fatum, które nas prześladowuje od tylu lat... Jeśli tylko znajdę zamek, do którego będzie pasował, uda mi się naprawić to, co popsulo się dawno temu. Nie mam pojęcia, jak to zrobię, ani kiedy to się stanie, jednak czuję, że powinienem czekać, choćby biernie. Aż w końcu coś się wydarzy. Może nawet samo. Z tego właśnie powodu nie mogę pozbyć się ani budynku, którego właściwie nie potrzebuję, ani starych mebli, których pewnie nigdy nie będę używał. Czy teraz wreszcie pani rozumie, dlaczego sekretarzyk nie jest i nigdy nie będzie na sprzedaż?

– Tak. Nawet nie ma pan pojęcia, jak dobrze pana rozumiem. – Skinęła wolno głową. – Jednak to i tak niczego nie zmienia. Proszę posłuchać. – Teraz z kolei ona nachyliła się w jego stronę i zniżyła głos prawie do szeptu. – Bo mnie

również ten sekretarzyk nie jest do niczego potrzebny. Właściwie to nie mam gdzie go nawet ustawić, już fotel ledwie się zmieścił. A mimo to czuję, że powinnam go stąd zabrać. To się stało w momencie, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy, choć zdałam sobie z tego sprawę znacznie później. Wiem, że zabrzmiałoby to niedorzecznie, ale wydaje mi się, jakby to on, mam na myśli sekretarzyk, chciał tego o wiele bardziej niż ja.

Przy ostatnich słowach znów pomyślała o liście znalezionym w szufladzie mebla. Wciąż zastanawiała się, jak zgrabnie do niego nawiązać, żeby nie spowodować niezręczności i nie zostać posądzoną o krętactwo. Może powinna zwyczajnie mu go pokazać, udając, że wcześniej wypadło jej to z głowy? Schyliła się do torebki, która zsunęła się w międzyczasie z oparcia krzesła, żeby upewnić się, że wciąż ma go przy sobie. Wówczas poczuła na twarzy ciepło z płonącego nieopodal kominka. Podniosła wzrok na stojący w jego pobliżu fotel i ze zdumieniem odkryła, że odłożona tam przez nią chwilę wcześniej książka jest teraz otwarta na stronie z baśnią o dziewczynce z zapalkami. Możliwe, że zrobiło to jakieś dziecko towarzyszące obecnym w sklepie klientom oglądającym meble, gdy ona rozmawiała z Hebnerem. Mogła tego po prostu nie zauważyć.

Teraz za to wpatrywała się w książkę jak zahipnotyzowana. Zapomniała o torebce, liście i tym, co powinna lub czego nie powinna robić. W jej głowie pojawiła się zupełnie nowa myśl, w dodatku ogromnie ekscytująca, a ona uchwyciła się jej kurczowo jak ostatniej deski ratunku. Albo zapalki z pustego już pudełka, którą można było zapalić wiele lub nic, jeśli użyło się jej nieumiejętnie albo, z powodu pośpiechu, zbyt nerwowo.

– A gdybym poprosiła o wypożyczenie sekretarzyka? – Zaczęła ostrożnie, obserwując reakcję mężczyzny. Nie podchwycił propozycji i prawie zaprzeczył nieznacznym ruchem głowy, ale Julia dostrzegła na jego twarzy wahanie. Nie miała już nic do stracenia, dlatego o wiele śmieiej kontynuowała, nie powstrzymując już błagalnego tonu. – Bo przecież magazyn jest nieogrzewany, a mróz i wilgoć nie najlepiej wpływają na stan mebli. Dlatego może mogłabym zabrać biurko do siebie? Na pewien czas oczywiście, dopóki nie znajdzie pan dla niego lepszego miejsca. – Nabrała w płuca więcej powietrza. – W zamian proponuję projekt kolejnej wystawy albo nawet kilku. Powiedzmy... sześciu. Razem byłoby ich siedem, czyli po jednej dla każdego anioła.

– Nie wiem. – Obliczem Hebnera targały rozterki. – Oczywiście dziękuję za tak hojną propozycję, ale obawiam się, że i na nią mnie nie stać. Mam na myśli rekwizyty oraz całą resztę.

– Myślę, że to mogłoby nie kosztować wiele. We wszystkich wypożyczalniach mam spore rabaty, a oprócz tego możliwość odroczenia płatności. No i oczywiście na ile by się dało, wykorzystałabym to, co jest dostępne w pana sklepie, więc wydatki byłyby minimalne. Mogłabym też przy okazji odrestaurować

sekretarzyk, robiłam już takie rzeczy...

– To nie będzie konieczne. – Tym razem przerwał jej słowotok energicznym uniesieniem dłoni. – I bez tego czuję się jak lichwiarz.

– Czy to znaczy, że się pan zgadza?

– Tak, ale pod jednym warunkiem. – Wychylił się lekko w bok, podniósł z fotela książkę z baśniami i położył przed Julią. – Proszę to ode mnie przyjąć.

– Dlaczego?

Cofnęła się odruchowo, zaskoczona niespodziewanym gestem.

– Bo mam wrażenie, że ona pcha się w pani ręce nawet bardziej niż ten nieszczęsny mebel. Nie umiem tego wyjaśnić, ale wszystko mi mówi, że powinna należeć do pani.

– Dziękuję – wydukała przez zaciśnięte gardło, mimo że nadal nie miała odwagi nawet dotknąć okładki, której widok przyprawiał ją o dreszcze. Jednocześnie nie była w stanie oderwać od niej wzroku.

Patrzyła na rozpędzone sanie ciągnięte nie przez renifery, jak te w śniegowej kuli z wystawy, ale zaprzężone w dwa białe konie o złocistych grzywach, które rwały wprost ku nocnemu zachmurzonemu niebu. Bez gwiazd, bo te migotały jedynie na ich uprzęży i posłaniu Królowej Śniegu, która powoziła saniami, chłoszcząc batem powietrze, a wkrótce też pewnie końskie grzbiety. Julia mimowolnie ugięła się pod jej gniewnym spojrzeniem i skuliła, jakby trzymany w królewskiej dłoni bat miał za chwilę smagnąć również jej plecy...

Pochwyciła książkę i przycisnęła do siebie, chowając ją w ramionach.

Hebner przyglądał się jej przez chwilę zdziwiony.

– Domyślam się, że z baśniami Andersena wiążą się pani wspomnienia z dzieciństwa? – zagadnął.

Przytaknęła.

– Z dzieciństwa, ale... nie mojego – wyszeptała dopiero po dłuższej chwili. – Dla mnie to o wiele bardziej świeże wspomnienia, zbyt świeże... Ale tylko wspomnienia, nic więcej – dodała, już bardziej do siebie.

10.

---

Niski szarobury budynek, usadowiony pośród starych drzew, przypominał pensjonat wybudowany w czasach PRL-u, ale podrasowany wizerunkowo i odnowiony w nowoczesnym stylu. Wraz z otaczającym go zadbanym parkiem robił całkiem przyjemne wrażenie. Julia nie miała wątpliwości, że dotarła pod właściwy adres, nie pokusiła się nawet, by to wcześniej sprawdzić. W promieniu kilkudziesięciu kilometrów, bo taką odległość sobie założyła, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, były aż cztery domy opieki, ale tylko jeden nosił znamienne nazwę, która od razu przykuła jej uwagę.

Był nim Dom pod Dobrym Aniołem. Zatem nie mogło być mowy o pomyłce.

W niewielkim holu znajdowała się recepcja. Jej kontuar okupowała niemłoda już kobieta, wyglądająca jak pielęgniarka, mimo braku stosownego uniformu i czepka. Służbowa mina i uprzejmy chłód nie zachęcały do nawiązania miled

pogawędki, takiej, która często umożliwia załatwianie trudnych spraw. A ta, z którą przybyła Julia, do takich właśnie należała.

– Nie jestem spokrewniona z panem Hebnerem i nie spodziewa się mnie, ale myślę, że nie będzie miał nic przeciwko moim odwiedzinom – powtarzała po raz kolejny, pytana o powód swojej wizyty, usiłując ominąć, jak się właśnie okazywało, restrykcyjne zasady przyjmowania gości przez pensjonariuszy prywatnego ośrodka. – Mam coś, co może go ucieszyć. Proszę. – Znow podsunęła list z sekretarzyka, który postanowiła wykorzystać w roli karty przetargowej. – To pamiątka, na którą natknęłam się przez przypadek, i mam powód, by przypuszczać, że należała do kogoś z rodziny pana Hebnera.

– To w końcu należała czy nie należała? – Pielęgniarka wydawała się niestrudzona w powtarzaniu wciąż tych samych pytań, a Julia usiłowała jej dorównać uporem, udzielając za każdym razem identycznych odpowiedzi, w dodatku jednostajnie miłym tonem, co nie było łatwe.

– Właśnie to chciałabym sprawdzić. – Zacisnęła zęby, ledwie powstrzymując się przed zgrzytnięciem nimi, i posłała kobiecie promienny uśmiech.

– Proszę więc skontaktować się w tej sprawie z jego wnukiem.

– Ale po co, skoro już tu jestem? – Nie ustępowała. – To potrwa tylko chwilę, obiecuję, że nie zajmę mu wiele czasu.

– Czasu to on akurat ma tu u nas pod dostatkiem – mruknęła. – Tylko zdrowia brakuje. A takie właśnie... – stuknęła palcami w podsunięty jej papier – pamiątki mogą wywołać dodatkowe perturbacje. I kłopoty, a tego nam tu nie trzeba.

– Obiecuję, że będę ostrożna i zrobię to nadzwyczaj delikatnie. Bardzo proszę...

Pielęgniarka westchnęła z przesadną rezygnacją, co wcale nie było jednoznaczne z tym, że wreszcie się ugięła. Podniosła jednak słuchawkę staromodnego stacjonarnego telefonu i wybrała numer. Dyskutowała z kimś chwilę półsłówkami, przez co rozmowa nie była zbyt zrozumiała i Julia nadal nie miała pewności, czy osiągnęła swój cel.

– Jest teraz w świetlicy. Zaprowadzę panią. – Usłyszała wreszcie. – Ale proszę naprawdę się streszczać!

Julia z nieskrywaną ulgą pomaszcerowała za nią, rozglądając się dyskretnie i uśmiechając lekko do mijanych pensjonariuszy. Spacerowali wolniutko, najczęściej dwójkami, trzymając się pod ręce albo niosąc książki, jakieś ręczne robótki wystające z foliowych albo lnianych woreczków, kubki z herbatą lub zdjęte przed chwilą z nosa okulary. Większość z nich już po chwili zniknęła w swoich pokojach, a Julia mimowolnie zerknęła za nimi ciekawie, zastanawiając się, jak im się mieszka w na ogół niezbyt dobrze kojarzącym się miejscu i czy są tutaj szczęśliwi.

Świetlica znajdowała się na końcu korytarza, oddzielona od niego ogromnymi szklanymi drzwiami. Wewnątrz było całkiem przyjemnie – przestronnie i jasno. Julia zobaczyła szerokie półki pełne książek i modnych gier planszowych, fotele i kanapy zarzucone kolorowymi puchatymi poduszkami, kilka pięknych staromodnych lamp, małe stoliki i krzesła. Na ścianie zainstalowano duży telewizor, przed którym również ustawiono wygodne siedziska. Był włączony, ale nie było nic słychać, bo większość oglądających korzystała z bezprzewodowych słuchawek.

Bez wątpienia miejsce to miało sprzyjać przede wszystkim odpoczynkowi. Można było tu w spokoju poczytać, pograć w szachy, warcaby albo po prostu się zrelaksować, nie robiąc zupełnie nic. Wnętrze zostało komfortowo urządzone i już samo przebywanie w nim mogło okazać się przyjemne. Niestety, w tej chwili było niemal opustoszałe, bo rezydowało w nim zaledwie kilka osób. Julia właściwie się temu nie dziwiła, bo jeśli wszyscy pensjonariusze mieszkali w tak atrakcyjnych apartamentach, jak jeden z tych, do którego udało jej się zajrzeć po drodze, z pewnością woleli przebywać u siebie i tam też gościć swoich przyjaciół. Ci, których mijala, wydawali się bardzo towarzyscy.

Wiele jednak wskazywało na to, że pan Hebner senior do nich nie należał.

Białowłosy staruszek wskazany jej przez pielęgniarkę siedział przy stoliku sam. Przed sobą miał otwartą książkę o pożółkłych brzegach, przytrzymał ją lekko dłonią, żeby się nie zamknęła, ale patrzył gdzieś ponad nią. Julia początkowo sądziła, że nad czymś się zamyślił, ale gdy podeszła bliżej, zorientowała się, że mężczyzna wpatruje się w okno przysłonięte cieniutką tiulową firanką. Częściowo oszronionej szyby dotykała pozbawiona liści gałąź, a na niej przycupnęło kilka skulonych wróbli.

– Mówiłem, że trzeba zamocować karmnik. Biedne zmarzluchy poskubałyby sobie jedzonka, schowały się przed chłodem, a i nam miło byłoby na nie popatrzeć – zakomunikował i zatrzasnął obłożoną w papier książkę, zanim Julia zdążyła podejrzeć, co czytał. Patrzył nie na pielęgniarkę, ale właśnie na nią, jakby to do niej kierował swoje uwagi. Korzystając z okazji, wyciągnęła do niego rękę i przedstawiła się. Nie zdążyła jednak powiedzieć nic więcej, została bowiem uprzedzona przez swoją towarzyszkę, która, zwracając się do mężczyzny, obrała niezbyt przyjazny, zrzędlawy ton.

– Oj, panie Antoni, tyle razy panu powtarzałam, że karmnik w tym miejscu to fatalny pomysł. Ptaki paskudzą i same z nimi kłopoty. A gałąź i tak trzeba będzie obciąć, bo jeszcze trochę i wdrze nam się do świetlicy.

– Pan Antoni? – Julia nie pohamowała zdumienia, słysząc w jej ustach imię staruszka.

– No przecież, że tak. – Pielęgniarka obrzuciła ją krytycznym spojrzeniem. – To z nim chciała się pani spotkać, czyż nie?

– A panienka to na pewno do mnie?

Mężczyzna, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z obecności Julii, przyglądał się jej badawczo i z lekkim niepokojem. Na szczęście pielęgniarka nie zauważyła tego, bo odeszła w przeciwną stronę sali, wezwana przez innego z pensjonariuszy. Julia natychmiast z tego skorzystała i usiadła naprzeciwko pana Hebnera.

– Jestem znajomą pańskiego wnuka.

Skinął lekko głową, dając znak, by mówiła dalej.

– Zatrudnił mnie do zaaranżowania świątecznej witryny w sklepie z meblami.

Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– A tak. Opowiadał mi o tym. Słyszałem, że uparła się pani, żeby ustawić tam to stare biurko.

Odetchnęła lekko odprężona.

– Jest absolutnie wyjątkowe. – Odczekała chwilę, ale ponieważ wyraz twarzy mężczyzny pozostawał ten sam, kontynuowała: – Podobno należało do pana żony.

Po jego twarzy prześlizgnął się ledwie zauważalny cień, mimo że nie zniknął z niej dobrotliwy uśmiech. Potem skrył się w zmęczonych oczach starca.

– A tak. Bardzo je lubiła. To było jej sanktuarium, ta wieżyczka i biureczko, które sobie w niej ustawiła. Nikomu nie pozwalała do niego zaglądać, nie wolno było wysunąć nawet najmniejszej szufladki ani nawet przy nim usiąść. Nie miałem pojęcia, co tam przechowuje, i nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby to sprawdzać. To był tylko jej świat. Zamknęła go w tym niepozornym sprzęcie. Dlatego nawet gdy odeszła, długo nie miałem odwagi tam zajrzeć, w końcu poprosiłem o to jej najlepszą przyjaciółkę. Okazało się, że znalazła całkiem zwyczajne rzeczy. Papier, pióra i ołówki, trochę mało czytelnych notatek, jakieś wycinki z gazet. Zostawiliśmy wszystko tam, gdzie było, dopiero mój wnuk opróżnił biurko. Oczywiście spytał mnie najpierw o pozwolenie, a ja mu powiedziałem, żeby zrobił, co zechce, bo teraz mebel, tak jak wszystko, należy już tylko do niego.

Julia chwilę zbierała się w sobie, zanim wsunęła rękę do torebki i wyjęła z niej list. Położyła go na stole i wolno podsunęła staruszkowi.

– Nie zrobił tego jednak dokładnie, ponieważ przeoczył to. Wypadło z sekretarzyka, kiedy go oglądałam.

Miała nadzieję, że mężczyzna nie zapyta, dlaczego po prostu nie oddała listu jego wnukowi, ponieważ nie umiałaby odpowiedzieć na to pytanie. Zmyślać też nie chciała, czuła, że nie powinna. Tymczasem staruszek rozwinął kartkę i przebiegł po niej wzrokiem z dziwnym wyrazem twarzy. Potem upuścił ją na stół i złapał się za serce. Uspokoił się jednak, zanim Julia zdążyła zareagować, i ponownie wziął do ręki list. Tym razem o wiele staranniej rozprostował i wygładził papier.



– To pan go napisał? – spytała ostrożnie tylko po to, by się upewnić.

Skinął głową.

– Sądziłem, że zaginał lata temu. Naprawdę tkwił w tym nieszczęsnym sekretarzyku? – Podniósł na nią nieco zamglony wzrok.

Potwierdziła milcząco.

Dała mu czas, by zebrał myśli. Widać było, że tego potrzebuje. Wodził drżącymi palcami po zapisanych linijkach i poruszał bezgłośnie ustami. Czytał list kilka razy. Domyślała się, jak wiele go to kosztuje. Jego oczy robiły się coraz bardziej szkliste, zacisnął na moment powieki, chcąc pewnie pohamować łzy.

– Nigdy go nie wysłałem – powiedział wreszcie.

– Dlaczego? To taka piękna bożonarodzeniowa prośba. Bardzo wzruszająca.

– I całkiem nierealna. Wtedy, co prawda, jeszcze tego nie wiedziałem, ale musiałem chyba coś przeczuwać, skoro nie wrzuciłem listu do skrzynki. Pamiętam, że bardzo się bałem o to, co się stanie, jeśli Święty Mikołaj nie przyniesie mi tego pióra. – Podparł dłonią policzek i znów spojrzął w okno, za którym nadal tkwiły wróble nastroszone jak pierzaste kuleczki. – Rozumiałem, że wówczas stracę ostatnią szansę i że już nigdy nie znajdę takiego pióra. Bo skoro nawet świętemu nie wyszło, mnie tym bardziej się nie uda.

– Co było potem?

– Potem dorosłem i przestałem miewać mrzonki. – Roześmiał się z lekką goryczą. – Założyłem rodzinę, urodził mi się syn... – Nagle zamilkł i znów spochmurniał. – Zrozumiałem, że życie nie jest bajką i należy twardo stąpać po ziemi, zamiast bujać w obłokach i szukać między nimi aniołów.

– Ale przecież w końcu je pan znalazł. W parku. Mam na myśli anioły.

– Tak, tylko że niestety tego najważniejszego zgubiłem.

– Ma pan na myśli zaginionego Siódmego Anioła? Przecież to nie pana wina.

– Może i nie, ale czuję się za niego odpowiedzialny. Za pozostałe anioły zresztą też. I za to, co mogłoby być, gdybym tylko ich posłuchał, gdy jeszcze miały ochotę do mnie mówić.

Obrócili się oboje, słysząc niespodziewany rumor. Jednemu z pensjonariuszy, który w międzyczasie wszedł do świetlicy, wypadły z rąk obie kule, gdy usiłował usadowić się przed telewizorem. Rozglądał się dezorientowany, przytrzymując się kurczowo oparcia fotela, na którym siedział inny mężczyzna, równie bezradny jak on. Obaj bezskutecznie usiłowali sięgnąć kul skrzyżowanych na podłodze u ich stóp. Julia poderwała się, żeby im pomóc. Podążyła łokciem temu, który nadal stał, i pomogła mu usiąść. Kule oparła o podłokietnik fotela tak, by miał do nich łatwy dostęp, kiedy zdecyduje się wstać. Uśmiechem podziękowała za wylewnie okazaną wdzięczność i przy okazji ucieszyła się, ponieważ nigdzie w pobliżu nie dostrzegła pielęgniarki. Kobieta musiała niepostrzeżenie wyjść, a to oznaczało, że Julia nie zostanie zbyt szybko

wyproszona, tak jak miała zapowiedziane na początku.

Na wszelki wypadek szybko wróciła do stolika pana Antoniego i ponownie usiadła naprzeciwko. Miała do załatwienia jeszcze jedną ważną sprawę, równie delikatną.

– Pana wnuk obawiał się, że rozmowa ze mną może źle wpłynąć na pańskie samopoczucie i, szczerze mówiąc, odradzał mi kontakt...

Podejrzewała też, że to właśnie on był odpowiedzialny za tak rygorystyczny zakaz odwiedzania starszego pana w domu opieki, ale tego już nie dodała głośno.

– Odradzał czy po prostu zwyczajnie zabronił pani tu przychodzić?

Odchrząknęła z zakłopotaniem.

– Czy to oznacza, że życzy sobie pani, abym mu nie wspominał...?

Odetchnęła z ulgą, widząc, że staruszek figlarnie unosi brew, a z jego twarzy zniknęło napięcie.

– Gdyby był pan tak miły... – Również mrugnęła porozumiewawczo.

– Cieszę się, że go pani nie posłuchała – odparł niespodziewanie i znów podniósł ze stołu list. W jego oczach odmalowało się pytanie, które Julia od razu prawidłowo odczytała.

– Należy oczywiście do pana – powiedziała szybko. – Mimo to nie jestem pewna, czy powinien pan go zatrzymać.

Tym razem uniósł obie brwi, wyrażając tym zdziwienie, a Julia wyjęła z torebki przygotowaną wcześniej kopertę i wskazała zapisany na niej adres.

– Bo może jednak warto go wysłać?

Zaśmiał się melancholijnie i gorzko.

– Myśli pani, że jeśli nawet w końcu dotrze do Świętego Mikołaja, ja tu jeszcze wtedy będę?

Zmieszala się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Na szczęście tego nie oczekiwał. Zapatrzył się w list, gładząc go znów delikatnie.

– Chociaż, z drugiej strony, może teraz mam większą szansę, by go wreszcie odnaleźć? – Spojrzał na nią pytająco. – Anioła, nie Świętego Mikołaja – dodał, widząc jej zdziwienie. – Bo jeśli to prawda, że one gdzieś tam są... – Zerknął w kierunku wiszącej nad nimi lampy osadzonej w mlecznym szklanym kloszu. – Może uda mi się któregoś dogonić i wyrwać mu ze skrzydła to nieszczęsne pióro? Tylko właściwie po co miałbym pisać list, skoro już pewnie za chwilę spotkam je obie?

– Je?

– Mamę i moją żonę, Konstancję. Pewnie już się poznały tam na górze i nie robią nic innego, tylko mnie obmawiają. Zwłaszcza Tusia, bo ona znała mnie o wiele dłużej, i to chyba jak nikt inny. – Westchnął. – Mama zachorowała, kiedy miałem zaledwie sześć lat, a z Tusią przeżyłem grubo ponad pół wieku. Wydaje się długo, ale ile by nie było, to zawsze za mało. Prawda?

Zmieszała się lekko.

– Pewnie tak – odparła cicho.

Przyglądał jej się chwilę, zupełnie jakby chciał o coś spytać. Odetchnęła, kiedy zrezygnował.

– Na pewno chciałby pan odpocząć. Pójdę już. – Poderwała się, a wówczas mężczyzna przytrzymał ją za rękę.

– Ale wrócisz tu jeszcze, Julio?

Niespodziewanie zwrócił się do niej po imieniu. W jego oczach czaił się niepokój. Patrzyła chwilę na staruszkę z trwogą, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie chciała składać czczych obietnic, a właściwie nie była pewna, czy rzeczywiście chce tu wrócić. Bo przecież dowiedziała się już wszystkiego i nie miała pojęcia, o czym mogłaby rozmawiać z tym miłym, ale jednak zupełnie obcym jej człowiekiem.

– Proszę, obiecaj, że wrócisz. – Nadal nie puszczał jej ręki.

– Nie chciałabym natknąć się tutaj na pańskiego wnuka – odparła wymijająco, siląc się na żartobliwy ton.

– Przychodzi tylko we wtorki i soboty. Tak ustaliliśmy. W pozostałe dni tygodnia na pewno go tu nie zastaniesz.

– Dobrze. W takim razie jeszcze pana odwiedzę.

– W piątek?

Była niedziela, więc miała całe pięć dni, żeby się do tej wizyty przygotować. Poza tym czuła, że staruszek nie ustąpi. Nie rozumiała powodu, dla którego tak bardzo mu na tym zależało, bo przecież nie mógł czuć się nazbyt samotny, skoro, jak sam przyznał, wnuk regularnie go odwiedzał. Jednak, z drugiej strony, zastała go w świetlicy całkiem samego. Nie dołączył do oglądających telewizję, nikt też mu nie towarzyszył, mimo że w pomieszczeniu było obecnych jeszcze kilka osób, jak zauważyła, nastrojonych dość towarzysko, bo pogrążonych w ożywionych rozmowach.

– Zgoda. – Ścisnęła lekko dłoń mężczyzny i w końcu uwolniła własną. – Przyjdę w piątek po południu.

– Uprzedzę na wszelki wypadek naszą kierowniczkę. – Kiwnął znacząco w stronę korytarza wiodącego do recepcji i wstał, żeby się pożegnać. – Tymczasem proszę ode mnie pozdrowić anioły z parku.

– Skąd pan wie, że się tam wybieram?

– Nawet jeśli nie miała pani takiego zamiaru, teraz znalazł się powód, by to zrobić.

– Wobec tego pojadę do parku jeszcze dziś, żeby przekazać pańskie pozdrowienia. – Uśmiechnęła się. – I podpowiem im, żeby uprzedziły wszystkie pozostałe, niech się mają na baczności i pilnują skrzydeł, jeśli chcą zachować wszystkie swoje pióra.

Właściwie była wdzięczna staruszkowi, że podsunął jej ten pomysł. Wcześniej nie wiedziała, co zrobić z resztą tak dobrze rozpoczętego dnia. Dziwiła się, że sama na to nie wpadła, bo przecież park miała właściwie po drodze. Może towarzyszyła jej obawa, że natknie się w jego pobliżu na właściciela sklepu? Nie chciała, by się dowiedział o jej samowoli, przynajmniej na razie, a nie była pewna, czy zdołałaby przed nim ukryć podekscytowanie i tym samym jego powód. Bo tak właśnie się czuła, wychodząc z Domu pod Dobrym Aniołem, odprowadzana czujnym spojrzeniem pielęgniarki wspartej o kontuar recepcji, ze słuchawką telefoniczną przy uchu. Podekscytowana i na swój sposób szczęśliwa.

11.

---

Ogromnie zadowolona z siebie zamknęła wreszcie pokrywę laptopa. Projekt karnawałowej wystawy, którą przygotowała dla Hebnera, okazał się wyjątkowo udany. Julia miała pełne prawo czuć satysfakcję, bo robiła go w ogromnym pośpiechu.

Był już początek stycznia, należało więc błyskawicznie zmienić dekoracje w witrynie. Miała tylko nadzieję, że właściciel sklepu nie zgłosi żadnych uwag. Nie było już czasu na poprawki, a rekwizyty zostały zamówione. Tym razem nie potrzebowała niczego wyjątkowego, więc nie było z tym większego problemu, udało się nawet wynegocjować niższe stawki. Była z siebie niebywale dumna, ponieważ z prostych i pozornie pretensjonalnych przedmiotów udało jej się wyczarować coś, co powinno przyciągnąć jeszcze więcej ciekawskich niż anioł o naturalnie wyglądającej twarzy i pierzastych skrzydłach, usadowiony przy starym sekretarzyku.

Pomysł pojawił się nieoczekiwanie. Wchodziła właśnie do windy, trzymając w objęciach zakupy w wielkiej papierowej torbie, od której chwilę wcześniej oderwało się ucho. Ze środka wystawały zielone pióropusze rozcapierzonych porów, soczyste natki pietruszki i kopru, a spomiędzy nich dwie długie, cieniutkie i bardzo rumiane bagietki. Julia odruchowo wyciągnęła brodę, żeby zerknąć w lustro w tylnej części kabiny, i aż zapało jej dech. Zaskoczona wpatrywała się we własne odbicie.

Jej zaróżowiona lekko od mrozu, a mimo to nadal szarawa twarz, okolona zieleniną, wyglądała, jakby należała do leśnej rusalki czającej się w szuwarach. Całości świetnie dopełniał szalik w kolorze brudnawej rzecznej toni. Już nie była Królową Śniegu o zimnym bladym obliczu, ale kimś zupełnie innym, tylko dzięki nowemu dla siebie, choć przypadkowemu tłu. Julia użyła przycisku blokującego drzwi i długo przyglądała się swojemu nowemu wizerunkowi po to, by zaraz po powrocie do domu przenieść nieoczekiwaną wizję na zupełnie nowy grunt. O wiele bardziej kolorowy, bo przesycony purpurą i złotem. Poświęciła temu prawie cały dzień, ale nie miała wątpliwości, że było warto.

Zapadał zmierzch, więc podeszła wolno do okna, żeby opuścić rolety. Wtedy dostrzegła na dole drobną postać zmierzającą pośpiesznie w stronę klatki schodowej. Nie widziała twarzy, ale natychmiast rozpoznała filigranową sylwetkę i jasne włosy Julity. Nie zgadzał się jedynie strój – dość niedbały, zupełnie inny niż zwykle. Pewnie stawiane kroki świadczyły o tym, że dziewczyna nie ma na nogach szpilek, a zamiast wciętego w taliu płaszczyka z rękawami i szalowym kołnierzem obszytymi srebrnym futerkiem włożyła grubą, puchową kurtkę w trudnym do określenia kolorze. Przed sobą taszczyła coś dużego, być może torbę, ale bardzo nieforemną. Zanim Julia zdążyła się jej uważniej przyjrzeć, sąsiadka zniknęła z pola widzenia. Niebawem dało się słyszeć windę, zatem jechała już na górę.

Kusiło ją, by przez wizjer przyjrzeć się dziewczynie, ale tego nie zrobiła. Uznała, że to byłoby głupie i ją samą zawstydził ten pomysł. Dlatego odczekała chwilę, dopóki nie usłyszała szcęknięcia drzwi, i dopiero wtedy wyszła na klatkę schodową.

Na palcach zeszła piętro niżej i nasłuchiwała dłuższą chwilę. W końcu uspokojona wróciła na górę.

Nie spotkała już więcej dziwnej kobiety z windy, ale wciąż nie mogła przestać myśleć o towarzyszącej jej dziewczynce. Na wspomnienie maleńkiej, ściśniętej zbyt mocno i całkiem pobielalej przez to rączki boleśnie kurczyło jej się serce. Dlatego przynajmniej raz dziennie szła na dół i upewniała się, że wszystko jest w porządku. Bo bardzo starała się w to wierzyć, w przeciwnym razie musiałyby zrobić coś jeszcze. Zapukać do tamtych drzwi albo poprosić kogoś, by to zrobił – wszedł tam i sprawdził, czy dziewczynce nie dzieje się krzywda.

Julia czasem słyszała jej głos, niemal zawsze wesoły, raz tylko zza drzwi

dobiegł płacz, ale towarzyszył mu łagodny, uspokajający, tym razem męski głos. Kobięcy również się pojawiał, jednak jego ton nigdy nie skłaniał do niepokoju i podejrzeń, że dzieje się coś złego. Mimo to Julia nie przestawała kontrolować sytuacji. W głębi duszy czuła, że powinna. Podobnie często zerknęła na drzwi mieszkania Julity, ponieważ zza ściany od wielu dni nie dobiegały najcichsze nawet dźwięki. Wcześniej, zwykle rano, słychać było szum prysznica, wieczorem stłumioną muzykę albo stukot obcasów zawsze poprzedzający trzask zamka w drzwiach i hurkot windy. Dlatego Julia uspokoiła się, gdy dostrzegła sąsiadkę przez okno. Zastanawiało ją jedynie, co wydarzyło się w jej życiu, że wyglądała inaczej niż zwykle.

Po powrocie do siebie obrzuciła uważnym spojrzeniem całe mieszkanie. Podniosła z fotela koc i starannie złożyła w kostkę. Trzymając go pod pachą, zastanawiała się chwilę. Potem zerknęła przelotnie na wiszący nad fotelem zegar.

– Lepiej, jeśli zrobię to jeszcze dziś – powiedziała do siebie głośno.

Wsunęła do torby laptopa i zerknęła w lustro, sprawdzając, jak wygląda. Przyglądała włosy i dopięła guziki swetra.

– No! – podsumowała oględziny.

W rozwianym płaszczu i niedbale zarzuconym szaliku wybiegła z mieszkania. Dopiero w windzie, przytrzymując kolanami torbę z laptopem, opatuliła się porządnie i wcisnęła na głowę jaskrawoczerwoną czapkę, którą pochwyliła już niemal w progu. Wyjęła z kieszeni rękawiczki i pośpiesznie wsunęła w nie dłonie.

Na zewnątrz lekko prószył śnieg i Julia chwilę zastanawiała się, czy jednak nie wrócić po parasol, ale w końcu zarzuciła na głowę kaptur i ruszyła na przystanek. Dopiero w autobusie uświadomiła sobie, że powinna wcześniej sprawdzić, czy zastanie Hebnera, skoro to jemu zamierzała pokazać projekt. Na ogół przebywał w sklepie od rana do wieczora, z wyjątkiem dni, kiedy odwiedzał dziadka, jednak zdarzało się, że wychodził nieco wcześniej.

Do zamknięcia sklepu zostało trochę ponad godzinę, istniała więc możliwość, że Julia się z nim rozminie, jednak mimo to postanowiła zaryzykować. Nie miała już ochoty wracać do domu. Ostatecznie, gdyby nie doszło do spotkania z Hebnerem, mogła po prostu przespacerować się po parku. Nie była tam od dnia, w którym spełniła obietnicę daną panu Antoniemu i pozdrowiła w jego imieniu anioły.

Właściwie cieszyła się, że już niebawem znów go odwiedzi. Tym razem chciała zanieść mu jakiś podarunek. Może książkę? Nie zdołała ostatecznie podejrzeć tytułu tej, którą czytał wtedy w świetlicy, i nie była pewna, czy trafi z wyborem, ale postanowiła spróbować. Kusiło ją, by od razu wejść do księgarni, którą mijalała po drodze, i czegoś odpowiedniego poszukać. Powstrzymywała ją tylko obawa, że przez to spóźni się na spotkanie z Hebnerem.

Wydawał się zaskoczony, gdy Julia, mocno zdyszana, stanęła w progu sklepu. Najwidoczniej nie spodziewał się, że tak szybko upora się z projektem. W dodatku zamiast od razu wyjawic powód swojej nagłej wizyty, pobiegła w głąb sklepu i zatrzymała się dopiero przed ogromnym lustrem w złoconej ramie.

– Doskonałe! – wykrzyknęła. – Jednak dobrze je zapamiętałam, świetnie się nada...

– Pani Julio...

– Na wystawę oczywiście. – Odwróciła się w jego stronę z szerokim uśmiechem. – Posłuży jako jej centralny punkt, ale serce całego projektu tym razem będzie się wciąż zmieniało...

– Pani Julio!

– W zależności od tego, kto stanie przy witrynie... – Urwała, ponieważ dopiero teraz dostrzegła wyraz twarzy mężczyzny. Nie podzielał jej entuzjastycznego nastroju. Wydawał się podenerwowany i widać było, że szuka odpowiednich słów, by wyjaśnić jej, z jakiego powodu. W dodatku wiele wskazywało na to, że to ona jest przyczyną jego irytacji.

– Coś się stało? – spytała, patrząc niepewnie w jego zbyt poważną twarz.

– Wydaje mi się, że to pani powinna mi wyjaśnić.

– Przecież właśnie próbuję. – Obruszyła się lekko. – Mam dla pana projekt...

– Nie to miałem na myśli... – Przerwał jej bezceremonialnie, podnosząc lekko głos. – Chciałem nawet od razu zadzwonić i powiedzieć, co o tym sędzę, ale uznałem, że dam pani szansę. Poczekam, aż przyzna się pani sama.

– Do czego niby?

Teraz już udawała, że nie rozumie, albo też wciąż łudziła się, że chodzi o coś innego. Mimo to nie potrafiła pozbyć się z głowy obrazu pielęgniarki, która odprowadzała ją wzrokiem, gdy Julia opuszczała Dom pod Dobrym Aniołem.

Przypomniała sobie przyklejoną do jej ucha słuchawkę i uśmiech zadowolenia na wykrzywionej ironicznie twarzy.

– Zadzwoniła do pana? – Bardziej stwierdziła, niż zadała pytanie, bo odpowiedź przecież już знаła.

– Tak – odparł po dłuższym namyśle. – Rozmawiałem też z dziadkiem.

– Bardzo miło nam się gawędziło...

– I tylko dlatego nie zrobię pani awantury – podsumował. – Jednak na przyszłość nie życzę sobie podobnych sytuacji.

– Przepraszam, ale pan Antoni zaprosił mnie...

– Wiem – uciał. – Mimo to chciałbym panią prosić, żeby pani... – zawahał się, pewnie szukając właściwego słowa. – Żeby pani nie nadużywała jego gościnności – dokończył.

– To akurat mogę panu obiecać. Jeśli pański dziadek straci ochotę, by mnie widywać, nie będę go odwiedzając ani nalegać na kolejne wizyty.



– Dziękuję – odparł krótko.

Milczeli chwilę oboje.

– Ale jeśli wszystko już się wydało, czy mogłabym się pana poradzić w pewnej sprawie?

Mina Hebnera świadczyła o tym, że woli, by tego nie robiła. Mimo to spróbowała.

– Chciałabym podarować mu coś i pomyślałam o książce. Na pewno orientuje się pan, co by mu się spodobało. Więc gdybym mogła prosić o radę...

Tym razem wyglądał na zaskoczonego.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia – wybąkał wreszcie. – Może jakieś krzyżówki? Czytałem, że ich rozwiązywanie trenuje mózg i poprawia pamięć, a w jego wieku...

– Może – przytaknęła, myśląc w duchu, że nie zauważyła u starszego Hebnera kłopotów z pamięcią. Rozmawiała z nim wprawdzie zbyt krótko, by mieć co do tego pewność, ale nie umknęło jej uwadze wyjątkowo bystre spojrzenie staruszka. A to świadczyło o tym, że w podobnym stanie był też jego umysł. Mimo fizycznej ułomności związanej z wiekiem, drażących lekko rąk, co można było równie dobrze przypisać podenerwowaniu i słabemu sercu, o którym wspominał jego wnuk, mężczyzna był z pewnością całkowicie sprawny intelektualnie. A w ćwiczeniu pamięci pomagało mu zapewne czytanie książek. Julia zresztą lepszego sposobu nie знаła. Dlatego postanowiła mimo wszystko nie rezygnować ze swojego pomysłu i poszukać czegoś samodzielnie.

Chcąc zakończyć wciąż drażliwy dla Hebnera temat, wyjęła z torby laptopa i ustawiła na stole, żeby zaprezentować projekt. Reakcja na pierwsze slajdy pokazywała, że przypadł mężczyźnie do gustu bez jakichkolwiek zastrzeżeń. Był wręcz zachwycony. Poprawił się też radykalnie jego nastrój. I tylko rzucane od czasu do czasu znaczące spojrzenia sugerowały, że nie zapomniął o postępku Julii, nawet jeśli ze względu na dziadka wybaczył.

– Ten projekt jest nawet lepszy od poprzedniego – oświadczył z przekonaniem. – Kiedy możemy przystąpić do realizacji?

– Jak tylko zwolni się miejsce za szybą pańskiego sklepu. – Tym razem ona zrobiła wiele mówiącą minę. Zbliżał się długo wyczekiwany przez nią moment, w którym z witryny miał zniknąć sekretarz.

Hebner zerknął na zegarek.

– Może go pani zabrać choćby już. – Prawidłowo odgadł jej myśli. – Zmieści się w moim samochodzie. Przy okazji odwiozę panią do domu.

– Nie, lepiej nie! – zaprotestowała gwałtownie. – To znaczy dziś nie bardzo mogę, mam inne plany i nie chcę też panu sprawiać kłopotu. Jutro z samego rana przyślę po niego kogoś.

Tylko jeden człowiek znał adres jej mieszkania, kierowca bagażowej

taksówki, ten sam, który pomógł jej wtaszczyć na jedenaste piętro zakupione sprzęty zaraz po tym, jak się wprowadziła, a ostatnio fotel. I wołała, by tak właśnie zostało. Nie wyobrażała sobie, że ktokolwiek, inny taksówkarz czy tym bardziej Hebner, przekracza próg jedyne miejsce, które należało tylko do niej i w którym czuła się całkowicie bezpieczna.

12.

---

Ukłucie nie było bolesne. Syknęła bardziej ze złości i od razu wsunęła palec do ust, by zasklepić skaleczenie zaznaczone maleńką czerwoną kroplą. Poskutkowało tylko na chwilę. Mimo zimna, które powinno zwięzić naczynia, nie udało się powstrzymać krwawienia. Drut wbił się zbyt głęboko.

– Proszę to natychmiast zostawić! Trzeba oczyścić ranę porządnie, zdezynfekować i założyć opatrunek. – Pan Antoni chwycił Julię za nadgarstek i uniósł wysoko jej ramię, jakby miała za chwilę wykrwawić się na śmierć. Trochę ją to rozśmieszyło. Mężczyzna jednak wydawał się poważnie zaniepokojony i nie przerywał utyskiwań. – Mówiłem, że ja się tym zajmę. To nie jest zajęcie dla kobiety.

– Bez przesady! – Zgromiła go żartobliwie wzrokiem. – To tylko draśnięcie, a karmnik jest już całkiem dobrze zamocowany. Gdybym bardziej zaufała swoim umiejętnościom, nic by się nie stało. Niepotrzebnie dodatkowo szarpałam się z tym

drutem, należało zostawić wszystko tak, jak jest. – Wyswobodziła delikatnie ramię z uścisku staruszka, po czym wyjęła z torebki małe opakowanie plastrów opatrunkowych. – No i proszę, już po kłopotcie. – Pokazała zaklejony palec.

Zamknęła okno i roztarła zmarznięte dłonie. Przez chwilę lustrowała swoje dzieło. Oględziny wypadły pozytywnie. Była bardzo zadowolona z ostatecznego efektu.

– Jak tylko się zorientują, zlecą się wszystkie. – Pan Antoni przestał wreszcie wpatrywać się w zranioną dłoń Julii i powędrował za jej wzrokiem. – Raz widziałem nawet gile. Bo zięby, jemiołuszki i sikorki są tu prawie codziennie. Nie wspominając już o tych biednych szarych maluchach, bo ja, wie pani, jakoś te nasze polskie wróble i mazurki lubię najbardziej. – Westchnął. – Żeby tylko sroki i wrony im wszystkiego nie wybrały.

– One też chcą przetrwać zimę.

– Ale im jest łatwiej, bo są większe i zaradniejsze. Zawsze sobie coś znajdują, jak nie tu, to tam. A ten drobiazg wiecznie głodny. – Zamartwiał się, przyglądając się z troską ptasiej stołówce, zaopatrzonej już w porządną porcję rozmaitych ziaren.

Na pomysł, by kupić Antoniemu karmnik, Julia wpadła w księgarni, gdy przeglądała pięknie wydany atlas ptaków. Przypomniała sobie gałąź przytuloną do okna świetlicy w Domu pod Dobrym Aniołem i zrzędlawy głos pielęgniarki informujący o jej rychłym ścięciu. Może też właśnie jej na przekór kupiła i atlas, i karmnik. Przede wszystkim jednak liczyła na to, że nie tylko pomoże ocalić gałąź, ale sprawi radość panu Antoniemu i przy okazji innym mieszkańcom ośrodka, którzy być może od czasu do czasu wybiorą oglądanie ptaków zamiast telewizora.

Prezent okazał się trafiony, ogromnie ucieszył i wzruszył staruszka. Mężczyzna uparł się, by od razu zamocować go za oknem i już podnosił się z fotela, by to zrobić, ale Julia postanowiła go wyrećzyć. Mimo zdecydowanych protestów i przekonywania, że to męskie zajęcie. Ten ostatni argument sprawił, że zabrała się do pracy z jeszcze większym zapałem, chcąc udowodnić, że kobiety radzą sobie z podobnymi pracami równie dobrze jak mężczyźni, a może nawet lepiej. Jedynym problemem była konieczność wpuszczenia do świetlicy sporej ilości mroźnego powietrza, co mogło zaszkodzić zdrowiu również pozostałych pensjonariuszy. W dodatku wokół Julii i Antoniego zgromadził się już całkiem spory wianuszek ciekawskich. Dlatego należało zadbać, by wszystko rozegrało się możliwie szybko, również ze względu na personel, który mógłby przerwać samowolny montaż karmnika.

Na szczęście Julia błyskawicznie poradziła sobie z zadaniem. Zajęło jej to tylko kilka minut i, gdyby na koniec nie ukuła się drutem, akcja skończyłaby się pełnym powodzeniem. Również dlatego, że na horyzoncie nie pojawił się nikt z personelu. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że nikt też nie usunie później karmnika. Pan Antoni obiecał tego dopilnować. Julia z kolei nie wątpiła, że nie

pozwole sobie zbyt łatwo odebrać największej przyjemności, jaką było dla niego podglądanie ptaków.

– I będę codziennie sprawdzał, czy mają zapas pokarmu. – Poklepał z czułością woreczek z zapasowym ziarnem. – Zupełnie jak kiedyś. Z moją Tusią zawsze dokarmialiśmy zimowe ptactwo.

– W parku?

– Chadzała tam prawie codziennie. Gołębie i nie tylko one jadały jej z ręki. Czasem wracała kompletnie przemarznięta, ale szczęśliwa. Ptaki były dla niej prawie jak anioły, jednakowo zachwycające. Tak zawsze mówiła, gdy je obserwowała...

– Wciąż tam są. – Julia zerknęła na pusty ciągle karmnik i mimowolnie pomyślała o poznanej w parku staruszcze sypiącej ptactwu karmę. To podsunęło jej nowy pomysł. Miała nadzieję, że staruszkowi również się spodoba. – A może zechciałby pan kiedyś wybrać się tam ze mną? – Podekscytowana spytała od razu.

Zaprzeczył gwałtownie.

– To już nie jest ten sam park. – Westchnął. – I mojej Tusi już tam nie ma.

Wrócili do stolika, ale oboje usiedli tak, by widzieć okno i gałąź z karmnikiem.

– Tylko raz byłem tam bez niej, ale tak jakby w jej imieniu – kontynuował Antoni, choć wspomnienie zmarłej żony znów przywołało na jego oblicze szary cień smutku. – Zaniósłem ptactwu kutię.

– Jak to? – Zdziwiła się.

– Moja żona odeszła niespodziewanie, niedługo przed Wigilią. Nagle. Chorowała, ale wtedy, w grudniu, czuła się naprawdę dobrze, było widać poprawę i mieliśmy nadzieję, że niebawem wróci do zdrowia. A już na pewno nikt się nie spodziewał, że wydarzy się coś całkiem przeciwnego, w tym chyba też ona sama. Zachowywała się normalnie, więc raczej niczego nie przeczuwała. Zdążyła nawet przygotować kilka świątecznych potraw, w tym oczywiście kutię. Robiła ją co roku, chociaż nikt za nią nie przepadał i zawsze zostawała na stole prawie nietknięta. Dziwiłem się, że mimo to wciąż ją przyrządza, ale gdy pewnego razu chciałem sprawić jej przyjemność i nałożyłem sobie trochę na talerz, natychmiast to zrozumiałem. Ona wcale nie przyrządzała kutii dla nas, ale wyłącznie dla ptaków, nosiła im tę potrawę po każdej wigilii.

– Po czym pan to poznał?

– Bo zamiast miodu był w niej smalec. – Roześmiał się. – Tusia tłumaczyła, że każdego roku dodawała go do słodkiej kutii już po wieczerzy wigilijnej, aż w końcu zaczęła robić to od razu. Nie sądziła, że ktoś się zorientuje, a bez kutii na stole nie byłoby dwunastu potraw.

– Zawsze było ich dokładnie dwanaście?

– Nie. Nie zawsze. Bywały takie czasy, że było ich o wiele, wiele mniej.

Wtedy dbaliśmy tylko o to, by na stole nie zabrakło najważniejszego, opłatka. Ale mimo to tamte wigilie, choć uboższe, były o niebo lepsze od tej pierwszej samotnej, bez mojej ukochanej żony.

I bez syna, dodała Julia już tylko w myślach. Od wnuka Antoniego wiedziała, że jego ojciec nie odwiedził ani razu chorej matki, pojawił się dopiero na jej pogrzebie, a potem natychmiast wyjechał. Nie interesowało go, co stanie się z jego niemłodym już wtedy i pogrążonym w rozpacz ojcem. Julia zastanawiała się, co takiego przytrafiło się tej rodzinie, że całkiem się rozpadła i nigdy już nie udało się jej skleić na nowo. Nie zamierzała jednak pytać. I wcale nie dlatego, że nie wypadało. Była prawie pewna, że nie udźwignęłaby odpowiedzi.

Na szczęście mogła oderwać się od tych nieprzyjemnych myśli, ponieważ nagle coś innego przykuło jej uwagę. Mały kolorowy ptaszek przysiadł na krawędzi karmnika i zabawnie przekrzywił główkę.

– Jest pierwszy gość – obwieściła ściszym głosem, jakby w obawie, że go przestraszy, ale zadowolona, że ma powód do zmiany tematu rozmowy. – To gil?

Antoni wychylił się w stronę okna.

– Zięba. Też ma rudy brzusek, ale o mniej intensywnym odcieniu. I dwa białe prążki na skrzydełkach. Gil ma tylko jeden albo wcale.

– Sporo pan wie o ptakach – zauważyła i umilkła. Nie chciała wracać do poprzedniej rozmowy. Na szczęście Antoni również, ponieważ uśmiechnął się i pogładził okładkę leżącej przed nim książki.

– Teraz będę wiedział jeszcze więcej.

Julia zerknęła na zegarek i z pewnym ociąganiem sięgnęła po płaszcz przerzucony przez oparcie krzesła. Lubiła towarzystwo Antoniego i niechętnie się z nim rozstawała, ale tym razem zwyciężył rozsądek. Widziała zmęczenie malujące się na jego twarzy. Zasługiwał na popołudniowy odpoczynek. Również od dostarczonych mu wrażeń.

– Już idziesz, moje dziecko? – Zdziwił się mimo to.

– Przepraszam, ale mam dziś jeszcze parę spraw do załatwienia.

– Praca? – Pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Tak, ale obiecuję, że niebawem, jak tylko się z tym uporam, znów do pana zajrzę.

– Tylko nie zapomnij pozdrowić ode mnie anioły w parku.

– Skąd pan wie, że się tam wybieram? – odparła z lekkim przekomarzaniem.

Żegnał ją tymi samymi, co poprzednio, słowami, choć nie mógł wiedzieć, że i tym razem prosto od niego pojedzie do parku z aniołami i zamkniętego o tej porze sklepu Hebnera, żeby popatrzeć na nową witrynę.

– Wnuk opowiadał mi o wystawie karnawałowej – odparł wymijająco, zdradzając tym samym, że domyśla się prawdziwego celu jej wyprawy. Zupełnie jakby ją przejrzał i tym samym odkrył jej największą słabość. – Podobno robi

wrażenie.

– Podobno – wymamrotała już przez szalik, którym właśnie się owijała.

Zastanawiała się, czy Hebner wspomniał dziadkowi o sekretarzyku, który od paru dni znajdował się w jej mieszkaniu, ale bała się o to spytać. Postanowiła, że zrobi to przy innej okazji. Na razie sama oswajała się z obecnością nowego mebla. Niełatwo jej było znaleźć dla niego miejsce, musiała pozbyć się jednej komody. Wcześniej całą jej skromną zawartość w postaci starych rachunków, faktur i przyborów do pisania przełożyła do swojego najnowszego nabytku. W najwyższej szufladzie umieściła staroświecką, pięknie zdobioną papeterię, kupioną kiedyś, sama już nie pamiętała gdzie, pod wpływem impulsu i ze świadomością, że pewnie nigdy jej nie użyje. Do tej najniższej wsunęła książkę z baśniami Andersena podarowaną jej przez Hebnera. Szuflada wciąż się zacinała i Julia nie planowała jej więcej używać. Tak jak nie zamierzała nigdy zaglądać do książki, która przywoływała zbyt wiele niechcianych wspomnień.

Oczyszczony z kurzu mebel prezentował się znakomicie, mimo że w nowym miejscu nie pasował do niczego, prócz dobrego samopoczucia obecnej właścicielki. To było i tak więcej, niż oczekiwała. Ustawiła na drewnianym blacie laptopa, chcąc sprawdzić, czy wiekowe biurko go zaakceptuje. Otworzyła plik z powieścią i zupełnie przypadkowy rozdział. Przeczytała wyrwany z kontekstu fragment:

*Każdy pragnie czegoś dla siebie i często zapomina, że klóci się to nierzadko z potrzebami innych. Ale to przecież normalne i lepiej się z tym nie spierać ani tego nie krytykować. Tak już po prostu jest. Los ma na nas swoje własne plany i czasem nie ma innego wyjścia, jak się im poddać i cieszyć się z tego, co nam dał. Bo przecież nigdy nie bywa tak, że nie daje nic.*

Tym razem niczego nie zmieniła. Nie wykasowała ani nie dopisała żadnego słowa. Zamknęła dokument, uznawszy, że to dobry znak. Biurko nadal chciało być obecne w jej życiu, również tym, które spisywała na kartach bezimiennej powieści.

Niekiedy odnosiła wrażenie, że dzięki temu jej egzystencja nabiera całkiem nowego sensu, mimo że nie była wcale pewna, czy to dobrze, czy źle. Nie miała szans zastąpić tej, której Julia już nie mogła odzyskać. Uciekając od takich myśli, chwytala się kurczowo znajomego poczucia zawieszenia między „przedtem” a „potem”, bo z nim czuła się najbezpieczniej. Stanowiło dla niej idealne rozwiązanie. Na szczęście wiedziała, co zrobić, by mieć je prawie na zawołanie. Wystarczyło nie wypadać z codziennego rytmu i nie ulegać emocjom. Wówczas jej szklana kula pozostawała prawie nieruchoma, bez niespodziewanych wstrząsów.

Na ile było to możliwe, starała się przywoływać dawną rutynę, adaptując do niej wszystkie ostatnie zmiany. Każdego wieczoru wychodziła z domu, by popatrzeć na wystawę w sklepie Hebnera i ludzi, którzy przychodzili ją oglądać.

Bała się, że jeśli nie będzie tego robić systematycznie, wówczas coś ją ominie. Karnawałową witrynę odwiedzało jeszcze więcej ciekawskich niż tę świąteczną. Nie dziwiła się temu, ponieważ właśnie taki efekt założyła. Od początku wiedziała, że pasujące do aranżacji kolorowe pióra i weneckie maski, na które się zdecydowała, nie wystarczą, by przyciągnąć tłumy. Dlatego postanowiła wykorzystać zwyczajną ludzką próżność i pozwolić każdemu spojrzeć na siebie tak, jak ona patrzyła w windzie na własne odbicie, poprzez nać warzyw.

Zdecydowała się na ogromne lustro w bogato rzeźbionej i pozłacanej ramie. Umieściła je w centralnej części wystawy. Obok nie zabrakło też typowych karnawałowych rekwizytów – brokatu, konfetti i mieniących się cekinów. Jednak ten najważniejszy odbijał się w lustrze wraz z twarzą oglądającego, który stanął naprzeciwko odwróconej tyłem maski. Każdy, kto zajął odpowiednią pozycję, widział swoje odbicie zza kolorowej maski, uzyskując w ten sposób złudzenie, że ma ją na własnej twarzy. Efekt był piorunujący. By go osiągnąć, trzeba było wiele trudu i przysmaków, jednak Julia nie miała wątpliwości, że było warto. Wieczorne wizyty w sklepie Hebnera tylko ją w tym utwierdzały. Mimo że przygotowała więcej witryn karnawałowych w innych częściach miasta, tę oglądała najczęściej. A zaraz potem udawała się na długi spacer po parku.

Wciąż odwiedzała anioły, chociaż sama, nie wiedząc kiedy, przestała do nich mówić. Wszystkie słowa i myśli, które zwykle im poświęcała, ulatywały jej z głowy jak spłoszone ptaki, a ona nie potrafiła nad nimi zapanować. Czuła się bezradna. Towarzyszył temu dziwny wewnętrzny bezwład, zupełnie jakby coś blokowało ją od środka. Dokładnie jak wtedy, gdy otwierała plik z powieścią, do której ostatnio zaglądała rzadziej, mimo że biurko wydawało się sprzyjać tworzeniu. Straciła też potrzebę i przede wszystkim chęć wprowadzania do niej jakichkolwiek zmian. Wodziła jedynie wzrokiem po kolejnych liniijkach tekstu i nie czuła nic.

Jednak nie dlatego, że to, co się tam znajdowało, stało się jej obojętne. Wręcz przeciwnie. Miała wrażenie, że gdyby tylko uwolniła emocje, straciłaby nad nimi kontrolę. Poniosłyby ją jak konie ciągnące sanie Królowej Śniegu – w ciemność, której bała się o wiele mniej niż tego, co mogłoby ukazać się jej oczom, gdyby opadła zimowa mgła i uspokoiła się zamieć. Już od pewnego czasu czuła, że pogoda, i tym samym stan jej ducha, niebezpiecznie się zmienia. Zbyt często odczuwała delikatne ciepło w okolicy serca i istniała szansa, że w zlodowaciałych dotąd fragmentach jej duszy zapanuje odwilż. Wiedziała, że wtedy wróci wszystko to, czego już prawie nie czuła, ponieważ zamarzło dawno temu, gdy zamknęła swój świat w śnieżnej kuli. Na jej szklanych ściankach niespodziewanie pojawiły się małe rysy, które Julia wcześniej przeoczyła. Mimo że nikt nią już nie potrząsał. Należało zapobiec ich pogłębieniu. Bo wtedy już niczego nie udało się ocalić.



Wszystko, co zdołała z takim trudem poskładać na nowo, rozpadłoby się na milion kawałków. Również ona sama.

13.

---

Tego dnia nie pojechała na spotkanie z Antonim, chociaż mu to obiecała. Od wielu tygodni odwiedzała go regularnie, z czasem coraz częściej. Lubiła w jego towarzystwie obserwować ptaki oblegające karmnik, i przede wszystkim rozmawiać. Bywało, że ich rozmowy zmieniały się w długie i trochę melancholijne monologi staruszka, który nie potrzebował wielkiej zachęty do snucia opowieści. Sam też nigdy o nic nie wypytywał Julii, dlatego czuła się przy nim bezpiecznie i swobodnie, jak z nikim innym. Tym razem jednak bała się, że owa beztroska, zamiast odprężyć, mogłaby ją przytłoczyć.

To nie był dobry dzień na odwiedziny ani rozmowy, choćby o czymś nieistotnym. Nie miała ochoty na towarzystwo drugiego człowieka, nawet tak miłego jak Antoni, ani też siły, by wybrać się dokądkolwiek. Na zewnątrz panowała odwilż, ulice i chodniki pokrywała cienka warstwa brudnego lodu, a z sinego nieba nieustannie siąpił deszcz. Świat spowiła smutna szaroburość.

Prawdziwa wiosna była jeszcze zbyt daleko, by już do niej tęsknić, dlatego to uczucie oraz żal z powodu przemijającego uroku wciąż zagarniała tylko dla siebie wolno odchodząca zima.

Julia usprawiedliwiała się przed Antonim i samą sobą, że z powodu kiepskiej pogody i tak nie mogłaby zabrać go na obiecany spacer, a silny ból głowy nie pozwoliłby na przyjemne spędzenie czasu. Nie dodała tylko, że nie byłoby to możliwe również z powodu nie najlepszego samopoczucia spowodowanego tym, co powtarzało się na początku każdego miesiąca, a o czym panu Antoniemu dotąd nie opowiedziała.

Szara koperta wyjęta z pocztowej skrytki i zdjęcia wsunięte pośpiesznie do pudełka ukrytego na dnie szafy zawładnęły każdym zakamarkiem jej umysłu. Tylko ze względu na nie Julia wyszła na chwilę z domu. Wracała z poczty, niosąc ze sobą zimowy chłód, również ten wewnętrzny. Przenikał ją do głębi i tworzył emocjonalny dysonans, bo choć znów było gorzej, to jednocześnie czuła się lepiej, przede wszystkim psychicznie. Nadal wyrzucała sobie, że zbyt zajęta organizowaniem swojej nowej życiowej przestrzeni, której być może tak naprawdę wcale nie potrzebowała, przestała myśleć o tym, kim naprawdę jest, co zrobiła i jaką wyznaczyła sobie za to pokutę. Miała uszczęśliwiać innych – nie siebie.

Szczęście nie było jej pisane i nie powinna o tym nigdy zapominać.

Głowa od natłoku myśli stała się nagle ciężka. Julia wcisnęła podbródek w zbyt ciasno zawiązany szalik. Marzyła już tylko o tym, by się położyć, zasnąć i wstać dopiero następnego dnia, gdy minie najgorsze. Nie mogła się doczekać, kiedy znajdzie się wreszcie w swoim mieszkaniu i wtuli twarz w poduszkę, w którą wsiąknięto wciąż niedostatecznie wiele łez.

W windzie pośpiesznie wcisnęła guzik z jedenastką. Zanim jednak drzwi się zamknęły, dojrzała za nimi niecierpliwie podskakujące dziecięce buki. Nadal nie podnosząc głowy, przesunęła się, żeby zrobić miejsce wchodzącym. Trzymała kurczowo ciężkie zakupy, gotowa jednak upuścić je w dowolnym momencie, gdyby trzeba było pomóc dziecku.

Julia obserwowała je dyskretnie zza opadającej na twarz grzywki. Miała wielką ochotę od razu wyswobodzić drobną rączkę z dłoni kobiety, bo znów przytrzymała ją, zdaniem Julii, zdecydowanie zbyt mocno. Dziewczynka jednak wydawała się spokojna, więc z pewnością nic ją nie bolało ani nie czuła lęku przed tym, co za chwilę mogło nastąpić. Nuciała sobie coś cichutko, przytupując do taktu nóżką w pomarszczonych białych rajstopkach w biedronki.

Z kolei kobieta nie wyglądała na zrelaksowaną. Znów mocno zaciskała zęby, spięta i wpatrzona w drzwi windy. Była bardzo blada i słała się na nogach, sprawiała wrażenie, jakby miała za chwilę zemdleć. Prawie nie oddychała, a nienaturalnie uniesiona klatka piersiowa sugerowała, że zatrzymała w płucach zbyt dużo powietrza.

Julia przyglądała się jej z rosnącym niepokojem i już całkiem jawnie. Właśnie zamierzała się odezwać i zaproponować pomoc, gdy poczuła szarpnięcie, przez co zatoczyła się lekko. Potrzebowała chwili, by odzyskać równowagę. W tym czasie winda zatrzymała się między dziewiątym a dziesiątym piętrem.

– Chyba mamy awarię – wymamrotała trochę zdezorientowana, poprawiając czapkę, która zsunęła się jej na oczy.

Wówczas odkryła, że kobieta i dziecko siedzą na podłodze, z tym że dziewczynka z pewnością wbrew swojej woli. Usiłowała wyswobodzić się z zagarniających ją sztywnych ramion, odpychając je od siebie.

– Przez ciebie pomyliła mi się melodia – chlipała. – Muszę zaczynać wszystko od początku, a nie pamiętam, jak to było. I puść mnie wreszcie, chcę stąd wyjść!

Kobieta nie reagowała na jej płacz i uparcie krępowała dziewczynkę w objęciach. Zrobiła się jeszcze bardziej blada, mimo że wcześniej wydawało się to niemożliwe. Zacisnęła powieki i szeptała coś bezgłośnie, z trudem łapiąc powietrze.

– Proszę przestać! – Julia pochwyciła dziewczynkę w pasie, żeby ją uwolnić. – Bo jeszcze chwila i ją pani udusi!

Wyszarpnęła wreszcie łkające coraz głośniejsze i opierające się dziecko. Było bardzo przestraszone, wyrywało się Julii.

– Już dobrze. Nic złego się nie dzieje. – Julia uspokajała je łagodnie. – Winda pewnie niedługo ruszy. Trzeba tylko troszkę poczekać.

Poprawiła dziewczynce kurteczkę, pogłaskała mokry od łez policzek i żartobliwie pstryknęła zwisający z czapki pompon, nie ścierając z twarzy ani na chwilę zdecydowanie wymuszonego uśmiechu. Dopiero wtedy wcisnęła guzik alarmowy i przeniosła wzrok na opiekunkę dziecka. Ta wciąż siedziała na podłodze i kiwała się rytmicznie w przód i w tył, obejmując się drżącymi ramionami. Po skroniach płynęły jej grube strugi potu.

– Żle się pani czuje? – Julia pochyliła się nad nią.

Pytanie nie miało zbytniego sensu, ponieważ odpowiedzią był widoczny na pierwszym rzut oka stan kobiety. Jednak nic innego nie przyszło jej do głowy, a chciała nawiązać z kobietą jakikolwiek kontakt. Niestety, nie udało jej się to. Nie zdołała też pochwycić spojrzenia nieznanym, bo ta na dźwięk jej głosu zacisnęła powieki.

Julia wyjęła z kieszeni telefon, rozważając wezwanie karetki pogotowia.

– Nie lubi jeździć windą – wyjaśniła dziewczynka. Wychyliła się zza ramienia Julii i delikatnie dotknęła policzka zestresowanej kobiety. – Boi się nawet bardziej niż Jasek z mojej grupy, a on ma stracha prawie przed wszystkim i bez przerwy płacze bez powodu.

– Jesteś przedszkolakiem, tak? – zagaiła Julia, grzebiąc jednocześnie

w torbie z zakupami w poszukiwaniu butelki z wodą mineralną. – To dlatego jesteś taka dzielna. I pewnie już dużo umiesz. Słyszałam jak śpiewasz.

– Bardzo dużo. – Potrząsnęła dumnie bródką. – I niedługo wystąpię w przedstawieniu. Znam już prawie całą moją piosenkę. Zapomniałam tylko początku i nie mogę przez to zacząć od nowa.

– Na pewno twoja mama pomoże ci wszystko sobie przypomnieć. Ale najpierw razem musimy pomóc jej. Mogę na ciebie liczyć?

– Ale to nie jest moja mama!

Julia zamarła z butelką w jednej i zakrętką w drugiej ręce.

– Nie?

Dziewczynka westchnęła i rozłożyła ramiona.

– To jest Jagoda. Zawsze odbiera mnie z przedszkola, a potem się ze mną bawi.

Kobieta, słysząc swoje imię, otworzyła oczy.

– Nie wytrzymam – wykrztusiła, chwytając się za serce. – Nie dam rady.

– Proszę się napić. Winda pewnie zaraz ruszy, podobne awarie z reguły trwają krótko.

Taką miała nadzieję, bo pewności już nie. Dotąd nic podobnego jej się nie przydarzyło i tak naprawdę nie miała pojęcia, jak długo to może potrwać. Łudziła się, że usterka nie jest poważna, skoro nie wysiadła elektryczność. Nadal paliło się światło i diody na panelu sterowania.

– Może da się jakoś... Te drzwi?

Kobieta przesunęła się nieznacznie w stronę wyjścia i wyciągnęła rękę do dziecka, które tym razem usiłowało pomóc jej wstać. Julia dla bezpieczeństwa odsunęła delikatnie małą od drzwi i zajęła jej miejsce.

– Może i by się dało otworzyć, ale chyba lepiej tego nie robić. Bo gdyby winda nagle ruszyła, a my byłybyśmy w połowie drogi na zewnątrz... – Nie dokończyła ze względu na dziewczynkę. – Proszę spróbować się uspokoić, zadzwonię jeszcze na numer alarmowy, niedługo powinna zjawić się pomoc.

Nie знаła nikogo, kto cierpiałby na tak silny lęk przed przebywaniem w zamkniętych pomieszczeniach, bo podejrzewała, że z tym właśnie ma do czynienia. Dlatego nie bardzo wiedziała, jak się zachować, by nie pogorszyć i tak już bardzo złej sytuacji. Intuicyjnie wyczuwała, że powinna mówić do kobiety, by odwrócić jej uwagę od tego, co się działo, podnieść ją na duchu. I modlić się, żeby winda jak najszybciej ruszyła.

Zanim wybrała numer wygrawerowany obok przycisku alarmowego, nacisnęła dla pewności wszystkie kolejne guziki. Nic się nie wydarzyło. Bez większej nadziei zrobiła to powtórnie i wówczas winda drgnęła. Po chwili ruszyła, ale znów się zatrzymała, tym razem już niemal dokładnie na dziesiątym piętrze. Jednak drzwi nie otworzyły się automatycznie, dopiero po użyciu odpowiedniego

przycisku.

– Poczekaj chwilkę, nie wychodź. – Julia przytrzymała dziewczynkę, która chciała od razu wyskoczyć na zewnątrz. – Najpierw razem pomożemy twojej niani, dobrze?

Chwyciła za ramię kobietę i zachęciła do wstania. W zamian otrzymała błądy uśmiech i skinienie głowy, mające chyba być podziękowaniem. Opiekunka dziewczynki wciąż wyglądała na zdezorientowaną, z trudem utrzymywała się na nogach.

– Nie jestem pewna, czy winda za chwilę nie ruszy mimo otwartych drzwi. Może po prostu pani wyjdzie pierwsza, a potem ja i dziecko. Musimy to jednak zrobić naprawdę szybko.

Znów skinęła głową, ale nadal tkwiła w miejscu, trzymając się kurczowo metalowego drążka przy lustrze z tyłu kabiny.

– Przepraszam, ale naprawdę nie mam wyboru – powiedziała Julia, zanim bezceremonialnie wypchnęła ją na zewnątrz.

Kobieta zatoczyła się, ale na szczęście nie upadła, bo zdążyła się na czas przytrzymać ściany. Julia wystawiła na klatkę swoje zakupy, po czym wyciągnęła ramiona do dziecka.

– Teraz wezmę cię na ręce i wyskoczmy razem, tak? Jak kangurki.

Wpadły pomiędzy turlające się po podłodze jabłka i pomarańcze, które wysypały się z przewróconej torby.

– Pozbieram! – Dziewczynka wyrwała się z jej objęć i rzuciła się łapać owoce.

– Michalinko uważaj, proszę! Nie zbliżaj się do schodów. – Kobieta wyglądała już znacznie lepiej. Ocierала pot z czoła końcem szalika i z niepokojem wodziła wzrokiem za swoją podopieczną. Dopiero gdy wreszcie przygarnęła ją do siebie, zwróciła się do Julii. – Przepraszam. I dziękuję.

– Chyba nie powinna pani korzystać z windy.

– Wiem. Jestem przyzwyczajona do przemierzania każdej ilości schodów, sama mieszkam dość wysoko i to dla mnie żaden problem. Niestety, mała nie wejdzie na dziesiąte piętro. Próbowałam nawet ją wnieść, ale okazało się to ponad moje siły.

Julia zastanawiała się chwilę.

– Może warto porozmawiać o tym z jej rodzicami? Pewnie da się temu jakoś zaradzić.

– Nie ma takiej potrzeby. To wypada tylko raz w tygodniu. W pozostałe dni mama odbiera ją z przedszkola, a ja przychodzę prosto tutaj i docieram na górę pieszo.

– Moim zdaniem nawet raz to dla pani zbyt wiele. Proszę wybaczyć, ale widziałam pani reakcję również poprzednim razem. Nie wyglądało to najlepiej.

Kobieta przygryzła wargi. Sprawiała wrażenie przestraszonej.

– Wytrzymam. I bardzo proszę nikomu nie wspominać o tym zdarzeniu. Nie mogę stracić tej pracy. Wytłumaczyłam Misi, dlaczego tak się zachowuję, damy sobie jakoś radę.

– A jeśli winda znów się zatrzyma i tym razem będziecie same? To nie byłoby bezpieczne, również dla małej.

Nie odpowiedziała. Opuściła wzrok, wyraźnie zakłopotana. Julii zrobiło się jej żal. Odruchowo pogładziła kobietę po rękawie kurtki. Szybko jednak cofnęła rękę i wsunęła do kieszeni, usiłując ukryć zakłopotanie.

– A może ja mogłabym jakoś pomóc? Mieszkam dokładnie piętro wyżej, naprzeciwko windy. – Nim się zorientowała, jej słowa znów wyprzedziły myśli. – Najlepiej umówmy się, że w razie potrzeby zjadę po małą, poczekam z nią tutaj, a pani w tym czasie wejdzie na górę schodami. Może tak być?

Kobieta znów przyciągnęła do siebie dziewczynkę, która zaczynała się nudzić i przez to szarpała jej szalik, pomrukując gniewnie. Drugą ręką szperała w torebce, zapewne w poszukiwaniu kluczy.

– Nie wiem, czy mogę... – wymamrotała

– Oczywiście należałoby to ustalić z rodzicami dziecka. Bo, moim zdaniem, nie powinna pani ukrywać przed nimi swojego problemu. To trochę nieodpowiedzialne.

– A jeśli mnie zwolnią?

– A pani zwolniłaby siebie na ich miejscu?

Zaprzeczyła.

– Ale oni to oni, a ja to ja.

– Chyba nie ma pani innego wyjścia, jak im zaufać.

– Spróbuję – wyszeptała. – I jeszcze raz bardzo pani dziękuję. Za wszystko.

Pożegnały się pośpiesznie, gdy dziewczynka wbiegła do otwartego wreszcie mieszkania. Julia weszła na swoje piętro i dopiero wtedy poczuła się nieswojo. Nagle zdała sobie sprawę, że sama za bardzo zaufała tej obcej przecież kobiecie. Bo właściwie nic o niej nie wiedziała. Tymczasem wdała się z nią w rozmowę i wskazała beztrąsko drzwi własnego mieszkania, ujawniając skrzętnie skrywany dotąd przed wszystkimi adres. Nie żałowała, że zaoferowała pomoc, a mimo to odczuwała niepokój. Złamała dotychczasową zasadę anonimowości, a to był pierwszy krok do utraty mozolnie wypracowanego poczucia względnego bezpieczeństwa.

Podeszła do okna i spojrzała w dół.

– *Ja stróż latarnik nadaję z mrówkowca* – wymamrotała z czołem przyklejonym do szyby.

Na chłodnym szkle osiadł obłok pary z jej ust. Narysowała na nim małe serduszko, po czym szybko je starła. Przysunęła krzesło do sekretarzyka, siadła

i otworzyła laptopa. Jej palce natychmiast rozbiegły się po klawiaturze. Słowa wirujące w głowie same układały się w zdania, nie zastanawiała się nawet przez sekundę nad ich treścią i sensem. Pragnęła jedynie pozbyć się każdego z tych, które powinno być dawno temu zapomniane. A potem zgarnąć je wszystkie i wyrzucić na odpychający śmietnik wspomnień.

*Świat w kropli rosy odbity stał się wówczas JEJ światem. Do tego z każdym kolejnym dniem coraz bardziej zamarzał, nie bacząc na zmieniające się pory roku. Niczym pałac Królowej Śniegu.*

*Jego chłód wnikał w nią milionem mroźnych igiełek, zmieniając w sopel lodu również jej serce.*

Koperta ze zdjęciami, która nadal tkwiła w jej torebce, mogła je rozgrzać, ale tylko na chwilę. Zbyt krótką i dlatego niepotrzebną.



14.

---

Z pięknej staroświeckiej szafy wysypywały się dziewczęce sukienki, sweterki zapinane na maleńkie guziki, torebki i buty we wszystkich kolorach tęczy. Kwiatki, kropki, kratki, prążki oraz inne, niemożliwe do nazwania kształty na tkaninach powodowały wzorzysty zamęt.

To samo działo się w otwartej szkatułce z biżuterią. Liczne sznury różnobarwnych koralików wyglądały, jakby usiłowały z niej umknąć, niektóre splątały się w prawie jednolitą i dość surrealistyczną formę. Większości rozrzuconym po całej toaletce słoiczkom, różom do policzków, błyszczynom, lakierom do paznokci i perfumom w maleńkich flakonikach brakowało zakrętek, a na stolku leżała okrągła szczotka do włosów i spinka ze srebrnym motylem o drżących ruchomych skrzydełkach.

Z ozdobnej metalowej ramy łóżka zwisał krótki szlafroczek w błękitne chmurki. Niewygładzoną pościel okrywała niedbale patchworkowa narzuta i trzy

rozłożone na niej – dla odmiany równo – cieniutkie bluzeczki, a także jedna krótka plisowana spódniczka, która zsuwała się właśnie na podłogę. Ręką niemal dotykała białego puchatego dywanu. Obok kapci z pomponami wił się długi szyfonowy szal w motyle.

– Zupełnie jakby go zgubiła, gdy wybiegała w pośpiechu. – Hebner przyglądał się witrynie, skubiąc brodę. – Tajemnicza, z pewnością prześliczna dziewczyna, której tu zabrakło. Jest chyba niezłą bałaganiarą, ale i tak chętnie bym ją poznał.

– To dobrze, bo o to właśnie mi chodziło. – Julia kiwała głową, nie kryjąc zadowolenia i lekkiego wzruszenia. Mimowolnie zastanowiła się też nieco dłużej nad ostatnimi słowami mężczyzny. Wiedziała, że nie jest żonaty, ale nie miała pojęcia, czy jest z kimś związany. Nigdy o tym nie wspominał. Może dlatego, że nie było okazji. Albo dlatego, że po prostu żył samotnie. – To bez znaczenia, że jej tu nie ma – skwitowała również własne myśli. – Chodzi o to, by jedynie odczuwać jej obecność.

Czego nie można było powiedzieć o potencjalnej partnerce Hebnera, dywagowała nadal w myślach. Bo właściwie nic nie wskazywało na to, by z kimś był. Nie odbijało się to w jego oczach ani zachowaniu. Większość czasu spędzał w sklepie, prawie nigdy do nikogo się nie śpieszył, z nikim nie umawiał, zupełnie tak jak ona. Może też, tak jak i dla niej, bliskość drugiej osoby była dla niego czymś nie do pomyślenia? A jeśli tak, to jaki mógł być tego powód?

– Udało się pani osiągnąć ten efekt doskonale! – Mężczyzna wciąż nie krył, że jest pod ogromnym wrażeniem wystawy. – Prawie czuję zapach jej perfum, jakby wybiegła zaledwie przed chwilą. Myślę, że śpieszyła się na randkę.

– Bo przymierzyła wcześniej tyle ubrań? – Julia roześmiała się pobłaźliwie. – A nie dlatego, że zachłysnęła się wiosną i postanowiła uczcić jej nadejście, wkładając którąś z tych pięknych powabnych sukienek? Nie nosiła ich od tyłu zimowych miesięcy. W końcu dostrzegła okazję, a samo to jest już całkiem dobrym powodem do świętowania.

– Możliwe, ale wówczas nie śpieszyłaby się tak bardzo.

– A ja sobie myślę, że właśnie pośpiech świadczy o tym, że to wcale nie randka. – Do rozmowy włączyła się Karolina, która wychyliła się na chwilę ze sklepu pełnego klientów. – Bo każda dziewczyna wie, że jeśli amant kocha, to poczeka, choćby go to wiele kosztowało, a jeśli nie, wówczas nie warto sobie nim zawracać głowy. I nawet lepiej jest się trochę spóźnić, żeby to sprawdzić. Poza tym muszę pana, szefie kochany, rozczarować, ale my, kobiety, znacznie częściej stroimy się dla innych kobiet niż dla mężczyzn.

– Naprawdę? – Wyraźnie szukał potwierdzenia tych słów u Julii, popatrując na nią z dziwnym uśmiechem, co sprawiło, że zmieszana się lekko.

Przecież sama od dawna nie stroiła się już dla nikogo, a własny wygląd na

ogół niewiele ją obchodził. Dlatego nie miała pojęcia, co odpowiedzieć, by jednocześnie niczego nie wyjaśniać. Na szczęście z opresji wybawiła ją sprawczyni kłopotliwej sytuacji.

Karolina wzdrygnęła się demonstracyjnie.

– Szkoda, że ta wiosna na razie jest tylko u nas na wystawie. Bo temperatura wciąż prawie zimowa. Zapraszam do środka na gorącą czekoladę. Albo kawę z ekspresu, jak kto woli.

– A właśnie – podchwycił mężczyzna. – Zapomniałem pani powiedzieć, że kupiłem wreszcie ekspres! I czekoladziarka zostaje u nas na stałe, to postanowione. Może niedługo sprowadzę też wreszcie moje ulubione gatunki herbat. Mam na oku dostawcę i zrobiłbym to już dawno temu, ale nie wyobrażam sobie tradycyjnego herbacianego rytuału, takiego, rozumie pani, five o'clock, w tandetnych plastikowych kubkach. A niestety z porcelaną byłby kłopot, bo nie mamy dla niej odpowiedniego zaplecza. Zastanawiam się jednak, czy czegoś z tym nie zrobić. Czy da pani wiarę, że niektórzy klienci przychodzą do nas tylko po to, żeby posiedzieć przy stoliku i napić się czegoś gorącego?

– Pana dziadek opowiadał, jak do kawiarni przyjeżdżali ludzie z najdalszego krańca miasta. I wcale nie dla uzdrawiających wód czy pysznej herbaty i kawy, choć podobno serwowano tu najlepsze, tylko dla wyjątkowej atmosfery tego miejsca. Może mimo tylu lat i zmian, jakie tu zaszły, jakimś cudem udało się ją tutaj zachować?

– Dziadek ma do tej kawiarni bardzo szczególny stosunek, dlatego jego wspomnienia o niej są znacznie podkoloryzowane. Nie sądzę, by było aż tak dobrze, przynajmniej pod koniec jej działalności, w przeciwnym razie by nie upadła. Poza tym potrzebowalibyśmy prawdziwego cudu, żeby odtworzyć tutaj choćby tylko namiastkę klimatu tamtych czasów. Bo to akurat moim zdaniem jest nie do podrobienia. Świat nie stoi przecież w miejscu, a ludzie mają całkiem inne oczekiwania niż kiedyś, i inaczej też pojmują święty spokój, którego szukają w podobnych miejscach.

– Być może ma pan rację, ale, moim zdaniem, istnieje mimo wszystko pewien wspólny i nie do końca uchwytny element tych oczekiwań. I właśnie to coś zostało tutaj zachowane. Coś, czemu nie można się oprzeć, nawet jeśli tylko podświadomie.

– To całkiem możliwe. – Zamyślił się. – Czy uwierzy pani, że nawet przez chwilę nie rozważałem sprzedaży nieruchomości, chociaż od początku niespecjalnie wierzyłem w jej potencjał? I wcale nie ze względu na dziadka, bo on mi przecież niczego nie zakazywał.

– Może przeczuwał, że i tak pan tego nie zrobi?

– Nie sądzę. Przecież właściwie wcale mnie nie znał... Kiedy mieszkałem za granicą, nie mieliśmy ze sobą żadnego kontaktu.

Mylił się, choć Julia nie mogła powiedzieć tego wprost. Ani przyznać, jak wiele dowiedziała się o jego rodzinie podczas częstych spotkań z panem Antonim i długich rozmów.

Całymi godzinami słuchała przepelnionych melancholią opowieści, nieco dziwnych, bo jakby wyrwanych z kontekstu i pozbawionych chronologii, przez to czasem nie do końca zrozumiałych, pełnych wieloznaczności, ukrytych sensów, których Julia tylko się domyślała albo odkrywała dopiero, gdy w końcu udawało jej się połączyć wiele różnych historii w jedną, w miarę spójną całość. Staruszek często wspominał swoją rodzinę i przewrotny los, który sprawił, że się rozsypała mimo solidnych fundamentów powstałych z naprawdę wielkiej prawdziwej miłości. Bo ta od początku i właściwie do końca jej patronowała.

W przeddzień walentynek Antoni Hebner w otoczeniu czerwonych papierowych serc, panoszących się w świetlicy Domu pod Dobrym Aniołem, opowiedział Julii o tym, jak pewnego wyjątkowego dnia ujrzał najcudowniejszą na świecie dziewczynę, która na zawsze skradła jego serce.

– Przyjechałem do miasta za pracą. – Tak zaczął swoją historię. – Nie miałem nic, tylko dwie silne ręce, wiele zapału w sobie i przede wszystkim wiary, że wydarzy się wreszcie coś, co odmieni moje życie, niespecjalnie natenczas ciekawe. I wydarzyło się, chociaż wcale nie to, o czym myślałem. Pewnego razu otworzyłem po prostu szerzej oczy i zobaczyłem ją, moją Tusię. Czekwała specjalnie na mnie, bo tak mi potem wmawiała, jak już byliśmy razem. – Zaśmiał się lekko. – Spotkałem ją w parku, w którego cieniu miałem nadzieję odpocząć po ciężkim i niezbyt udanym dniu. Siedziała w kompletnym bezruchu, jak figura anioła, pod którą przycupnęła, i zupełnie jak on piękna i rozmarzona, z ołówkiem przytkniętym do ust, notatnikiem w ręce i głową całą w chmurach. Bo tak właśnie wyglądała z tym swoim jasnym obłokiem loków. Jakby rzeczywistość w ogóle jej nie dotyczyła.

Zaginiony Anioł o wielu imionach – Rozmiłowany, Rozmarzony, a obecnie po prostu Siódmy – połączył zakochanych w sobie ludzi od pierwszego wejrzenia i wbrew całemu światu. Bo, jak się niebawem okazało, rodzice Tusi nie zaakceptowali wybranka córki, nie zgadzali się na ślub ukochanej jedyńczki z biednym jak mysz kościelna chłopcem niepasującym do ich środowiska. Nie chcieli nawet słyszeć o zakazanej według nich miłości, starali się ją stłamsić mimo oporu młodych. Ulegli dopiero, gdy okazało się, że ich jedyńczka spodziewa się dziecka.

Nigdy nie zaakceptowali zięcia, ale na szczęście nie wyparli się córki. W prezencie ślubnym podarowali Konstancji wspaniałą willę usytuowaną w najzależniejszej części miasta, gdzie zgodnie z ich życzeniem miała wychowywać wyczekiwanego wnuka. Ku ich rozpaczy kolejny raz im się sprzeciwiła

i wprowadziła w życie swój własny plan. Z pomocą męża otworzyła w willi kawiarnię, a za całe mieszkanie posłużył im niewielki pokój na zapleczu, w którym żyli sobie szczęśliwie i mimo wszystko wygodnie już we trójkę, dopóki zarobione pieniądze nie pozwoliły im przeprowadzić się do przestronnego lokum w kamienicy po drugiej stronie parku.

Potem wszystko już układało się tak, jak sobie wymarzyli. Wiedli niekiedy skromne, ale szczęśliwe życie, syn chował się im zdrowo, a oni dokładali wszelkich starań, by jego dzieciństwo składało się z samych najcudowniejszych chwil.

– Byliśmy zaślepieni bezwarunkową miłością do niego. Tak bardzo, że niekiedy zaniedbywaliśmy własną. Chroniliśmy go, oszczędzaliśmy mu wszelkich trosk, wyręczaliśmy, w czym się dało, niczego od niego nie wymagaliśmy. Tak mocno skupiliśmy się na tym, by niczego mu nie zabrakło, i radowaliśmy się samym jego istnieniem, że nie zauważyliśmy, jak niewiele sami od niego dostajemy. Zwłaszcza gdy trochę podrośł i zaczął głośno wyrażać swoje potrzeby. Czasem o wiele za głośno. Im donośniej krzyczał i tupał, tym szybciej spełnialiśmy je prawie bez mrugnięcia, nie zauważając, jak bardzo go tym krzywdzimy.

Przyzwyczailiśmy go, że to, czego on chce, jest zawsze najważniejsze, a pragnienia innych się nie liczą. Mimo to patrzyliśmy na naszego małego egoistę z nieustającym zachwytem, dumni, że tak świetnie radzi sobie ze wszystkim i że inni go podziwiają. Wyrósł na przystojnego młodzieńca, świetnie się uczył, był wesoły i chyba lubiany w towarzystwie, a dziewczęta wprost do niego lgnęły. Zwłaszcza jedna, której i on okazywał pewne względy. Do czasu, gdy wydarzyło się to, co nie do końca było po jego myśli.

Dziewczyna zaszła w ciążę. A wtedy on, zamiast ją wspierać i być przy niej w dwojnasób, jak ja kiedyś przy jego matce, pokazał zakochanej w nim nieszczęśnicy swoje prawdziwe oblicze. A nam znów nie pozostało nic innego, jak wziąć odpowiedzialność za naszego syna i za to, co zrobił. Zwłaszcza że to była właściwie nasza wina, bo to my wychowaliśmy go na człowieka, jakim ostatecznie się stał. Byliśmy tym wszystkim zdruzgotani i powoli traciliśmy nadzieję, że się zmieni, ale wtedy wydarzył się cud. Wydawało się, że nasz syn wreszcie się opamiętał i przejrzał na oczy, zrozumiał, jakim szczęściem może być posiadanie dziecka. I gdy już uwierzyliśmy, że będzie dobrze, okazało się, że to było tylko na pokaz. Wszystko się posypało i straciliśmy naszego syna już na zawsze. Tylko dlatego, że za bardzo go kochaliśmy. Wyjechał i nigdy już do nas nie wrócił, choć do końca nie traciliśmy nadziei, że coś się odmieni. Ja i jego matka.

Julia słuchała uważnie opowieści, przełykając łzy wzruszenia.

– Przepraszam, ale nie wszystko rozumiem. W końcu ożenił się z tą dziewczyną i postanowił z nią wychować dziecko... Ale dlaczego z dała od dziadków? Dlaczego właściwie wyjechał, i to tak daleko? – odezwała się po długim

milczeniu, gdy uspokoiła trochę emocje. To, czego dowiedziała się o ojcu właściciela sklepu, nadal nie mieściło jej się w głowie.

– Bo nie dostał tego, co obiecaliśmy mu w zamian za ustatkowanie się. A przynajmniej tak mu się wydawało. Przecież kawiarnia prędzej czy później trafiłaby w jego ręce, gdyby tylko miał trochę więcej cierpliwości.

– Baliście się, że chłopak nie jest jeszcze gotowy, by ją przejąć?

– Potrzebował czasu. Po tym, jak opuścił kraj, łudziliśmy się jeszcze, że przemyśli sobie wszystko, zatęskni do nas i wróci, ale tak się nie stało. Na szczęście los postanowił na starość okazać mi łaskawość i po latach przysłał mi tu jego syna.

Jednak on nie wykorzystał potencjału tego miejsca, jakby wszystkiemu na przekór przekształcając je w coś skrajnie odmiennego, dokończyła w myślach Julia. Zastanawiała się, czy Antoniemu jest z tego powodu przykro, jednak nie odważyła się go o to spytać, zwłaszcza że sam nie podjął tematu. Poza tym regularnie widywanie wnuka z pewnością go uszczęśliwiało i być może w obliczu jego powrotu nic innego się nie liczyło. Być może odnalazł w nim cząstkę ukochanego syna, z którego stratą nigdy się nie pogodził i za którym nieustannie tęsknił. Nie mówił o tym, ale czuło się to w niemal każdym jego słowie.

Zadawała sobie pytanie, czy Hebner też to dostrzegął...

– Nosi pan geny swojego dziadka, więc ma prawo mu się wydawać, że pana zna i wie, czego można się po panu spodziewać – powiedziała po długiej chwili namysłu, gdy już weszli do sklepu i usiedli przy jednym z wolnych stolików. – Pan Antoni zawsze wyraża się o panu bardzo ciepło.

Wydawał się zaskoczony jej słowami i trochę zakłopotany. Jakby mówienie o uczuciach było dla niego czymś niezmiernie trudnym. Zauważyła to już zresztą dużo wcześniej.

– Ciągle nie jest mi łatwo do niego dotrzeć, zrozumieć go. To specyficzny człowiek, czasem trudno odgadnąć, co ma na myśli, bo jego słowa zbyt często przeczą towarzyszącym im gestom czy nawet minom.

Tym razem ona się zdziwiła. Miała skrajnie odmienne zdanie o Antonim. Niekiedy nie potrzeba było słów, by go zrozumieć, odgadnąć jego emocje, wystarczało samo spojrzenie jasnoblękitnych oczu. Tak było też w chwilach, gdy wspominał wnuka. Podobna czułość malowała się na jego twarzy tylko wtedy, gdy mówił o żonie lub synu.

– Tak sobie myślę, panie... – Urwała, zdziwiona nagłym odkryciem. Zamierzała zwrócić się do mężczyzny po imieniu, ale uświadomiła sobie, że go nie zna. Na wizytówce, firmowych pieczętkach i szyldzie nad drzwiami sklepu widniała tylko jego pierwsza litera.

„E” jak Ebenezer Scrooge z *Opowieści Wigilijnej*, pomyślała bezwiednie

i przypomniawsza sobie opowieść pani Karoliny o tym, jak bardzo jej szef zmienił się niemalże z dnia na dzień, krótko przed ubiegłoroczną Wigilią. Poza tym Julia dopiero w tym momencie skojarzyła z tym jeszcze inną, podobną, ale nawet bardziej zagadkową opowieść Antoniego, jedną z tych rozpoczynających się jakby w połowie i pozbawionych wyraźnego zakończenia, dlatego niezrozumiałą. Wiele wskazywało na to, że zakończenie nie istniało, lub też miało napisać się z czasem samo.

– Pojechaliśmy tam pewnego dnia razem i pokazałem mu miejsce, gdzie wszystko się zaczęło. – Julia widziała, że staruszek ledwie powstrzymywał drżenie ust. – Potem opowiedziałem szczerze o wszystkich rzeczach, które sprawiły, że koniec był zupełnie inny, niż sobie wymarzyliśmy. A on rozplakał się zupełnie jak wtedy, gdy okazało się, że nie będzie mógł już jeździć na rowerze, choć zaledwie parę dni wcześniej dostał go na swoje trzecie urodziny. Wtedy poprosiłem, by zrobił wszystko, żeby jego życie było lepsze niż moje. Był zbyt mały, żeby to zrozumieć, ale ja miałem nadzieję, że tak właśnie będzie, i modliłem się o to.

W tamtej chwili Julia nie była pewna, czy Antoni mówi o swoim wnuku, ponieważ usłyszała nieznaną sobie imię, a historia została wpleciona w inną, dotyczącą czasu jego własnego dzieciństwa. Teraz nie miała co do tego wątpliwości. To, kim stał się obecnie Hebner, było w jakiś sposób zasługą jego dziadka i tego, co mu po latach przypomniawsza. Nawet, jeśli obaj nie zdawali sobie z tego sprawy. Nie zgadzała się tylko jedna, jedyna rzecz.

– Czy może mi pan zdradzić, jak ma pan właściwie na imię? – spytała, zanim rozważyła, czy wypada to zrobić.

Zamarł z kubkiem czekolady przy ustach, po czym upił parę łyków, zanim wreszcie odpowiedział.

– Eustachy – wymamrotał i się zarumienił. – Przepraszam, ale nie znoszę swojego imienia i dlatego na ogół przedstawiam się tylko nazwiskiem.

Zmarszczyła czoło i zastanawiała się chwilę.

– Czyli Staszek to wcale nie jest zdrobnienie od Stanisława. – Pokiwała głową. – Pana dziadek kilkakrotnie wymieniał to imię, gdy wspominał dawne czasy. Nie sądziłam, że mówi o panu. Przez moment nawet wydawało mi się, że chodzi o pana ojca.

– Mogło tak być, bo ojciec rzeczywiście ma na imię Stanisław. Choć on dla dziadka częściej jest po prostu Stasiem. Za to ja zawsze Staszkiem. Zresztą tak zwraca się też do mnie moja mama. Bo ojciec nie zdrabniał mojego imienia nigdy, w żaden sposób. Przez całe życie wołał na mnie Eustachy. Wyłącznie. Również przez okno, gdy jako kilkulatek bawiłem się na podwórku. Koledzy nie dawali mi z tego powodu żyć. Nie ma pani pojęcia, jak wiele upokarzających rymowanek do tego imienia potrafiły wymyśleć dzieciaki, i to w kilku językach, bo mieliśmy sąsiadów bardzo różnej narodowości.

– Rozumiem, że ma pan prawo być uprzedzony, ale imię, moim zdaniem, jest w porządku.

– Mimo wszystko, z dwojga złego wolę już Staszka niż Eustachego. – Roześmiał się gorzko z niezamierzonego rymu, który pewnie przypomniał mu złośliwe rymowanki wysłuchiwane w dzieciństwie. – A wracając do tematu pani spotkań z dziadkiem, wiem, jak jest zadowolony, że panią poznał, bo za każdym razem to podkreśla. Czasem nawet odnoszę wrażenie, że usiłuje mi w ten sposób dopiec, bo starałem się do tego nie dopuścić. Słusznie zresztą, gdyż mnie tak naprawdę wcale nie chodziło o niego.

Julia uniosła w zdumieniu brwi, a Hebner wykrzywił lekko usta i podrapał się z zakłopotaniem w tył głowy.

– Po prostu nie chciałem, żeby się pani rozczarowała, jeśli odprawi panią z kwitkiem albo, co gorsza, powie coś, co niekorzystnie wpłynie na naszą współpracę – dodał lekko zmieszany, ponieważ zdał sobie pewnie sprawę z tego, że w chwili pierwszego spotkania Julii z Antonim wystawa była już gotowa, a o kolejnych wówczas nie rozmawiali. To był dowód na to, że mimo wszystko o nich myślał. – Jednak najbardziej bałem się o to, że obaj zostaniemy przez panią ocenieni. My i to, jakie relacje nas łączą, a jakie tak naprawdę powinny.

Nie miała zamiaru nikogo oceniać, ani przedtem, ani w przyszłości, i natychmiast uświadomiła mu to, wręcz lekko oburzona posądzeniem. Przemilczała jednak fakt, że nie do końca rozumie, co ma na myśli, wspominając o swoich nieodpowiednich relacjach z dziadkiem. Ze słów Antoniego wynikało, że są jak najlepsze. Czasem nawet kusilo ją, by wybrać się do Domu pod Dobrym Aniołem w dniu, w którym pan Eustachy odwiedzał dziadka, ale czuła, że nie powinna tego robić, ponieważ mogłaby niechcący zniszczyć coś, co właśnie nabierało kształtów i z tego względu wymagało niebywalej delikatności.

Więź między dziadkiem a wnukiem była pewnie wciąż krucha, ponieważ dopiero się rodziła. Obaj nadal potrzebowali dużo czasu, rozmów, cierpliwości i wzajemnych zapewnień, by mogli nazwać ją nierozzerwalną. I tak właśnie miało się stać już niebawem, o czym Julia była przekonana tak samo mocno, jak mocno im tego zazdrościła.



15.

---

Sunęła długim korytarzem, uśmiechając się do siebie i mijanych pensjonariuszy. Mimo że jeszcze chwilę wcześniej płakała. Pierwszy raz od bardzo dawna pozwoliła sobie na łzy w czyjejs obecności, nie dbając, że zobaczą to przypadkowi ludzie i być może, ofiarowując pomoc, odruchowo zapytają o powód.

Przestała się tego bać, chociaż do niedawna najmniejsze przejawy ludzkiej życzliwości powodowały w niej bunt, a potem zakłopotanie, gdy je odrzucała. Wciąż nie była gotowa na przyjęcie czyjegoś współczucia, ale znalazła w sobie dostatecznie wiele siły, by się z tym zmierzyć. Nawet jeśli miało to przynieść jej ból. Nieoczekiwane odrzucenie emocjonalnej blokady sprawiło, że wylała o wiele więcej łez niż wtedy, gdy łkała tylko w poduszkę. Zupełnie jakby uwolniła kumulowany zbyt długo zapas smutku i goryczy. Nadal nie wypłakała z siebie wszystkiego i nie wierzyła, by to kiedykolwiek było możliwe, a mimo to czuła się znacznie lżejsza i przez to spokojniejsza. Może też dlatego, że jednocześnie

pozbyła się sporej ilości zalegających w niej słów? Nie odważyła się jeszcze na wyjawienie Antoniemu całej prawdy o sobie i nie czuła się z tym najlepiej, choć on wcale tego od niej nie oczekiwał. Nie komentował jej zachowania, o nic nie dopytywał, jedynie słuchał spokojnie, gdy wyjaśniała, kto jest na zdjęciach ukrytych w szarej kopercie, którą tego dnia znów wyjęła z pocztowej skrytki.

Nie planowała tego. Nie zamierzała nawet do niego przyjeżdżać. Jak zawsze tego dnia miała zostać w domu, sam na sam ze swoim smutkiem. Jednak w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Być może dlatego, że tym razem koperta okazała się uszkodzona i wyzierał z niej fragment zawartości. Na początku bardzo ją to zdenerwowało, przez co bezwiednie szarpnęła za papier, odsłaniając resztę. Przestraszona tym, co zrobiła, natychmiast schowała przesyłkę do torebki, pobiegła na przystanek i wsiadła do pierwszego lepszego autobusu. W ten sposób dotarła do Domu pod Dobrym Aniołem. Zorientowała się, gdy już była prawie na miejscu, i uznała to za zrzęcenie losu.

Wcześniej, przez całą drogę trzęsa się w środku, jakby przeczuwając, co się stanie, mimo że nie sprawdziła, dokąd ją wiezie przypadkowo wybrany autobus. Wtedy jeszcze było jej wszystko jedno. Nie chciała jedynie tkwić w miejscu, bo bierność potęgowała jej strach. Jechała, byle dalej od poczty, jakby to miało pomóc jej uciec od własnych myśli. A potem, gdy już oprzytomniała, wszystko potoczyło się samo...

Koperta wysunęła się z odrzuconej zbyt nerwowo torby i kilka fotografii spadło na podłogę. Antoni schylił się po nie pierwszy. Nie pozwoliła mu ich nawet dotknąć. Uprzedziła go. Podniosła je nerwowym gestem i przytuliła do piersi.

– Tak właśnie wyglądałoby moje życie, gdybym go nie zniszczyła – wyszeptała później, zbierając zdjęcia w pośpiechu już ze stołu, po tym, jak sama je tam ułożyła, by wreszcie wszystko wyznać. Prawie wszystko, bo cała prawda nie przeszłaby jej przez gardło. – Dlatego nie mam już do niego prawa.

– Mylisz się, drogie dziecko. To dalej jest twoje życie, czy tego chcesz, czy nie. – Dotknął lekko jej dłoni, w której nadal trzymała zdjęcia, wpatrując się w to na samej górze, z domem otoczonym zieleniejącym, wiosennym ogrodem. Nie pytał, kto stoi w otwartych szeroko drzwiach ani kto mógł trzymać w ręku aparat. Sama mu o tym powiedziała. – Nigdy nie zdołasz zapomnieć tego, co już przeżyłaś. Ani dobrych, ani tym bardziej złych chwil. Bo złe rzeczy zapominają się najtrudniej – dodał cicho.

– Mogłabym chociaż spróbować, gdyby nie ona. Nie rozumiem, dlaczego wciąż mi je przesyła!

– A ja myślę, że dobrze to wiesz. W przeciwnym razie poprosiłabyś, żeby tego nie robiła.

– Prosiłam wielokrotnie, ale mnie nie posłuchała.

Zamilkła zakłopotana. To nie była dobra wymówka. Przecież nie musiała

wcale przyjmować listów, mogła też odsyłać je bez otwierania. Jednak nie potrafiła powstrzymać się przed zaglądaniem do środka. Wszystkie te momenty wiele ją kosztowały, a ona mimo to wyczekiwała ich niecierpliwie. W każdym pierwszym tygodniu miesiąca codziennie biegała na pocztę, żeby sprawdzać, czy już są, i wracała rozczarowana, jeśli skrytka okazywała się pusta.

Antoni uśmiechnął się lekko i zerknął na Julię tak, jakby przejrzał jej myśli.

– Może po prostu wie lepiej niż ty, czego pragniesz naprawdę? W końcu to twoja matka. Matki na ogół wiedzą takie rzeczy.

– Czasem się mylą.

– Ale zawsze pragną dobra swoich dzieci. Powiedziałaś jej, że swoim zachowaniem sprawia ci ból?

– Nie, ponieważ o wiele bardziej zasługuję na ten ból niż czyjąkolwiek dobroć.

– Ona z pewnością tak nie myśli. Kocha cię nadal, cokolwiek zrobiłaś.

Zaprzeczyła gwałtownie.

– Nie powinna. Rodzice czasem ślepo kochają swoje dzieci i zbyt wiele im wybaczą. Niekiedy też przez to je krzywdzą. I pan akurat powinien najlepiej o tym wiedzieć.

Odwrócił głowę, żeby ukryć grymas bólu, a jej zrobiło się wstyd.

– Przepraszam. – Z trudem przełknęła łzy. – To dlatego że... Ja... Bo przecież tu wcale nie chodzi o pana. Skrzywdziłam najbliższe mi osoby przez swój egoizm i głupotę. Dlatego nie zasługuję na moje dawne życie ani nawet na to, by je wspominać. By spotkać się z matką... Mimo że tak bardzo za nią tęsknię – dodała już ciszej. – Za nimi wszystkimi.

W odpowiedzi objął ją nieporadnie i lekko pogładził po plecach.

– Więc zrób to dla niej, nie dla siebie. Daj jej szansę i pozwól zrozumieć, co się właściwie z tobą dzieje. Bo te zdjęcia, które ci nieustannie przysyła, są wołaniem o twoją uwagę i dowodem na to, że chce ci pomóc. W jedyny znany sobie sposób. Jestem przekonany, że nie ma pojęcia, jak bardzo cię tym rani.

– Ale tak jest dobrze. Zasługuję...

– Nieprawda! Przestań wreszcie to powtarzać. Nawet jeśli człowiek popełni błąd, zawsze znajdzie się sposób, żeby go naprawić albo chociaż zadośćuczynić. Kiedyś. Nawet mnie los dał taką szansę.

– Nie każdy na nią zasługuje.

– Na szczęście nie tobie, drogie dziecko, o tym decydować.

Poklepał ją po ramieniu, popatrzył znacząco w górę, unosząc palec, i odwrócił do okna, dając jej czas na doprowadzenie się do ładu. Wytarła nos i oczy, przeczesła palcami włosy i złapała kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Dopiero wtedy dołączyła do staruszka, ale już tylko po to, by się pożegnać.

Nie zatrzymywał jej. Swoim zwyczajem poprosił tylko, by pozdrowiła od niego parkowe anioły. Odprowadził ją tylko kawałek, ale zanim sobie poszedł, upewnił się, że już czuje się lepiej.

Nie musiała udawać. Rozmowa nie uwolniła jej od toksyny, która wciąż zatrzymywała jej duszę, ale pomogła na chwilę zapomnieć. Poczowała kojący spokój. Dlatego uśmiech nie zniknął z jej twarzy nawet wówczas, gdy już sama szła korytarzem wiodącym do głównego holu i wyjścia. Zamarł jednak, kiedy nieoczekiwanie usłyszała swoje imię, którego nikt w ośrodku, prócz oczywiście pana Antoniego, nie znał.

Zdrętwiała, zatrzymując się w pół kroku i gorączkowo szukając w głowie wyjaśnienia. Nie zawierała tutaj innych znajomości, nikomu się nie przedstawiała, z wyjątkiem burkliwej pielęgniarki, która zwracała się do niej tylko po nazwisku. Tymczasem głos wołającej ją osoby był niepokojąco znajomy. A przecież nie miała prawa nikogo takiego spotkać. Ani tutaj, ani nigdzie! Nie po to tak starannie ukrywała się i odcinała od świata, w którym mogła zostać zidentyfikowana i z którym musiałaby się zmierzyć w razie konfrontacji. Nie była na to gotowa i wiedziała, że prawdopodobnie nigdy nie będzie.

– Dzień dobry, pani Julio! – Usłyszała znów i rozejrzała się w poszukiwaniu drogi ucieczki. Niestety, jedyną możliwą odcięła jej nawołująca ją osoba. Właśnie się do niej zbliżała, machając natarczywie rękami.

Niewysoka ładna dziewczyna o trochę dziecięcej buzi wydawała się zaskoczona jej widokiem, ale i ucieszona. Julia gorączkowo szukała w pamięci twarzy, która była znajoma jeszcze bardziej niż głos, ale z powodu silnego zdenerwowania nie potrafiła powiązać jej z żadnym imieniem ani postacią ze swojej przeszłości, bo wiele wskazywało na to, że znajomość pochodzi z czasu innego, niż ten, w którym żyła obecnie. A to mogło oznaczać tylko jedno: że tamto dawne życie w końcu ją odnalazło i teraz będzie musiała ponieść tego konsekwencje.

Cofnęła się z lękiem. Powinna uciekać, póki był jeszcze na to czas, choćby nawet przez okno któregoś z mijanych pokoi. Zbyt sparaliżowana strachem nie zdążyła jednak już nic zrobić. Dziewczyna uśmiechała się szeroko, ale i z zakłopotaniem, stojąc już na wprost niej.

– To ja, Julita. Mieszkam obok pani, to znaczy nie tutaj, tylko na Srebrnej, w wieżowcu. Oddałam pani kiedyś list, bo listonosz wrzucił go omyłkowo do mojej skrzynki – mówiła prędko, by zażegnać niezręczność sytuacji, gdy zorientowała się, że Julia jej nie poznaje.

– Ależ tak! Oczywiście! – Nie potrafiła ukryć ulgi. – Oczywiście, że pamiętam, tylko nie skojarzyłam w pierwszej chwili, wyglądasz inaczej.

– Nie mam makijażu. – Speszyła się lekko. – Nie jest mi tutaj potrzebny.

Julia uśmiechała się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Wciąż nie dowierzała,

jak bardzo może odmienić i jednocześnie postarzyć tak młodą przecież, bo może nastoletnią twarz gruba warstwa kolorowych kosmetyków, sztuczne rzęsy i ekstrawagancka fryzura. Również stój dziewczyny był inny niż zwykle, bo zupełnie zwyczajny.

Miała na sobie džinsy i miękką białą bluzę z uśmiechniętym kotem. Długie jasne włosy splotła w luźny warkocz. W rękach trzymała ciepłą burą kurtkę, prawdopodobnie tę samą, w której Julia widziała ją z okna swojego mieszkania, o czym przypomniała sobie dopiero teraz. Zwróciła też uwagę na bezkształtną torbę przewieszoną przez ramię dziewczyny. Zbyt zaaferowana sytuacją nie zauważyła jej wcześniej. Pewnie dlatego na dłużej zatrzymała na niej wzrok, bezwiednie zastanawiając się, co może być w środku.

Julita natychmiast to spostrzegła i z widoczną dumą uniosła podbródek.

– To są moje rekwizyty, do pracy.

– Pracujesz tutaj? – Julia nie zdołała ukryć zdziwienia. Z trudem wyobraziła sobie spektakularny pokaz tańca na rurze lub coś podobnego rodzaju w świetlicy wypełnionej publicznością w wieku bardziej niż zaawansowanym, jednak w duchu postanowiła sobie, że nie będzie tego oceniać.

Na szczęście nie musiała, ponieważ Julita najwidoczniej domyśliła się jej podejrzeń. Chichocząc cicho, rozsunęła zamek torby i wydobyła z niej dwie sporych rozmiarów marionetki.

– Koleżanka mnie namówiła, żebym w ramach wolontariatu przychodziła z nią tutaj. Na początku po prostu dotrzymywałyśmy tym ludziom towarzystwa, grałyśmy z nimi w warcaby i takie tam. A potem pomyślałam, że powinnam przedstawić im Anielę i Bożydara. – Potrząsnęła marionetkami. – I okazało się, że to podoba się tutejszym podopiecznym o wiele bardziej niż planszówki czy nawet oglądanie telewizji.

– Nie dziwię się. Aniela i Bożydar są absolutnie fantastyczni. – Julia przyglądała się oszołomiona świetnie wykonanym lalkom uosabiającym dwoje przygarbionych, srebrnowłosych i roześmianych staruszków. Aniela miała wysoki kok, zsunięte na nos druciane okulary, wełnianą spódniczkę, jasną bluzkę w drobne kwiatki z okrągłym kołnierzykiem i sweterek z kieszeniami, zapinany na wielkie guziki. Natomiast Bożydar nosił koszulę w kratę, popelinowe spodnie, kamizelkę wyglądającą, jakby była zrobioną na drutach, a na czubku jego drewnianej głowy połyskiwała okrągła różowa łysina otoczona zmierzwionymi kępkami prawie białych włosów. W drewnianej dłoni trzymał fajeczkę.

– Prawda, że cudowni? – Julita ucieszyła się, a marionetki wykonały spontaniczny taniec. – Pomagają mi przygotować się do egzaminów. Będę zdawać do szkoły teatralnej, na wydział lalkarski. Znów, bo za pierwszym razem mi nie wyszło, niestety. Ale wtedy jeszcze nie miałam ich. – Potrząsnęła marionetkami. – Dlatego teraz jestem pewna, że mi się uda, nie pozwolą, by stało się inaczej. –

Roześmiała się. – No i oczywiście dużo ćwiczę. Ostatnio jakoś tak ogólnie lepiej mi się wiedzie. Mogłam wreszcie rzucić pracę w klubie, bo ja, wie pani, bardzo lubię śpiewać i tańczyć, gdy publiczność klaszcze, ale nienawidzę, jak mnie ktoś przy tym w tylek szczypie, za przeproszeniem, i na biust tylko patrzy, zamiast oglądać normalnie występ. A szef, jak mu się parę razy poskarżyłam, jeszcze przekonywał mnie, że to właśnie dobrze, i nie pozwalał mi dłuższych kiecek wkładać ani w ogóle ubierać się tak, jak bym wolała. Bo pokaz przecież powinien być spójny, prawda? Wszystko – śpiew, choreografia, scenografia i strój również. A nie wszystko na to samo kopyto, żeby tylko z jednym się kojarzyło. To nudne! Niestety, nikt mnie nie chciał słuchać. Dlatego ucieszyłam się, jak mi koleżanka, która kiedyś też z tego klubu odeszła, odstąpiła swój etat w takiej jednej cukierni, a potem jeszcze przyprowadziła tutaj. Bo zawsze lepiej jest ćwiczyć przed publicznością, prawda? – Tym razem poczekała na odpowiedź Julii.

– Prawda – odparła ta zdecydowanie.

Wcześniej kiwała tylko głową, nie przerywając słowotoku dziewczyny, który, o dziwo, podziałał na nią niezwykle kojąco. Nie tylko uspokoił nerwy stargane podejrzeniem, że ją rozpoznano, ale ogólnie poprawił nastrój.

– Wracasz teraz do domu? – spytała, pomagając jej zapakować marionetki z powrotem do torby.

– Muszę jeszcze tylko potwierdzić swój grafik i możemy iść. – Trafnie odczytała jej intencje. – Zawsze to raźniej, we dwie.

Po drodze nie rozmawiały o niczym ważnym, głównie o kiepskiej pogodzie, nadchodzącej zbyt opieszale wiosnie i trochę o mieszkańcach i personelu Domu pod Dobrym Aniołem. Julita również nie przepadała za pielęgniarką, która zwykle urzędowała w recepcji. Uważała, że nie każdy ma predyspozycje do tego, by pracować ze starszymi ludźmi.

– Bo to jest zupełnie tak, jak z dziećmi – dodała po namyśle. – Z jednymi i drugimi należy postępować i rozmawiać podobnie. Bo, wie pani, ja mam dużo młodszą siostrę i często musiałam się nią zajmować, kiedy jeszcze mieszkałam z rodzicami. – Umilkła i na moment spochmurniała. Na jej twarzy odmalowało się też wahanie, zupełnie jakby chciała coś dodać, jednak była niepewna, czy powinna. – Myślę, że dzięki temu łatwiej jest mi dotrzeć do niektórych ludzi z ośrodka. Bo przecież nie wszyscy są tak otwarci i sympatyczni, jak pan Antoni – powiedziała ostatecznie, choć widać było, że nie tylko to leżało jej na sercu. Resztę zatrzymała tylko dla siebie.

Już w pobliżu wieżowca natknęły się na młode małżeństwo z opatulonym ciepło dzieckiem, które, trzymane przez oboje za uniesione ręce, podskakiwało energicznie, najwyżej jak umiało.

– Julita!

Spod grubego różowego szalika wydobył się cieniutki głosik, który Julia od

razu rozpoznała.

– Misia! – zawołały niemal jednocześnie z Julitą.

Matka dziewczynki przywitała się z nimi i zerknęła z zainteresowaniem na Julię.

– Pani chyba jest tą sąsiadką z jedenastego piętra.

– Zgadza się. – Nie zdążyła odpowiedzieć, wyręczona przez Julitę. – A jak tam Michalinka? Bo chyba ma już nową opiekunkę, prawda? – Znow odwróciła się do Julii. – Wcześniej ja zajmowałam się małą, tylko przez chwilę, jak państwo szukali kogoś na stałe.

– Znaleźliśmy fantastyczną osobę. Misia ją uwielbia. – Kobieta wciąż nie odrywała wzroku od Julii. – A właściwie to dobrze, że panią widzę, bo chciałabym bardzo podziękować za pomoc. Nie mieliśmy pojęcia, że niania naszej Misi zмага się z tak poważnym problemem. Gdybyśmy wiedzieli wcześniej, na pewno byśmy temu zaradzili, jakoś jej pomogli.

– Problem? – Zainteresowała się Julita. – Coś się stało? Może mogę jakoś pomóc? Bo gdyby znow trzeba było zaopiekować się Misią, to ja bardzo chętnie, w każdej wolnej chwili. Bo w cukierni pracuję na zmiany, więc jakby coś...

– Dziękuję ci, kochana z ciebie dziewczyna, ale na razie nie będzie to konieczne. – Kobieta krótko opisała wypadek z windą i problemy z klaustrofobią nowo zatrudnionej niani. – Ale teraz jest już dobrze – podsumowała. – Ustaliliśmy, że będziemy sami odbierać małą z przedszkola, a niania zajmie się nią już w domu.

– Gdyby jednak trzeba było kiedyś zjechać po nią... – zaczęła Julia.

– Ja też mogę! Teraz, co prawda, w ciągu dnia nieczęsto jestem w domu, ale niekiedy bywam.

– Dziękuję, będę o tym pamiętać. – Matka dziewczynki uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Dobrze mieć takich sąsiadów.

Już na górze, gdy rozchodziły się do swoich mieszkań, Julita obróciła się niespodziewanie i kiwnęła nieznacznie brodą w stronę trzecich drzwi.

– Nie wszystkich sąsiadów warto znać. Na przykład takich jak on – wyszeptała. – To jeden z tych, którzy najgłośniej rechoczą w trakcie występu i wykrzykują najbardziej obleśnie teksty. Tak, że człowiekowi ciarki biegają po plecach. To przez takich jak on nie mogłam dalej pracować w klubie.

– Jesteś pewna? Wydaje się spokojny, prawie się nie odzywa.

– Widziałam go tam – odparła twardo. – I wiem, co robił z innymi dziewczynami, jeszcze młodszymi ode mnie. Tylko że on o tym nie wie, bo uciekłam, zanim mnie rozpoznał.

Po tych słowach natychmiast zniknęła w swoim mieszkaniu, jakby nie chciała usłyszeć tego, co mogłaby jej odpowiedzieć Julia, która stała jeszcze chwilę na korytarzu, wpatrując się raz w jedno, raz w drugie sąsiedzkie drzwi.

Przypomniała sobie przemykającego chyłkiem mężczyznę, którego spotkała

zaledwie kilka razy i spróbowala go sobie wyobrazic w sytuacji, w jakiej opisala go Julita, ale nie potralila. Nie miala powodu, by nie wierzyc mlodej sasiadce, ale to, co od niej uslyszala, zmrozilo ja. Jednak nie tylko z powodu jego odrazajacego zachowania w nocnym klubie. Jeszcze bardziej nie miescilo sie jej w glowie to, jak bardzo sie pomyliła w ocenie tego czlowieka, ktorego uznala za podobnego do siebie, przypisujac mu uciezke przed czymś, co go przeroslo. Tak jak ja sama przeroslo to, co zdarzylo sie przed ponad dwoma laty.

Tymczasem jesli męczyzna rzeczywiscie przed czymś uciekal, skrzętnie unikajac nawet wzroku sasiodow, nie byla wcale pewna, czy chce wiedziec, co jest tego prawdziwym powodem.



16.

---

Wiosenne słońce coraz śmielej wychylało się zza chmur i bez cienia litości roztapiało zmrożone bure grudy, zmieniając je w smutne błotniste kałuże. Te z kolei osuszał łaskawie ciepły łagodny wiatr. Szykował miejsce dla nowej pory roku, sprzątał po tej, która przy swoim odejściu zostawiła bałagan.

Świat wziął głęboki oddech i otrząsnął się z chwilowego marazmu, już prawie gotów na przyjęcie niecierpliwie wyczekiwanego gościa. Z tej okazji zazieleniły się soczyście trawniki, zakwitły pierwsze kwiaty, a drzewa przyodziały się w nową, choć kusą jeszcze szatę. Zima, już nie oglądając się za siebie, pakowała walizki, popędzana przez swoją następczynię i jednocześnie rywalkę. Tylko od czasu do czasu straszyla jeszcze krótkim mroźnym oddechem, głównie nocą, jakby dla przypomnienia, że nie odchodzi na zawsze i za kilka miesięcy wróci, by wypędzić Bogu ducha winną jesień, pozbyć się jej atrybutów i znów udekorować świat własnymi, monochromatycznymi barwami.

Na razie jednak berło władzy przejęła wiosna i cieszyli się tym jej miłośnicy. Park z aniołami znów tętnił życiem, nie tylko dzięki budzącej się z zimowego snu przyrodzie, ale i odwiedzającym go amatorom rozrywek na świeżym powietrzu. Ciepło wywabiło z domów niełubiących zimna, którzy ocknęli się z zimowej zapaści. Pustawe wcześniej alejki zapełniły się spacerowiczami. Na ławeczkach wygrzewali się ci najbardziej spragnieni słońca, z twarzami ufnie skierowanymi ku niebu. Niektórzy mimo nie najwyższej jeszcze temperatury rozłożyli piknikowe koce i przysiedli na wilgotnych pewnie jeszcze trawnikach. Dzieci spierały się z dorosłymi o czapki nieustannie ściągane ze spoconych głów i krępujące je wierzchnie okrycia. Zachłystywały się odzyskaną niespodziewanie wolnością, którą oferowała im nowa aura. Biegały, jeździły na rolkach, rowerach i hulajnogach, grały w piłkę i nieustannie nawoływały się wzajemnie. Wszędzie było ich pełno. Zawłaszczyły swoją głośną obecnością niemal całą parkową przestrzeń.

Za to ptaków było w parku jakby mniej. Być może wystraszył je, zagłuszył albo przytłoczył panujący wokół zgiełk. Podobnie jak Julię, która nie najlepiej znosiła wiosenne zmiany. Z każdym cieplejszym dniem coraz rzadziej odwiedzała park. Podejrzewała, że parkowe anioły, gdyby tylko mogły, również wybrałyby ciszę i samotność, bo ta zdecydowanie bardziej sprzyjała kontemplacji. Zdominowane przez hałas, wtapiały się w otaczający je krajobraz, stawały się jego nudną częścią. Z odtwórców głównych ról zmieniały się w statystów i, zawstydzone tym faktem, milkły. Zapadały powoli w letni sen pozwalający im przetrwać do czasu, aż odzyskają dawne przywileje pierwszoplanowych bohaterów.

Dlatego Julia przestała u nich bywać, odłożywszy to na inny, lepszy czas, gdy anioły odzyskają wreszcie głos i ucichnie rwetes, który utrudniał im słuchanie, a ją samą otumaniał. Zajrzała tylko parokrotnie do Galerii pod Zaginionym Aniołem, żeby pomówić o kolejnej, tym razem letniej wystawie. Podczas jednej z tych wizyt na tyłach sklepu odkryła piękny kufer podróżny, będący wierną repliką tych, które wykorzystywano w dziewiętnastym wieku. Wydał jej się idealny do nowego projektu, musiała jedynie znaleźć dla niego odpowiednią oprawę. Myślała nad tym, wpatrując się w sklepową witrynę i popijając kawę lub gorącą czekoladę, a potem uciekała do swoich obowiązków i innych zleceń albo jechała spotkać się z Antonim.

Nawet najbardziej zapracowana, dla niego zawsze znajdowała czas. Nie wyobrażała sobie już, by mogło być inaczej. Bywało, że widywała go codziennie, niekiedy mijając się w drzwiach ośrodka z Julitą i jej marionetkami lub z Eustachym Hebnerem. Znała godziny, w których odwiedzał dziadka, i starała się nie wchodzić mu w drogę. Bo choć wciąż podkreślał, jak bardzo jest jej wdzięczny za dotrzymanie towarzystwa staruszkowi, nie ukrywał, że sam woli spotykać się

z nim bez świadków. Trochę ją to dziwiło, ale nie dopytywała o powody, uznawszy, że to nie jej sprawa. Zwłaszcza że jej również taki układ odpowiadał.

Spotkania z Antonim działały na nią w szczególnie sposób i nie była pewna, czy umiałaby podzielić się tym doświadczeniem nawet z jego wnukiem. Nie czuła się na siłach, by wyjawić, co naprawdę przeżywa, nie tylko w obecności staruszka, ale nawet przywołując go jedynie w myślach. Nie umiałaby też przed nikim ukryć swoich emocji, ponieważ były zbyt silne. Poza tym żadne ze znanych jej słów określających ten stan – ukojenie, błogość, spokój, równowaga i poczucie bezpieczeństwa – nie przekazywały wyczerpująco tego, co czuła, nawet gdyby wymienić je wszystkie jednocześnie. Początkowo zdarzało jej się to tylko w trakcie odwiedzin, po pewnym czasie nauczyła się zanosić to dziwne samopoczucie do domu, jak kojący balsam powlekający jej ciało i duszę. Potem zawijała się w koc i robiła wszystko, by zatrzymać to przy sobie i w sobie jak najdłużej. Czasami przez wiele godzin siedziała nieruchomo w ulubionym fotelu, przepełniona irracjonalną obawą, że jeśli tylko się poruszy, czar pryśnie.

Usiłowała też zrozumieć zachodzące w niej zmiany. Królowa Śniegu, która dotąd w niej mieszkała, każdego dnia oddalała się, ciągnięta przez ręce konie we wspianych gwiazdnych saniach, stworzonych przez Jana Marcina Szancera na okładce *Baśni* Andersena, a Julia wciąż nie była pewna, co to oznacza dla niej. Czuła, że jej wnętrze nieustannie topnieje, jednak nie z powodu zbliżających się letnich miesięcy, ale tego, że po raz pierwszy od bardzo dawna pozwoliła sobie na okazywanie uczuć, na jawne łzy, które tłumiała zbyt długo. To one ją rozgrzewały, zmywały z jej duszy szary osad przygnębienia. I chociaż wewnętrzny smutek nadal jej nie opuszczał, przestał być aż tak gorzki i przez to o wiele łatwiej było go znieść.

Miejsce królowej z baśni Andersena godnie zajął dzielny ołowiany żołnierz. Tak Julia nazywała w myślach pana Antoniego, wspominając historię jego wielkiej, nigdy nie wygasłej miłości do żony i determinację, z jaką walczył o ich wspólną przyszłość, wbrew przeciwnościom. Losy baśniowych postaci potoczyły się co prawda nieco innymi torami, ale z równie smutnym finałem. Żołnierz roztopił się w płomieniach i stracił swój kształt, zmieniając się w ołowiane serduszko. Z Antonim stało się podobnie. Bez swojej Konstancji i ukochanego syna nie był już dawnym sobą, żył wyłącznie miłością do utraconych, najdroższych sobie osób. A to uczucie podsycił z kolei odzyskany niespodziewanie wnuk.

– W ostatnich, tych najbardziej samotnych latach prosiłem Boga o wiele rzeczy, a on, o ile w ogóle mnie wysłuchał, musiał uznać, że nie są mi do niczego potrzebne, bo nie dał żadnej z nich – tłumaczył Julii. – A potem pewnie pomyślał, że nie może mnie zostawić z niczym, skoro już zawracałem mu głowę tyle razy, i sam z siebie zesłał mi Staszka. Jestem za to Panu Bogu bardzo wdzięczny, bo

teraz rozumiem, że wiedział lepiej, co jest dla mnie dobre na początek. Resztę zostawił mnie, również wolną wolę, i pozwolił działać.

Julia domyślała się, że nie chodzi jedynie o spełnienie obietnicy złożonej przed laty i pokierowanie wnukiem tak, by był szczęśliwym człowiekiem, choć obaj znajdowali się na najlepszej drodze do osiągnięcia tego celu. Bo Hebner właśnie dzięki dziadkowi zrozumiał, że jeśli chce się mieć dobre życie, należy być dobrym człowiekiem, i skrupulatnie przestrzegał tej zasady. Nawet jeśli zdarzały mu się drobne potknięcia, traktował je jak pożyteczną nauzkę i wyciągał wnioski. Antoni z kolei dbał o to, by przytrafiało mu się to jak najrzadziej. Był szczęśliwy, gdy wnukowi dobrze się wiodło, starał się mu pomagać w miarę własnych możliwości, wspierał w każdej decyzji. Dziękował Bogu za jego dar, jednak po cichu marzył o jeszcze jednym. Pragnął szczerzej rozmowy z synem, takiej, która pozwoliłaby mu odejść spokojnie.

– Bo jeśli tego nie zrobię, jak spojrzę w oczy jego matce? – zwierzał się, gdy Julia przekonywała go, że to nie on, ale syn powinien wykonać pierwszy krok, ponieważ powroty są zadaniem tych, którzy wyjechali. Przytoczyła nawet przykład biblijnego syna marnotrawnego.

– Ci, którzy zostali, powinni na nich czekać, trzymając jedynie w pogotowiu rozłożone szeroko ramiona – tłumaczyła.

– Moje ramiona są gotowe na jego przyjęcie od bardzo dawna. – Popatrzył na nią znacząco. – Pewnie tak samo jak ramiona tych, od których ty odeszłaś.

Nie odpowiedziała, ponieważ wówczas zaprzeczyłaby własnym słowom, które padły chwilę wcześniej. Prawda była taka, że ona również uciekła, tak jak syn Antoniego, tyle że zrobiła to z zupełnie innego powodu. Nie miała żalu do tych, którzy zostali, i nie ich obarczała winą, ale wyłącznie siebie. Siebie też za to nienawidziła.

– Spotkaj się przynajmniej z matką. – Antoni nadal intensywnie wpatrywał się w jej twarz, szukając w niej czegoś, czego mógłby się uchwycić i stworzyć solidny argument. – Jej ramiona są na pewno otwarte. Czeka na ciebie i już dawno ci wszystko wybaczyła, jak to matka. Jestem o tym przekonany.

– Ale ja nie wybaczyłam sobie.

– Może więc mogłabyś to w końcu zrobić? Wtedy wszystko stanie się prostsze.

Roześmiała się z goryczą.

– Ależ przecież właśnie teraz wszystko takie jest! Proste, a nawet banalne. Tutaj. W nowym życiu, które sobie poukładałam. Nie chcę niczego zmieniać.

– Naprawdę sądzisz, że jeśli będziesz to ciągle powtarzać, w końcu w to uwierzysz? – sarknął. – Bo słyszę to od ciebie już sam nie wiem który raz, a w tonie twojego głosu nadal nie ma przekonania.

Zacisnęła usta i odwróciła głowę. Była na niego zła, ponieważ miał rację,

lecz ona nie mogła tego głośno przyznać. Powinna trzymać się swojej wersji, w przeciwnym razie będzie zmuszona wyrzucić z domu wszystkie lustra, żeby już nigdy nie spojrzeć sobie w twarz. Albo wymienić je na magiczne zwierciadło złośliwego czarodzieja z baśni o Królowej Śniegu, by ujrzeć w nim swoją prawdziwą rzeczywistość, brzydką i zniekształconą, jak ta oglądana przez biednego Kaja, któremu odłamek przeklętego zwierciadła utkwiał w oku, czyniąc go nieszczęśliwym.

Gdy o tym pomyślała, zdała sobie sprawę, że w jej własnym oku od dawna tkwi taki sam okruch, i przez to wszystko wygląda inaczej. Wciąż błędnie oceniała intencje napotykanym przypadkowo ludzi, mierząc ich niekiedy niewłaściwą, ponieważ własną miarą. Nie tylko tych zupełnie sobie obcych, mijanych na ulicy, ale też swoich sąsiadów: Julitę, Jagodę, a nawet Bogu ducha winnego mężczyznę mieszkającego dwa piętra niżej, którego posądzała o romansowanie z trzema kobietami naraz. Tymczasem okazało się, że tylko jedna z nich – śliczna i delikatna blondynka – była jego prawdziwą narzeczoną, już niebawem miał wziąć z nią ślub. Ruda z pieskiem w ubranku okazała się nieco zbuntowaną młodszą siostrą, która go odwiedzała. Natomiast pulchna brunetka, gdy Julia usiłowała pewnego razu delikatnie uświadomić jej uczestnictwo w miłosnym czworokącie, wyjaśniła ze śmiechem, że jest tylko znajomą pana Marcina i że gdy mężczyzna wyjeżdża czasem służbowo, prosi ją i jej męża o zaopiekowanie się jego akwariem.

Julia wciąż czuła się zawstydzona i zażenowana pomyłką. Długo za nią przeproszała, również pozostałe kobiety i posądzonego o nieuczciwość mężczyznę, choć już tylko w duchu, ponieważ nie miała okazji z nimi porozmawiać. Na podstawie tylko niewielkiego wycinka z życia ledwie znanych sobie ludzi, dopisała całą resztę, jak się okazywało tak samo fikcyjną, jak ta, którą tworzyła w swojej głowie, projektując wystawy. Lub też układając powieściowe fabuły. A może w ten sam sposób postępowała również z własnym życiem? Budowała sobie fikcyjną rzeczywistość, o wiele bardziej bezpieczną od tej prawdziwej, jednak całkowicie złudną, podobnie jak wiara, że nikt jej już nie odnajdzie. W głębi duszy wiedziała, że to nie mogło być trudne, a fakt, że dotąd nikt tego nie zrobił, nie był wyłącznie jej zasługą. Po prostu nie włożono zbyt wiele wysiłku w to, by ją odszukać i tym samym wydano nieme przyzwolenie na jej odejście. Powolutku docierała do niej ta niezbyt przyjemna prawda. Wymyśliła sobie wielką ucieczkę i w końcu sama w nią uwierzyła.

To był niestety kolejny dowód na to, że Antoni się nie mylił.

– Spotkam się z nią. Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby się do tego przygotować – powiedziała wreszcie, gdy zrozumiała, że matka czeka, aż Julia, jako ta, która zawiniła, zrobi pierwszy krok. Dlatego dotąd nawet nie starała się jej odnaleźć.

– Lepiej tego nie robić pod wpływem emocji – odparł, co mogło oznaczać

równie dobrze to, że się z nią zgadza, jak i sugestię, że nie powinna zbyt długo zwlekać z decyzją.

Przypomniała sobie prezent, który kupiła tuż przed Bożym Narodzeniem z myślą o matce. I ulgę, jaką poczuła, gdy oddała go spotkanemu przed sklepem mężczyźnie. To był najlepszy dowód na to, że wciąż nie była gotowa, by zmierzyć się ze swoją przeszłością. Nawet tą, z którą wiązał się najmniejszy procent bólu. O pozostałych sprawach nie miała siły nawet myśleć.

– Zrobiłam coś naprawdę potwornego – powiedziała cicho. – Zniszczyłam wszystko, ponieważ zapomniałam, że są rzeczy ważniejsze od jakichkolwiek innych. Zawsze. Dlatego teraz nie zasługuję na żadną z nich.

– Masz na myśli rodzinę, prawda? – Pogłodził ją delikatnie po zarumienionym policzku. – Straciłaś kogoś bliskiego, tak jak ja. – To ostatnie zdanie było już twierdzeniem, nie pytaniem.

Skinęła wolno głową.

– Tylko że ja już nie mogę niczego naprawić – powiedziała cicho, przełykając łzy. – Choćbym nie wiem jak się starała.

17.

---

Lato rozpieszczało upałem wszystkich zmęczonych zbyt długo trwającą wiosną. Inni chronili się przed słońcem w swoich domach albo klimatyzowanych kawiarniach. Czasem też role się odwracały. Gdy następowało załamanie pogody, ci spragnieni ciepła uciekali przed wiatrem i deszczem, rozkładając nad głowami wielkie parasole, podczas gdy pozostali z ulgą spoglądali w niebo, a chmury, zwłaszcza te pierzaste, kojarzyły im się z wytchnieniem i słodką watą cukrową.

Byli też i tacy, którzy cieszyli się każdą letnią pogodą, podporządkowując jej również własny nastrój. Do nich właśnie należała niegdyś Julia. Jak przez mgłę wspominała niepowtarzalne poczucie błogości, gdy siedząc na tarasie swojego domu ze szklanką zimnego soku albo kubkiem gorącej herbaty w rękach, patrzyła na rozsloneczniony lub deszczowy ogród, który bez względu na porę roku zawsze tętnił życiem i nigdy nie był nudny. Bo nawet jeśli popadał w bezruch, to tylko pozorny. Wystarczyło wyteńczyć wzrok, by przejrzeć go na wylot i zdemaskować.

Albo przeciwnie, zamknąć oczy i wyobrazić sobie to, czego nie można było dostrzec gołym okiem. Poczuć wszystkimi pozostałymi zmysłami rozgrywający się nieustannie niewidzialny spektakl, którego reżyserem była kapryśna przyroda. I Julia prawie zawsze wybierała ten właśnie sposób. Wyobraźnia i fantazja, niczym para skrzydeł, pomagały jej sięgnąć głębiej, tam gdzie docierało tylko niewielu. To właśnie z tych skrzydeł najchętniej wyrwałaby jedno z piór, by dopisać zakończenie swojej powieści, choć przecież w tamtym czasie pragnęła czegoś zgoła innego.

By podobne chwile trwały wiecznie.

– Chodź do nas, czekamy! – Usłyszała w głowie znajomy głos i zadrżała.

– Za chwilę, kochanie – szepnęła, zanim zorientowała się, że to tylko złudzenie albo sen, który skończył się zbyt szybko.

Przykryła głowę kołdrą i usiłowała zasnąć, ale bez nadziei, że ten sen powróci i będzie trwał dostatecznie długo, by zdążyła się nim nacieszyć.

Przez kilka ostatnich dni znów nie wychodziła z domu. Dokładnie tak, jak wtedy, po pamiętnej rozmowie z Antonim. Uświadomiła sobie wówczas coś, co spowodowało, że na długo pozostała w stuporze, zaniedbując bieżące sprawy, również te zwyczajne, codzienne, dzięki którym jej życie zyskiwało pozory normalności. Pozbawiona tego złudzenia popadała w dziwne rozdygotanie, powodujące nie tylko duchową, ale i fizyczną niemoc. Nienawidziła tego stanu. Sprawiał, że nie miała siły nawet wstać z łóżka. Potem przychodziło coś jeszcze gorszego – spływał na nią ciężar nieprzyjemnych myśli, którym nie potrafiła się oprzeć. Przez jej umysł przewijał się klatka po klatce ponury film w zbyt wielu odsłonach – setki możliwych czarnych scenariuszy jej własnej przyszłości, żadnego z nich nie chciałyby zrealizować.

Mimo to nie poddawała się i szukała innych dróg, wiodących do czegoś lepszego niż tylko beznadzieja. Nie było to łatwe, bo prawie każda oznaczała samotną podróż. I choć niegdyś ta sama samotność dawała ukojenie, z czasem zaczęła ciążyć, dlatego Julia po raz pierwszy od dawna usiłowała to zmienić. Mimo że wciąż nie wiedziała, czy ma do tego prawo ani czy tego chce.

Lubiła towarzystwo Antoniego i Julity, nie przeszkadzały jej już ani nie napawały lękiem sąsiedzkie pogawędki w windzie albo osiedlowym sklepiku, nie budziły podejrzeń i niepokoju ciekawskie spojrzenia obcych. Jednak to wciąż odbywało się poza jej intymnym światem – nadal zamkniętym w szklanej kuli. Ludzie, którym zdołała w końcu zaufać, nadal nie mieli do niego wstępu. To Julia wychodziła im naprzeciw, tak daleko, jak sama uznała za słuszne, bo tak było bezpieczniej. Mogła w każdej chwili się wycofać, uciec i schować w rzeczywistości, która wciąż należała wyłącznie do niej. Wrócić do swojej osobistej szklanej kuli. Niestety, coraz głębsze rysy na jej ściankach nie pozostawiały złudzeń. Już wkrótce mogła popękać, a Julia nie miała pojęcia,



w którą stronę wówczas potoczą się jej odłamki. Czowała, że nie zdoła pozbiierać wszystkich, dlatego będzie zmuszona wybierać. I właśnie to przerażało ją najbardziej.

Wiedziała, że wszystko, co ją jeszcze w życiu czeka, zależy od jej następnego kroku. Wierzyła, że los każdego człowieka jest sumą jego wyborów i tylko od nich zależą jego dalsze koleje. Przez chwilę jednak zapomniała, że ten proces nigdy się nie kończy i przed nią nadal było wiele decyzji, których wcale nie miała ochoty podejmować. Wolała, by ktoś zrobił to za nią, by jej życie toczyło się spokojnym, równym rytmem, bez konieczności wyborów i idących za nimi zmian.

Tymczasem owe zmiany zagarniały coraz większe obszary jej nowego życia, nie tylko codziennego, wywołując trudne do wytrzymania huśtawki nastrojów. Otrzymywała znacznie mniej zleceń na nowe projekty niż jeszcze parę miesięcy wcześniej. Początkowo nie przejmowała się tym, ponieważ miała więcej czasu dla siebie, nie musiała się z niczym śpieszyć i mogła częściej odwiedzać Antoniego. Potem ogarnął ją niepokój, bo zdała sobie sprawę z innych, bardziej przyziemnych konsekwencji tego, co się działo. Musiała zacząć uważać na wydatki.

Miała, co prawda, oszczędności. Na jej konto bankowe ciągle spływały tantiemy od wydawców, którzy nadal z powodzeniem sprzedawali jej książki, mimo że dawno przestała z nimi współpracować, jednak i to mogło się w każdej chwili zmienić. Nowa dla niej sytuacja spowodowała, że zaczęła przyglądać się sobie i swoim ostatnim poczynaniom obiektywniej i bardziej racjonalnie, jednak nie potrafiła dostrzec błędu, który z pewnością musiała gdzieś popełnić. Zauważyła natomiast pewne różnice w swoim zachowaniu, objawiające się przede wszystkim intensywnością reakcji na niektóre sytuacje, niekoniecznie dla niej nowe. Dawniejsze emocje były wprawdzie równie silne i niekiedy skrajne, ale tych obecnych nie zatrzymywała już jedynie w sobie. Nie bała się ich okazywać, przestała też lękać się ludzi i ich spojrzeń. Tego, że zostanie rozpoznana lub natknie się na kogoś, kto zna prawdę o niej i wydarzeniach sprzed ponad dwóch lat, ponieważ był ich świadkiem albo przeczytał o nich w którymś z brukowców czy dowiedział się z telewizji. Cały strach nie minął, ale już nie dominował w jej codzienności. I coraz częściej zdarzało się jej o nim zapominać.

Uświadomiła też sobie, że nie obserwuje już ludzi oglądających zaaranżowane przez nią wystawy. Początkowo złożyła to na karb przemęczenia i braku czasu, dopiero później zrozumiała, że po prostu przestała odczuwać taką potrzebę. Zupełnie jakby już jej nie obchodziło, co o wystawach sądzą inni.

Gdy tylko zdała sobie z tego sprawę, postanowiła wyjść wreszcie z domu tylko po to, by pojechać do Galerii pod Zapomnianym Aniołem, gdzie przed dwoma tygodniami zmieniła wiosenną wystawę na letnią, i od tamtej pory jej nie oglądała. Nie odwiedzała też parku, zniechęcona oblegającym go o tej porze roku tłumem spacerowiczów, wielbicieli pikników na łonie natury i towarzyszącym

temu wszystkiemu rozgardiaszem. Dawniej lubiła przyglądać się ukradkiem obcym i wyobrażać sobie, kim są i jakie wiodą życie. Teraz bardziej ceniła sobie spokój, a nadmiar wrażeń ją męczył. Jednak zdawała sobie sprawę z tego, że ci sami ludzie mogli zatrzymać się przy sklepowej wystawie, a ona powinna sprawdzić, czy reagują na nią tak, jakby sobie tego życzyła.

– Czyli właściwie jak? – Dopiero teraz zadała sobie to pytanie, mimo że powinna zrobić to na początku, zanim przymierzyła się do realizacji projektu. – Jak wobec tego udało mi się w ogóle stworzyć tę witrynę, skoro przeoczyłam coś tak ważnego?

Rozmyślała o tym, ubierając się powoli, a potem już w drodze na przystanek autobusowy. Niestety, w głowie miała tylko pustkę. Usiłowała zapełnić ją oglądanymi aktualnie obrazami, ale te zmieniały się zbyt szybko za przybrudzoną szybą, by mogły do czegokolwiek zainspirować. A ona na gwałt potrzebowała iskry, która znów poruszyłaby jej wyobraźnię, albo tropicznego pióra anioła do napisania kolejnego scenariusza, jednak niczego takiego nie otrzymała. Zamiast tego ogarnęła ją senność. Ocknęła się w niemal ostatnim momencie, by wysiąść na właściwym przystanku.

Zanim weszła do sklepu, długo przyglądała się witrynie. Jej centralny punkt stanowił kufer podróżny, z którego wysypywały się dziwiętnastowieczne mapy. W tle widać było egzotyczne palmy, piramidy egipskie i grafiki kilku najbardziej charakterystycznych europejskich zabytków architektury, dzięki złamanej kolorystyce i rozmazanym konturom w wersji udającej retro. Do dolnej części szyby przylegały stare bilety kolejowe, a całość okrywała cienka warstwa piasku i kurzu przypominającego ten, który osadza się na butach wędrowca.

– Co jest z nią nie tak? – spytała, gdy Eustachy Hebner wyszedł jej naprzeciw, dojrzawszy ją zapewne przez okno.

To nie była jej najbardziej udana witryna. Ale trudno też było ją ustawiać w szeregu z tymi dotąd najsłabszymi, bo z pewnością na to nie zasługiwała. Julia nie miała co do tego złudzeń. I nie tylko dlatego, że nikt nie podziwiał jej dzieła. Chodziło o coś więcej lub – paradoksalnie – mniej, ponieważ aranżacji brakowało jakiegoś ważnego składnika, którego nie dało się odgadnąć. Jedyne porównanie, jakie przychodziło Julii do głowy, to poprawna pod względem formy i treści powieść, którą nie wiadomo dlaczego odkłada się już po kilku przeczytanych stronach, a jeśli czyta się nadal, to bez refleksji, a potem szybko o niej zapomina.

– Wydaje się w porządku. Bardzo profesjonalnie wykonana – odparł tymczasem mężczyzna, potwierdzając jej odczucia. – I zdecydowanie poprawna, tak jak inne tego rodzaju – dodał po namyśle.

– Inne?

– Stworzone przez równie dobrych projektantów.

– Więc dlaczego nikt się przy niej nie zatrzymuje?

– Może właśnie dlatego? – Zamilkł na chwilę, dając czas do namysłu bardziej jej niż sobie. – Bo niczym się nie wyróżnia spośród wielu podobnych? Z całym szacunkiem dla pani, ale to już nie jest to, co kiedyś.

– Jak to kiedyś? Przecież jeszcze przed trzema miesiącami mówił pan coś zupełnie innego.

– Najwyraźniej tyle czasu wystarczyło, bym zmienił zdanie. Oczywiście w kwestii tej, a nie poprzednich wystaw, bo potwierdzam, że tamte były świetne. I proszę mnie oczywiście źle nie zrozumieć, pani aranżacje nadal są bardzo dobre, te pozostałe też... – Zmieszał się lekko. – Pozwoliłem sobie nawet pojechać w różne części miasta i pooglądać pani ostatnie prace, żeby sprawdzić, czy z nimi też stało się to samo, co z tą tutaj. – Kiwnął brodą w stronę witryny.

– Ale co dokładnie jest z nią nie tak?

Właściwie sama już to wiedziała, chciała jednak to usłyszeć również z jego ust. By zyskać pewność.

– Myślę, że pani zna pani odpowiedź. Ja mogę wyrazić swoje zdanie tylko z pozycji obserwatora, bo nawet nie zleceniodawcy, skoro zrzekła się pani honorarium. Poza tym do jakości i zgodności z harmonogramem nie mam przecież zastrzeżeń. Wszystko jest tak, jak ustaliliśmy.

– Ale mimo to w pewnym sensie pana zawiodłam? – spytała sucho.

– Ależ nie! Proszę nie myśleć o tym w ten sposób – zaprotestował. – Chodzi o coś zupełnie innego. To dość subiektywne poczucie i nie wiem, czy potrafię je wyrazić słowami. Wydaje mi się, że gdzieś po drodze zagubiła pani to specyficzne „coś” poruszające najgłębsze pokłady wyobraźni. A ja właśnie z powodu tego „czegoś” tak bardzo chciałem, by zaprojektowała pani moją witrynę. Niestety, ostatnio przestał działać „magnes”, który przyciągał ludzi do pani wystaw. Wcześniej wydawały się żywe, a teraz odzwierciedlają jedynie fałszywą rzeczywistość pozbawioną przeszłości i przyszłości. Suchy obraz niczego.

– Ale to przecież jest i zawsze była fałszywa rzeczywistość! – obruszyła się.

– Oczywiście, tylko że wcześniej człowiek nieświadomie o tym zapominał. Zupełnie jakby oglądał dobry film albo czytał fascynującą książkę i miał wrażenie, że jest częścią fabuły. A teraz już na starcie czuje się oszukany, jak wtedy, gdy bez trudu odgaduje, że to tylko atrapa, choć założenie było inne.

Nie mogło być inne, ponieważ nie było go wcale, Julia podsumowała jego wyjaśnienia już tylko w myślach. Poruszona rozmową z Hebnerem nie wstąpiła już do jego sklepu na czekoladę lub kawę ani nawet po to, by jedynie przywitać się z Karoliną. Bała się, że od niej usłyszy to samo i przez to poczuje się jeszcze gorzej.

Zamiast tego postanowiła zobaczyć wszystkie pozostałe wystawy powstałe w ostatnim czasie. Zabrało jej to prawie cały dzień, ale pozwoliło ostatecznie zrozumieć, co się właściwie stało. Przestała też się dziwić, że inni rezygnowali z jej

usług. Nadal kosztami znacznie przewyższały konkurencyjne, ale niestety już tylko tym. Nie wyróżniały się niczym, tyle że inni zauważyli to wcześniej. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że od dawna pracuje jak automat, a emocje, które towarzyszyły powstawaniu wszystkich wcześniejszych projektów, uszły z niej niepostrzeżenie lub też znalazły dla siebie całkiem nowe miejsce i być może cel.

Julia coraz częściej pozwalała sobie na ich okazywanie i nie kryła się z nimi nie tylko przed obcymi sobie ludźmi, ale i przed samą sobą. Wciąż nie wiedziała, co to oznacza dla niej, ale dla jakości jej pracy z pewnością nie było korzystne. Nie miała pojęcia, jak to zmienić i w jaki sposób wrócić do tego, co było wcześniej, ale tak, by nie tracić z oczu obecnych wydarzeń. Bo mimo ciągłych rozterek związanych ze zmianami, które zaszły w jej życiu, gdy zaczęła odwiedzać Dom pod Dobrym Aniołem, nie wyobrażała sobie przestać tam bywać.

Dlatego postanowiła zostawić wszystko tak, jak jest. Przeczekać i pozwolić, by życie potoczyło się samo.

18.

---

Oczekiwanie na dalszy rozwój wypadków okazało się trudniejsze, niż się spodziewała. W dodatku powodowało, że dni wydawały się jeszcze dłuższe.

Czekanie jednak zwykle oznaczało, że jest jeszcze nadzieja.

Tęskniła też za Antonim, ponieważ wyjechał do sanatorium i miał wrócić dopiero za miesiąc. Brakowało jej wspólnych spacerów, rozmów i wzruszających opowieści o czasach, które również dla niego były lepsze. Niekiedy miała ochotę odwdzińczyć mu się tym samym, opowiedzieć o własnym, tak bardzo szczęśliwym kiedyś życiu, o tym, że była kochana i miała prawo tę miłość odwzajemniać. Bała się jednak, że wówczas usłyszy pytanie o to, dlaczego tego wszystkiego już nie ma. Z pewnością powiedziałyby mu prawdę, nie umiałyby inaczej. A wtedy już nigdy nie spojrzalby na nią tak, jak wcześniej i nic nie byłoby już takie samo. Przerażała ją myśl, że to kiedyś w końcu nastąpi. Jednocześnie pragnęła, by mieć to wreszcie za sobą. Mogłaby wtedy przestać zastanawiać się, ile wówczas straci, bo zyskać

mogła tylko jedno – spokój uciszający w niewielkim stopniu sumienie.

W oczekiwaniu na powrót Antoniego, sama również po raz pierwszy od bardzo dawna zapragnęła wyjechać. Dokądkolwiek, byle jak najdalej od miejskiego upału przesyconego wonią asfaltu, zepsutego jedzenia i ludzkiego potu, w tym jej własnego. Nawet mieszkanie, jedyne miejsce, w którym dotąd czuła się bezpiecznie, stało się dla niej zbyt ciasne, jakby brakowało w nim powietrza. Wysoka temperatura nie wpływała też korzystnie na jej umysł i zaburzała działanie zmysłów. Julia czasem widziała, słyszała i czuła to, czego nie powinna, co nie istniało, mimo że oddałaby wiele, by było inaczej. Zupełnie jak wtedy, gdy przyśnił jej się ogród. Wciąż miała w nozdrzach jego zapach, w ustach smak malinowego soku, a w uszach głos, który ją nawoływał.

Dawniej wszystko to było zawsze w pobliżu, dziś pojawiała się już tylko w sennych koszmarach.

Dlatego upał nie był jej sprzymierzeńcem. Woląca chłód, który dużo lepiej do niej pasował, bo zamrażał emocje. Lejący się z nieba żar rozniecał tylko ich kolejne ogniska i powodował dezorientację. Chciała uciec od tego dokądkolwiek, byle dalej od gorąca i własnej bierności. Wydawało się to łatwe. Wystarczyło spakować walizkę, wyszukać odpowiednie miejsce i kupić bilet. Jednak, z drugiej strony, nie miała pewności, czy gdziekolwiek czułaby się wystarczająco bezpieczna.

Dlatego ostatecznie została.

Niecierpliwie liczyła dni do końca lata, a myśl, że po nim znów przyjdzie jesień, przynosiła jej niewielką ulgę. Starła się przetrwać ten trudny dla niej czas, chwytając się wszystkiego, co dało się zrobić bez wychodzenia z domu. Aż do dnia, w którym niebo nabrało granatowej barwy, a gwałtowny wiatr wymiół z ulic większość przechodniów. Zanosilo się na potężną nawałnicę. Ten właśnie moment, zanim burza rozpęta się na dobre, Julia postanowiła wykorzystać, by poodychać chwilę mniej rozgrzanym powietrzem.

Pośpiesznie włożyła buty i wyszła na klatkę schodową. Gdy wciskała guzik przywołujący windę, usłyszała za sobą szelest otwieranych drzwi.

– Dobrze, że panią widzę. – Julita zupełnie jak wtedy, gdy rozmawiały po raz pierwszy, miała na sobie piżamę, szlafrok i kapcie z króliczymi uszami, jednak tym razem ze względu na wczesną porę i dzień wolny od pracy nie było w tym niczego dziwnego. Korzystała pewnie z wolnego czasu, przeznaczając go na leniwy wypoczynek w domowym zaciszu po trudnych i wyczerpujących egzaminach do szkoły teatralnej i przed rozpoczęciem roku akademickiego na wymarzonej uczelni, na którą tym razem dostała się z doskonałym wynikiem. Miała z tego powodu nieustająco dobry humor. Dlatego Julię zaniepokoiła jej tym razem niewyraźna mina.

– Coś się stało? – Julia poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku, co ją samą

trochę zaskoczyło.

– Wyjęła mi pani to pytanie z ust. – Dziewczyna przestępowała niepewnie z nogi na nogę, nawijając na palec pasek od szlafroka. – Nie widziałam pani od wielu dni ani nie słyszałam. Mam nadzieję, że wszystko dobrze?

– Tak, chyba tak. – Julia była zaskoczona i wzruszona jej troską.

– Bo pomyślałam, że skoro pan Antoni wyjechał, to czuje się pani trochę samotna. – Z zakłopotaniem pocierała dłonie. – Nie chciałabym się oczywiście narzucać, ale gdyby miała pani ochotę porozmawiać czy coś... Albo żeby ktoś pani tak zwyczajnie potowarzyszył, na przykład na spacerze, to ja zawsze...

– Dziękuję, będę o tym pamiętać.

Wcisnęła guzik.

– Pani Julio! – W głosie dziewczyny zabrzmiała determinacja.

– Słucham?

Poczuła, jak łomocze jej serce. Coś było nie tak. Julita wbiła rękę w kieszenie szlafroka i najwyraźniej zbierała się, żeby jej o czymś powiedzieć, ale przychodziło jej to z trudem.

To nie mogło być nic miłego.

– No bo ja wiem, to znaczy... Chyba wiem – zaczęła wolno. – Właściwie od razu się zorientowałam, ale nie miałam śmiałości spytać, gdy pierwszy raz panią zobaczyłam. A potem, jak już pani oddawałam ten list, to zrozumiałam, że nie powinnam.

– Co masz na myśli?

– Chodzi mi o to, że nazwisko się nie zgadza, fryzura i styl ubierania, ale cała reszta już tak. Nie tylko imię. – Nabrała w płuca powietrza. – Naprawdę przepraszam, to nie moja sprawa, nie chcę się do niczego wtrącać i o nic nie pytam. Nawet jak mnie kiedyś sprzedawczyni z naszego sklepiku o panią zagadnęła po tym, jak widziała nas razem, to odpowiedziałam, że nic nie wiem i że jej się z pewnością coś pomyliło, bo pani jest tylko podobna do tej znanej pisarki. Bo... – Znów zaczerpnęła tchu – Chciałam tylko, żeby pani wiedziała, że pani książki kiedyś bardzo mi pomogły, więc gdybym teraz jakoś mogła pomóc pani, to ja zawsze, w każdej chwili...

– Czytałaś moje książki?

Suchość w ustach nie pozwoliła jej spytać o więcej. Przede wszystkim o to, czy dziewczyna zna całą prawdę o niej. Bo jeśli tak, to na razie się z tym nie zdradziła.

– Wszystkie! – Zapaliła się i nagle odzyskała wigor. – To znaczy wiem, że jestem na nie trochę za stara, ale czytałam je mojej młodszej siostrze, po kilka razy każdą, i dzięki nim zrozumiałam wiele, wiele rzeczy! Na przykład to, że nie należy się poddawać i trzeba walczyć do końca, choćby nie wiem co. Albo że jak jest źle, to potem może być już tylko lepiej, wystarczy spróbować coś zrobić bądź zebrać

się w sobie i przeczekać, bo jeśli człowiek podda się za wcześnie, to nic z tego nie będzie miał. Biadolenie przecież w niczym nie pomaga, tylko w depresję może wpędzić. Dlatego ja nie biadoliłam, jak mi ten egzamin nie poszedł i rodzice się na mnie wściekli, że nie zdawałam na ekonomię, jak mi kazali. Postanowiłam spróbować jeszcze raz ze zdawaniem do szkoły teatralnej, choćby nie wiem co, bo to przecież moje marzenie. Poradzę sobie sama, bez niczyjej pomocy, tym bardziej łaski. A wszystko to dzięki pani.

– Chyba trochę mnie przeceniasz. To wyłącznie twoja zasługa... Egzaminy i cała reszta.

– W żadnym wypadku! Pani książki są cudowne i bardzo załużę, że już ich pani nie pisze. To znaczy nie pytam wcale, dlaczego, tylko jest mi tak po prostu przykro z tego powodu. Również dlatego, że jest pani wciąż taka smutna. Wcześniej miała pani zawsze śmiejące się oczy, to znaczy na każdym zdjęciu, a teraz jakby coś w nich zgasło.

Julia uśmiechnęła się blado.

– Wbrew temu, co wyniosłaś z moich książek, nie wszystko jest aż tak proste. Nie wystarczy jedynie wziąć się w garść albo przeczekać. Niekiedy bywa tak, że człowiek nie ma wpływu na bieg zdarzeń i tym samym swój los.

Julita owinęła się szelkierem i zamysliła się, marszcząc zabawnie brwi.

– Możliwe, ale i tak trzeba próbować coś z tym zrobić. Bez tego człowiek nigdy się nie przekona, czy coś się uda, czy nie.

– Jeśli tylko ma się jasno określony cel. A ty go masz. Życzę ci, żeby tym razem wszystko się udało.

– Dziękuję. A ja pani życzę, żeby go pani odnalazła.

– Co takiego? – Zdziwiła się.

– Swój cel. Inaczej nic nie ma sensu. Sama pani to przed chwilą powiedziała.

Julia stała jeszcze chwilę oparta plecami o drzwi swojego mieszkania. Nie wyszła już na spacer. I nie dlatego, że nie zdążyła, ponieważ burza okazała się od niej szybsza i zalała ulice strumieniami deszczu. Słowa młodej sąsiadki ciągle pulsowały Julii w głowie i powodowały zamęt. Nieważne, że nie padły te, których bała się najbardziej. Bo trudno było uwierzyć, że dziewczyna nie wiedziała, co się wydarzyło przed ponad dwoma laty, było o tym zbyt głośno, również w mediach. O wiele za głośno, choć echo tamtych zdarzeń już dawno powinno ucichnąć. Tymczasem wiele wskazywało na to, że nadal pobrzmiwało. Przynajmniej w jej własnych uszach.

Wróciła na swój fotel i okryła się szelkierem z niemiłym poczuciem, że Julita, być może nieświadomie, swoją niewinną uwagą trafiła w sedno. Julia nie miała w życiu żadnego celu, chciała jedynie, by wszystko zostało tak, jak jest. Zupełnie jak dawniej, w tych lepszych chwilach, ale obecnie z całkiem innego



powodu.

Niestety, czasu nie dało się zatrzymać, wszystko wokół wciąż się zmieniało, i ta prawidłowość nie omijała również jej. Świat nie zniósł jej bierności i porwał ją między swoje tryby, chociaż ona nie od razu to spostrzegła. W końcu, gdy już to do niej dotarło, spróbowała się wyswobodzić, a gdy i to się nie powiodło, usiłowała zatrzymać wszystko jednocześnie. Chciała, by jej świat stanął w miejscu i tak już pozostał. Naiwnie wierzyła, że to możliwe. Kierowała nią głupia desperacja i gdy w końcu to zrozumiała, wleczona bezwolnie przez przypadkowe zębate koła czasu, znalazła się w ślepych zaułku. Jedyne, co jej pozostało, to znaleźć w tym mechanizmie odpowiednie dla siebie miejsce i samej zaplanować kolejny ruch.

Zacząła od tego, co uznała za najbardziej bezpieczne, ponieważ neutralne wobec pozostałych spraw. Jak zawsze, gdy nie wiedziała, co ze sobą począć, siadła przy sekretarzyku Konstancji.

Otworzyła laptopa i swoją bezimienną powieść. Nadal bez zakończenia i nadziei, że ono kiedykolwiek powstanie. A gdyby tak stało się celem, o którym mówiła Julita? Już sama taka myśl wstrząsnęła Julią do głębi i wywołała ponowny, równie bolesny skurcz żołądka. Bo ten cel był niemożliwy do osiągnięcia, z czego zdała sobie sprawę, zanim jeszcze zaczęła zmieniać i poprawiać powieść, więc stawianie go sobie na nowo nie miało sensu.

Wydawało się też bardzo niebezpieczne. Dokończenie historii oznaczałoby koniec również dla niej. To, co tam zawarła, było częścią niej samej i toczyło się równoległe z jej realnym życiem, tym obecnym, ale wciąż niewolnionym od przeszłego. W powieści ulokowała prawie całą swoją duszę jak w sejfie, do którego nikt inny nie znał szyfru. Zupełnie jakby usiłowała w ten sposób coś ocalić, podświadomie, bo nie umiała podać powodu, dla którego to robiła. Może mimo wszystko liczyła jeszcze na cud, który sprawi, że znajdzie dla siebie całkiem nowy, wspaniały cel, który nada jej życiu osobny sens?

Przeczytała pierwsze zdania przypadkowo otwartego rozdziału. Po namyśle wykasowała je i napisała nowe:

*Oczekiwanie na dalszy rozwój wypadków okazało się trudniejsze, niż się spodziewała. W dodatku powodowało, że dni wydawały się jeszcze dłuższe.*

Zastanawiała się chwilę z dłonią uniesioną nad klawiaturą. A potem dopisała kolejne:

*Czekanie jednak zwykle oznacza, że jest jeszcze nadzieja.*

19.

---

W końcu jednak nadeszła.  
Kalendarzowa, astronomiczna i pogodzona z panującą aurą jesień. Objawiła się prawie z dnia na dzień deszczem i szarością za oknem – brudnym od sadzy z kominów domków jednorodzinnych u podnóża osiedla, skąd od wielu dni unosił się gęsty dym.

Świat znów przybrał głównie barwy sepii. Najpierw letnia zieloność z coraz mniejszym oporem ustępowała wszystkim odcieniom szkarłatu, złota i brązów, potem poddały się i one. Nowa pora roku barwiła nie tylko liście na drzewach i te już opadłe, ale też jesienne kwiaty, w tym gatunki tradycyjnie ustawiane ciasno na grobach zmarłych z okazji zbliżającego się ich święta. I choć bywało, że zwarte kule chryzantem wyłamywały się z tej jesiennej kolorystyki, chełpiąc się czystą zimową bielą, to jednak nie zawsze czyniło je piękniejszymi, ponieważ w każdym odcieniu wyróżniały się urodą spośród innych kwiatów, rozkwitających w ostatnim

dla nich momencie, przed nadejściem jeszcze większych chłódów.

W przeciwieństwie do astrów i wrzosów, chryzantem prawie nigdy nie sadzono na rabatach i w balkonowych skrzynkach. W mentalności ludzkiej zbyt mocno zakorzeniły się jako kwiaty cmentarne. Dlatego Julia nie przepadała za nimi, mimo ich niepodważalnej urody, i odwracała głowę, gdy łamano ten stereotyp i przyozdabiano nimi coś innego niż mogiły. Jednak w tym właściwym dla nich – przynajmniej w ludzkim mniemaniu – miejscu także ich nie oglądała. Nawet w jedynym dniu w roku, gdy niektórzy ludzie, nie mogąc udać się na groby swoich bliskich, symbolicznie odwiedzali inne. Palili znicze na tych zapomnianych i przez to zaniedbanych, zupełnie jakby wierzyli, że nieznani im zmarli przekażą ich szeptu tym, do których były kierowane.

Julia też zapalała znicze, ale w zupełnie innym momencie, i trzymając go jedynie w dłoniach, przez kilka zaledwie sekund, dokładnie tyle, ile starczyłoby, żeby pewnego minionego już dnia wszystko potoczyło się inaczej. Niestety, nie mogła cofnąć czasu ani pozbyć się myśli, że cokolwiek zrobi, już nic nie będzie takie jak dawniej. Ze śmiercią trudno było pertraktować, jej decyzje były nieodwracalne. I nawet jeśli ludzie się z nimi godzili, to tylko pozornie, by ukoić w sobie ból. Tyle że on nigdy nie mijał. Jedyne, co można było zrobić, to przestać o nim myśleć, przez co stawał się łatwiejszy do zniesienia. Julia jednak wciąż nie umiała tego zrobić. Nie mogła przestać myśleć o tym, jak wyglądałoby jej życie, gdyby śmierć nie zabrała jednej z jego najważniejszych części.

Jesienny czas na ogół sprzyjał wspomnianiu i często szczerym zwierzeniom, więc pewnego dnia odważyła się w końcu porozmawiać o swoich odczuciach z Antonim. Okazało się, że on również nie lubił chryzantem ustawianych już z końcem października na nagrobkach, ale z zupełnie innego powodu.

– To niesprawiedliwe, że dostały tak niewdzięczną rolę i łatkę, której pewnie długo się nie pozbędą. Szkoda, że takie piękne kwiaty kojarzą się głównie ze śmiercią. Bo ich prawdziwa symbolika jest jej przeciwieństwem. Tak, tak... – Pokiwał głową, gdy dostrzegł powątpiewanie w oczach Julii. – Czy możesz sobie wyobrazić, że moja żona chciała mieć je w swoim ślubnym bukietcie? Niestety, jej matka ostro się temu sprzeciwiła. Według niej mogły sprowadzić na nas nieszczęście. Konstancja tłumaczyła wtedy matce, że zgodnie z chińskimi wierzeniami w środku każdej złocistej główki chryzantemy znajduje się klucz do nieśmiertelności i one same symbolizują długowieczność i nieugiętość w zmaganiach z życiem, ale nic to nie dało. A może gdyby Tusia nie dała za wygraną i nie zrobiła sobie bukietu z kwiatów, które jej podpowiedziała matka, nie odeszłaby tak wcześnie...

– Przecież to tylko przesady. – Julia uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Ale czasem wiara czyni cuda – odparł z enigmatycznym uśmiechem. – Nawet w najbardziej niezwykle rzeczy. Tak właśnie było, gdy po tylu latach stanął

przede mną po raz pierwszy mój wnuk, już jako dorosły mężczyzna. Zapukał do drzwi parę minut po tym, jak postawiłem na wigilijnym stole talerz dla zbłąkanego wędrowca.

– To żaden cud, tylko zwykły przypadek. Bo przecież wcześniej też pan pewnie ustawiał dodatkowe nakrycie, tak nakazuje tradycja.

Sama niegdyś też jej przestrzegala, wówczas gdy jeszcze miała dla kogo przygotowywać świąteczną kolację.

– Tak. I za każdym razem modliłem się o to, by kiedyś skorzystał z niego mój syn. Potem straciłem nadzieję, że to się kiedykolwiek wydarzy, dlatego prosiłem już tylko o to, żebym nie musiał zasiadać do wigilii sam. I wtedy właśnie zostałem wysłuchany.

– Z tego wynika, że jeśli nasze modlitwy nie zostają wysłuchane, to jest tylko nasza wina, tak? Bo Bóg wcale nie odmawia nam pomocy, tylko my czasem przedstawiamy mu niewłaściwie prośby. Albo też mamy wobec siebie i niego zbyt wygórowane wymagania... – Urwała i zamyśliła się chwilę.

Starala się, by jej słowa nie brzmiały ironicznie, ale przychodziło jej to z trudem. Sama już dawno przestała prosić Boga o cokolwiek, bo tego, czego pragnęła najbardziej, nie mógł jej już dać, lub raczej zwrócić, bo przecież sam jej to odebrał. Z czasem znienawidziła go za to. Dlatego nie dziwiła się wcale, że się od niej odwrócił, zwłaszcza, gdy miał tak przewrotną naturę. Słowa Antoniego były na to kolejnym dowodem.

– Czasem oczekujemy od Boga zbyt wiele – sprostował, odgadując również jej myśli, a ona, znów wracając wspomnieniami do swojej niewypowiedzianej nigdy głośno prośby, nie skomentowała tego. – Dlatego lepiej zawsze prosić o mniej, nie tylko Boga, ale w ogóle, każdego. Jeśli ktoś da nam więcej, będziemy mieli miłą niespodziankę. No i przy okazji unikniemy rozczarowania, gdy dostaniemy czegoś mniej niż oczekiwaliśmy.

– A co z tymi, którzy o nic nie proszą? – Zaryzykowała pytanie, które nadal tkwiło jej w głowie. Zabrakło jej jedynie odwagi, by je doprecyzować.

– Mogą dostać to, czego wcale nie chcieli. No, chyba że im się poszczęści i ślepy los trafi na zdrowe ziarno.

– Niektórzy po prostu nie zasługują na szczęście. Dlatego nie dostaną nic. Albo różgę. – Roześmiała się gorzko.

Antoni podrapał się w głowę.

– Powiniennem powiedzieć, że każdy na nie zasługuje, choć z drugiej strony różga od czasu do czasu nikomu nie zawadzi. – Zaśmiał się i puścił do niej oko. – Ale jeśli się nad tym dłużej zastanowić, to chyba nie do końca tak jest z tym szczęściem. Bo czym na przykład jest ono dla mordercy albo złodzieja? Uniknięciem kary? W takim razie coś tu jest chyba nie tak.

– Mówiłam przecież. – Julia potarła nerwowo skroń i przełknęła zbyt głośno

ślinę. – Nie wszyscy zasługują na szczęście. – Na przykład ja, dodała już tylko w myślach.

– Zgadza się – poparł ją, ale przecząco pokręcił głową. – Tylko że to jeszcze niczego nie przesądza...

– Nie da się cofnąć czasu ani przywrócić komuś życia – odparła stanowczo. – A bez tego nic nie będzie już takie samo.

To właśnie powiedziała Aniołowi Zatrokanemu. Odniosła wtedy wrażenie, że jeszcze niżej pochylił głowę nad nią i nad tym, co ją do niego przywiodło. Liczyła, że jej pomoże.

Sama nie potrafiła nad sobą zapanować ani zrozumieć tego, co się z nią działo. Bo przecież tak bardzo się starała. Wkładała mnóstwo energii i sił w kolejne projekty, które mimo to wychodziły coraz gorzej. Gdy ustawiała rekwizyty na jesiennej wystawie w sklepie Hebnera, nie widziała na jego twarzy entuzjazmu. Mimo że jej samej efekt początkowo wydał się zadowalający. Wykorzystała piękny, kuty ręcznie komplet stojaków na parasole i ubrania. Jesienne buty i płaszcze spryskała błyszczącym lakierem, przez co wyglądały jak mokre od deszczu. Akrylowe krople rozwieszono wokół na cieniutkich żyłkach imitowały jesienną słońce. Gdy tylko skończyła, w nerwowym pośpiechu wypadła na zewnątrz, tym razem sama, i chwilę przyglądała się wystawie. Potem od razu pobiegła do parku.

Zdyszana opadła na ulubioną ławkę i ukryła twarz w dłoniach. Odsłoniła ją dopiero, kiedy usłyszała niemal tuż przy swojej głowie trzepot gołębic skrzydeł. Rozejrzała się z nadzieją, że zobaczy staruszkę dokarmiającą ptaki. Niestety, obok nie było nikogo. Poczula żal. W ciągu ostatnich miesięcy widziała ją tylko raz, i to z daleka. Wstawała właśnie z ławeczki, by swoim zwyczajem podrzucić ostatnią garść ziaren tak, by opadły na wyciągniętą dłoń anioła. Julia przyśpieszyła kroku, chcąc zamienić z nią kilka słów lub choćby tylko się przywitać, niestety nie zdążyła. I mimo że przez kilka kolejnych dni z rzędu odwiedzała park o podobnej porze, nie spotkała jej ponownie.

Tamtego dnia prosto od swojego anioła poszła na przystanek autobusowy. Nie wróciła już do sklepu, mimo że przed wyjściem nie powiedziała nawet „do widzenia”. Miała nadzieję, że wiadomość z przeprosinami i wymyślona naprędce przyczyna nagłego zniknięcia wystarczy. Z westchnieniem ulgi wsiadła do autobusu, który na szczęście nadjechał szybko, i zapatrzyła się w okno. Wtedy po drugiej stronie ulicy dostrzegła znajomą sylwetkę mężczyzny. Obok niego stała niższa o głowę kobieta, a on trochę niewprawnym i nieporadnym gestem poprawiał jej zawiązany pod brodą szalik. Julia nie była w stanie z tak dużej odległości dostrzec nadrukowanego na nim wzoru, ale i bez tego wiedziała, że są to szaro-błękitne ornamenty i białe śnieżynki.

To był ten sam szalik, który podarowała przed świętami mężczyźnie

poznanemu przed sklepem. Niemalże poczuła pod palcami niezwykłą miękkość delikatnej tkaniny, pamiętała moment, w którym dotknęła jej po raz pierwszy i przede wszystkim to, o czym wówczas pomyślała. Że jeśli kupi podarunek, będzie musiała go w końcu wręczyć. A wtedy zyska pretekst, by posłuchać rady Antoniego i spotkać się wreszcie z matką. Przypomniała też sobie ulgę, jaką poczuła, gdy oddała przeznaczony dla niej prezent nieznanemu, by mógł go ofiarować swojej ukochanej i spędzić z nią szczęśliwe święta. Scena, którą Julia podejrziała zza szyby ruszającego już autobusu, pozwalała wierzyć, że jego marzenie się spełniło. Szal mimo wszystko przyniósł komuś szczęście. Żałowała tylko samolubnie, że nie jej.

Wysiadła z autobusu, ale zamiast do domu skierowała swoje kroki do galerii handlowej. Odnalazła sklep, do którego weszła przed ponad jedenastoma miesiącami pod wpływem podobnego impulsu. Tym razem jednak zrobiła to już z konkretnym zamiarem.

Szukając ideału, kierowała się również tylko dotykiem. Zamknęła nawet oczy. Wybrany szal miał inny kolor, pasował do obecnej pory roku. Rudawe tło zdobiły złote listki. Kupiła go bez namysłu. Po wyjściu ze sklepu od razu sięgnęła po telefon. Zdjęła rękawiczki wilgotne od słoty lub też wycieranych ukradkiem łez. Jej sztywne i jednocześnie drżące ze zdenerwowania palce prawie zmieniły się w sople, zanim napisała wiadomość, którą wreszcie gotowa była wysłać.

20.

---

Listopad coraz pokorniej ustępował pola grudniowi, który, jak co roku, o wiele za wcześnie rozłożył własne dekoracje.

Bożonarodzeniowe ozdoby nie najlepiej komponowały się z nadal jesienną aurą, a mimo to zagarniały na wyłączność sklepowe półki i witryny, wypełniając je wielobarwnym świątecznym przepychem, wszelkiej maści błyskotkami i osypującym się z nich brokatem. Ulice nadal były szare i raczej smutne, ale dzięki kilku barwnym plamom z gigantycznych instalacji świetlnych w kształcie bombek i przewiązanych kokardą paczek powstawało złudzenie, że jest inaczej. Wystarczyło tylko skupić wzrok na odpowiednim miejscu. Albo zadrzeć głowę, by popatrzeć na nagie gałęzie drzew owinięte sznurami lampek, które wyręczały w ich upiększaniu opadłe liście.

Również w kawiarnianym menu grudniowe propozycje mieszały się z listopadowymi. Rozłożone na stolikach foldery zachęcały do skosztowania

aromatycznej kawy z przyprawą do pierników albo rozgrzewającej zimowej herbaty z imbirem, goździkami i grubym plastrem pomarańczy. Za to na deser wciąż polecano typowo jesienne muffiny dyniowe, gruszki w karmelu i śliwkową tartę z kruszonką. Neutralna pozostawała tylko szarlotka z bezą i bitą śmietaną, pasująca do każdej pory roku, niezależnie od pogody czy nastroju.

Julia oparła widelczyk na krawędzi talerzyka, nie spróbowała nawet kawałeczka złotawego wypieku. Zburzyła jedynie misterną formę śmietanowej górki, bawiąc się nią przez chwilę w zamyśleniu. Ciągle nie była pewna, czy słusznie postąpiła, decydując się na to spotkanie. Objęła dłońmi kubek z gorącą czarną herbatą i niespokojnie zerkała na drzwi, które co rusz przyciągały jej uwagę dzwonkiem potrącanym przez wchodzących i wychodzących.

Serce biło jej coraz szybciej. Stąd, gdzie siedziała, miała najlepszy widok, a wysokie oparcia kanap dawały poczucie intymności, którego w tej chwili tak bardzo potrzebowała. Inni mogliby przecież zauważyć drżenie jej rąk, pot na twarzy i dekolcie, zorientować się, jak trudno jest jej wyrównać oddech i zastanawiać się nad przyczyną tego zachowania.

A świadomość, że ktoś jej się przygląda, w niczym by nie pomogła. I bez tego nie było jej łatwo. Kolejny raz odruchowo dotknęła rudego szala zapakowanego w papierową torebkę, którą trzymała na kolanach, jakby sprawdzając, czy nadal tam jest. Jego przyjemna miękkość działała na nią kojąco, niestety zbyt krótko. Czekanie wciąż pogłębiało i tak już silny niepokój, potęgowało zdenerwowanie, jednak nie mogła mieć o to do nikogo pretensji, ponieważ celowo przyszła wcześniej. Tak było lepiej. Od zawsze wolała wypatrywać, niż być wypatrywaną. Nigdy nigdzie się nie spóźniała i starała się nie zjawiać jako ostatnia. Najbardziej stresujący wydawał jej się moment szukania choćby tylko wzrokiem kogoś, kto mógł już czekać, i dzięki temu zaobserwować poczucie zagubienia odmalowane na twarzy tego, kto przyszedł później.

Już za chwilę Julia miała ujrzeć to na obliczu, którego obraz od dłuższej chwili usiłowała przywołać w pamięci. Jednak nie ten zapamiętany jako ostatni, ale jeszcze sprzed zdarzenia, które wyorało na dobrze znanej twarzy nowe bruzdy, głębsze od tych już istniejących. Bo tamte powstały w miejscach, gdzie twarz najczęściej marszczyła się w uśmiechu – w pobliżu oczu i ust. Dopóki nie zdeformował jej płacz, którego Julia nadal nie potrafiła wymazać z pamięci i przez to przypomnieć sobie dawnego, jasnego oblicza swojej matki. W jej oczach spodziewała się ujrzeć odbicie własnej winy, jak w dniu, w którym podjęła decyzję o ucieczce.

Wtedy właśnie zrozumiała, że tylko tak może pomóc tym, których skrzywdziła – przestać ranić ich swoją obecnością.

– Dobrze cię widzieć, córeczko. – Usłyszała tuż nad sobą i zamarła.

Odwróciła głowę tylko na chwilę, żeby w ten sposób odciąć się iluzorycznie



od kawiarnianego zgiełku i uspokoić emocje, dopóki jeszcze była w stanie nad nimi zapanować. Niestety, to wystarczyło, by przeoczyć najważniejszy moment – ten, w którym matka pojawiła się w kawiarni. Julia nie zobaczyła jej pierwsza, tak jak pragnęła, nie zdążyła niczego wyczytać z jej twarzy, nie przechwyciła spojrzenia. Straciła przez to coś bardzo ważnego. Kolejny już raz.

W dodatku, sparaliżowana nagłym lękiem, nie była w stanie oderwać wzroku od pustej już filiżanki, którą nadal trzymała w dłoniach. Pomagało jej to zamaskować ich drżenie. Zamknęła oczy i ugięła się mimowolnie, gdy poczuła na ramieniu dotyk, a na skroni chłód matczynych ust. Wreszcie podniosła głowę. Dopiero wówczas zdała sobie sprawę, że z oczu płyną jej łzy.

– Jesteś – wyszeptała. – Nareszcie.

Matka pogładziła ją bez słowa po mokrym policzku. Zdjęła płaszcz i przez chwilę jakby zastanawiała się, czy usiąść obok. W końcu wybrała miejsce naprzeciwko, tam gdzie stał przygotowany dla niej talerzyk z szarlotką, filiżanka i dzbanek z gorącą herbatą. Odsunęła na bok naczynia, wyciągnęła przez stół ramiona i zacisnęła palce na dłoniach Julii. Przez chwilę trwały w milczeniu, sycąc się wzajemnym widokiem. Obie być może szukały w sobie zmian, które mogły w nich zajść od czasu, gdy widziały się po raz ostatni, albo zastanawiały się, od czego zacząć rozmowę, dla obu tak samo trudną.

Julia nie miała wątpliwości, że jasne i świeże oblicze matki to tylko efekt starannego makijażu. Zdradzały ją oczy, przygaszone i jednocześnie niespokojne. O jej podenerwowaniu świadczyło też ciągle zagryzanie warg od wewnątrz, prawie niezauważalne, jednak nie dla Julii. Znała to dobrze. Matka zawsze tak robiła w momentach największego zdenerwowania. Pomagało jej to zebrać myśli.

– Długo na to czekałam – odezwała się wreszcie starsza z kobiet. – I nawet przez chwilę nie przestałam wierzyć.

– W co? – Julii tylko tyle udało się wydobyć z zaciśniętego gardła. Przechyliła głowę, żeby wytrzeć o uniesione ramię kolejną porcję łez. Nie chciała wypuszczać dłoni matki z własnych. Bała się, że potem nie będzie umiała pochwycić ich na nowo.

– Czekaliśmy, aż wreszcie się opamiętasz. Zrozumiesz, że to wszystko nie ma sensu.

– Ależ ja właśnie dlatego postanowiłam wyjechać! Nie widziałam sensu... – Urwała, ponieważ głos znów jej się załamał.

Matka patrzyła na nią z troską i miłością w oczach. Zupełnie jak wtedy, gdy Julia jako dziecko coś przeskrobała i starała się to naprawić albo przynajmniej wytłumaczyć się ze swojego zachowania. Nie dlatego, że obawiała się kary, ale żeby zachować się jak należy. Tak, jak ją uczyli rodzice. Ojciec, zanim odszedł, a potem już tylko matka.

– Szukaliśmy cię wszędzie. – Jeszcze mocniej ścisnęła dłonie Julii.

– Dlaczego? Przecież prosiłam, żebyście tego nie robili, wyjaśniłam wszystko w liście.

– Nie wszystko. Tak naprawdę niczego nie wyjaśniłaś, do dziś nie rozumiemy, co się właściwie stało. Przecież było już tak dobrze...

Julia podniosła na nią zdumione spojrzenie.

– Nie było i nigdy już nie będzie dobrze. Wiesz o tym tak, jak ja.

– Pozwól sobie pomóc!

– Jak? Jak chcesz mi pomóc, skoro nie umiesz nawet pomóc sobie?

Wyswobodziła z uścisku dłoń i znów zamknęła w nich filiżankę. Spoglądała w puste dno, jakby tam szukała odpowiedzi, której nie spodziewała się usłyszeć. Matka wyjęła jej naczynie z rąk i napełniła herbatą. Nalała też sobie. Potem uniosła delikatnie zapłakaną twarz Julii, podtrzymując wciąż drżącą brodę. Zajrzała córce uważnie w oczy.

– Masz rację – powiedziała. – Nie będzie tak samo, ale to nie oznacza, że ma już nie być nic. Masz przecież dla kogo żyć! On... On zrobił wszystko, by cię odnaleźć, i już prawie mu się to udało, ale wtedy twój lekarz powiedział, żebyśmy dali ci więcej czasu. I że musisz sama zdecydować o powrocie, kiedy już sobie wszystko poukładasz i znajdziesz rozwiązanie. Mówił, że to bardzo ważne, bo tylko w ten sposób odzyskasz poczucie kontroli nad własnym życiem. W przeciwnym razie będziesz się nadal męczyć. Posłuchaliśmy go, mimo że nie byliśmy pewni, czy dobrze robimy. Baliśmy się o ciebie. Nie zabrałaś ze sobą swoich leków, nie byliśmy pewni, czy sobie bez nich poradzisz.

– Poradziłam sobie właśnie dlatego, że je odstawiłam. Kiedy przestały mnie otumaniać, zrozumiałam wszystko.

Matka westchnęła ciężko.

– Niczego nie zrozumiałaś, skoro do nas nie wróciłaś. A minęło tyle czasu, odkąd nas zostawiłaś.

– Nie zostawiłam was! Po prostu uwolniłam od siebie. – Pokręciła energicznie głową. – To duża różnica.

– Nie mów tak! To, co się stało... To przecież tamten kierowca, nie ty...

– Nie doszłoby do tego, gdybym tamtego dnia nie wsiadła do samochodu, gdybym została w domu, gdybym na czas wszystkiego dopilnowała, zamiast zajmować się głupstwami. Wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej!

Nie zauważyła nawet, że podniosła głos, ani tego, że siedzący przy sąsiednich stolikach ludzie przyglądają się jej ukradkiem i szepczą coś do siebie. Zorientowała się dopiero, gdy matka obejrzała się w ich stronę. Julia jednak w ogóle się tym nie przejęła. Pierwszy raz od dawna nie obchodziło jej, że ktoś się jej przygląda albo że ją ocenia.

– Byłoby zupełnie inaczej – powtórzyła mimo wszystko już znacznie ciszej.

– Ale nie jest inaczej, dlatego trzeba nauczyć się z tym żyć. I nie mówię, że

należy się pogodzić. Po prostu musisz oswoić to, co się stało. Tym bardziej że masz dla kogo. Popatrz sama.

Wyjęła z torebki szarą kopertę, a z niej plik zdjęć, po czym rozłożyła je na stole. Julia przebiegła po nich wzrokiem, ale żadnego nie podniosła.

– Nie zasługuję na nich – szepnęła.

– Ale oni na ciebie na pewno. Potrzebują cię, musisz do nich wrócić! – Tym razem ona prawie krzyknęła. W jej oczach malowała się desperacja.

– Nie mogę. – Julia ponownie załkała. – Nie wiedziałabym, co powiedzieć.

– Nie musisz im niczego tłumaczyć. Nie oczekują tego. Wystarczy, że z nimi będziesz.

– Tego nie da się pogodzić. – Julia podniosła się zza stołu i wyjęła z papierowej torebki szal. Podała go matce. – To dla ciebie. Z okazji świąt nadchodzących i tych minionych.

– Proszę cię, kochanie, wróć ze mną do domu. – Jej głos przybrał błagalny ton. Przycisnęła szalik do ust, by ukryć ich drzenie.

Julia objęła ją, wtuliła na chwilę twarz w zagłębienie jej szyi i odskoczyła, zanim matka zdążyła odwzajemnić uścisk.

– Nie mogę – powtórzyła, po czym szybkim ruchem zebrała ze stołu zdjęcia. – Wierzę, że kiedyś to zrozumiesz.

Wybiegła, nie oglądając się za siebie. Pędziła prawie na oślep, nie zastanawiając się, dokąd. Zwolniła dopiero, gdy całkiem opadła z sił. Dysząc ciężko, oparła ręce na kolanach. Gdy wreszcie podniosła głowę, zorientowała się, że jest w parku. Nie była zaskoczona. Celowo wybrała kawiarnię w jego pobliżu, żeby mieć gdzie ukoić emocje. Teraz najwidoczniej one same ją tu przywiodły. Zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej czekał na nią jej ulubiony anioł o zatroskanym obliczu, a ona potrzebowała go jak nigdy dotąd.

Tym razem jednak Julia nie usiadła na ławeczce naprzeciwko niego, ale wspięła się na palce, by go dotknąć, nie bacząc, że płoszy przy tym ptaki. Na jej głowę i ramiona posypało się ziarno strącone przez ptasie skrzydła. Było świeże, zatem zostało rozsypane niedawno, może nawet przed chwilą. Najwięcej leżało go na wyciągniętej dłoni anioła, Julia od razu więc odgadła, czyja to zasługa, i po raz pierwszy nie było jej żal, że znów rozminęła się ze staruszką.

Pragnęła zostać sam na sam tylko ze swoim aniołem i tym, o czym zamierzała mu opowiedzieć.

21.

---

Nie mogła pojąć, dlaczego słowa, które zwykle z taką łatwością układały się w jej głowie w zdania i tworzyły perfekcyjną opowieść, broniły się przed przelaniem na papier. Ulatywały z pamięci, gdy tylko usiłowała je zapisać, i nie pozwalały się odtworzyć. A rodziły się wyłącznie w parku z aniołami, jakby były pisane piórami wyrwanymi z ich skrzydeł, i równocześnie tam dokonywały żywota. Jak gdyby poza nim nie potrafiły istnieć.

Julia robiła, co mogła, by zachować je w sobie dłużej niż tylko przez kilka chwil. Powtarzała szeptem, spisywała naprędce w notatniku, a potem co tchu biegła do domu i, nie zdjawszy nawet butów i płaszcza, siadała przy biurku Konstancji. Błagała w duchu o natchnienie, gorączkowo uruchamiając laptopa. Ale gdy tylko zaczynał migotać kursor, okazywało się, że wszystko na nic, bo kolejne zdania wychodzące spod jej palców już nie były tymi, które pragnęła utrwalić w swojej bezimiennej powieści. Może gdyby w końcu to się udało, nie byłaby już tak bardzo

niedoskonała?

Niestety. Nieustanne poprawianie istniejącej i dopisywanie nowej treści nie przynosiło oczekiwanych rezultatów. Wciąż coś było nie tak. Zawarta w powieści historia miała stać się lustrem dla wszystkich emocji, które Julia nosiła w sobie od dnia, gdy jej starannie poukładane życie rozsypało się jak sterta suchych i pokurczonych liści, rozdmuchana przez wiatr. Gdyby udało się wreszcie nazwać te wszystkie uczucia, mogłaby lepiej je zrozumieć i dzięki temu naprawić coś również w sobie, poukładać na nowo, posegregować i odrzucić wszystko, co było zbędne i powodowało niepokój.

Tymczasem to, co zdołała dotąd napisać, spełniało się tylko częściowo w swojej roli i pozwalało na niewielki uczuciowy dystans, którego, o dziwo, brakowało jej najbardziej, gdy główną rolę grały właśnie emocje. Przez to nie czuła się bierna.

Dzięki notatkom mogła wracać dowolną ilość razy do wcześniejszych zdarzeń i przyglądać im się z wielu różnych perspektyw. Dużo spokojniej, bardziej obiektywnie. A potem w nieskończoność zmieniać istniejące już scenariusze, wymyślać nowe w poszukiwaniu tego idealnego, po to, by wykorzystać go już w prawdziwym życiu.

Żaden z nich wciąż nie był jednak tym, którego pragnęła. Jej nowe życie mimo ciągłych starań pozostawało dalekie od ideału. Zarówno to rzeczywiste, jak i równoległe, spisane na kartach powieści. Przekonywała się o tym niemal każdego wieczoru, czytając jej przypadkowe fragmenty. Całość była niepokojąco niedoskonała. I wcale nie przez brak ostatniego rozdziału, bo o nim w ogóle nie myślała. Chodziło o niewłaściwie dobrane słowa. Nie wyrażały należycie tego, co tkwiło w Julii, były jedynie odbiciem otaczającej ją rzeczywistości. To dlatego wciąż je zmieniała. Wierzyła, że gdyby zapisane przez nią wyrazy zostały na kartach powieści już na zawsze, przestałyby ją dręczyć. Tymczasem one wracały do niej zawsze wtedy, gdy nie miała ich jak z siebie wyrzucić, zanotować, by się z czasem nie pogubiły. Chaotyczne zapiski na biletach autobusowych i wyblakłych paragonach okazywały się niewystarczające, bo na nich słowa traciły swoją pierwotną moc i wagę, stawały się zwyczajne i bezwartościowe jak papier, na którym ostatecznie wylądowały.

Kiedyś usiłowała wytłumaczyć to Antoniemu, wtedy gdy wypadł jej z kieszeni zapisany maczkiem skrawek papieru. Nie pozwoliła mu go podnieść, chociaż stał bliżej, ale zaraz po tym, jak zamknęła w dłoniach złapany w pośpiechu świstek, zarumieniona ze wstydu, wyjaśniła swoje zachowanie. Opowiedziała o kłopotach z zapamiętywaniem zdań, a nawet pojedynczych słów. Nie była pewna, czy ją zrozumiał, ale spodobała jej się jego zabawna refleksja.

– Bo niektóre słowa są jak pchły. Łaskoczą złośliwie to tu, to tam, i za nic nie dają się złapać. Albo uwieszają się jak małpki na końcu ludzkiego języka, by

i stamtąd umknąć, zanim ktoś zrobi z nich użytek. Czasem tylko zachowują się jak ptaki. – Kiwnął brodą w stronę okna, gdzie nadal stał karmnik, teraz malowniczo przyprószony śniegiem. – Ulatują, ale człowiek wie, że tak jest lepiej, bo to daje im wolność. I przestaje za nimi gonić.

Jej własne słowa, te, z których układała swoje historie, przypominały z kolei muszelki i błyszczące kamyki znalezione na plaży. Zabrane z niej traciły cały swój urok, przestawały zachwycać, nie pasowały do nowego otoczenia, przerzucane z miejsca na miejsce zaczynały zawadzać, aż w końcu lądowały w koszu na śmieci. Podobny los czekał większość słów przyniesionych z parku. Zostawały już na zawsze na zmiętych i wrzuconych do śmietnika papierkach.

– Wciąż nie wiem, jak temu zaradzić. Kiedyś zaniósłam nawet do parku laptopa i próbowałam pisać na ławce, tej naprzeciwko Anioła Zatrokanego, ale potem i tak wszystko musiałam skasować, bo nie było takie, jak oczekiwałam.

– A próbowałaś kiedyś postąpić inaczej? Zabrać laptopa do parku i tam przeczytać to, co napisałaś w domu?

– Ale jaki by to miało sens?

– Może żadnego, jednak co ci szkodzi spróbować? Moja Tusia tak robiła i w jej przypadku to naprawdę działało. Pisała tam, gdzie ją naszła ochota, a potem chowała kartki głęboko i nikomu nie pokazywała. Sama też do nich nie zaglądała. Czytała zapiski dopiero w swojej wieżycze, przy ukochanym biurczku i spokojnie robiła poprawki, jeśli były potrzebne. Podobno zawsze z dobrym skutkiem. A początkowo też upierała się, że wena znajduje ją tylko w tym jednym miejscu i w każdym innym pisze jej się gorzej. Dopóki nie odkryła, że to działa inaczej.

– Ale przecież tak właśnie jest! Prawie każdy ma swoje ulubione miejsce, w którym myśli mu się lepiej i udaje się więcej. Ja też takie miałam, kiedyś, dawno temu... – zająknęła się lekko i przełknęła gwałtownie ślinę. – I szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że to stare biurko mi je zastąpi. Kiedy zobaczyłam je po raz pierwszy, byłam przekonana, że tak się stanie, niestety pomyliłam się. Widać, sprzyjało tylko jego pierwszej właścicielce albo przywykło do swojego dawnego miejsca w wieży i inne mu nie odpowiada.

– Bo to bardzo kapryśny mebelek. – Antoni roześmiał się gromko i pstryknął w powietrzu palcami. – A i Tusia mogła się o tym przekonać nie raz. Sam widziałem, jak wściekała się i trzaskała szufladami, gdy coś jej nie wychodziło i słowa umykały złośliwie jak pchły albo małpki.

– Teraz już wiem, dlaczego jedna z szuflad wciąż się zacina. Pewnie ją przy okazji uszkodziła – podchwyciła Julia. – Ciągle zbieram się, żeby to naprawić. Bo początkowo nie byłam pewna, czy mogę bez pozwolenia, teraz jednak już chyba nic nie stoi na przeszkodzie. – Uśmiechnęła się znacząco.

Wypożyczony wcześniej sekretarzyk miał zostać u niej już na stałe. Julia nie

miała wątpliwości, że to zasługa Antoniego, chociaż ten się zapierał, że zdecydował o tym Eustachy. Z pewnością nie zrobiłby tego bez zgody dziadka ani nawet nie wyszedł z inicjatywą. Julia zastanawiała się też, czy radził się staruszka w sprawie nowej zimowej wystawy. Wolała jednak wierzyć, że nie, ponieważ w tym przypadku sprawy nie potoczyły się po jej myśli i było jej z tego powodu przykro. Zdążyła zrobić całkiem niezły projekt, niestety, nie miała szans nawet go zaprezentować, ponieważ Hebner niespodziewanie zrezygnował z jej usług.

– Ale przecież umawialiśmy się, że wystaw będzie tyle, ile aniołów. – Usiłowała mu to wyperswadować, zawiedziona niezrozumiałą dla niej decyzją.

– Zgadza się. A w parku zostało ich sześć. Siódmy dawno temu zaginął.

– Dlatego przysługuje mu szczególne traktowanie i wyjątkowa wystawa, na jego cześć. – Nie ustępowała. – I ta dokładnie taka będzie. Jestem o tym przekonana.

Domyślała się, że nie zachwyciły go dwie poprzednie aranżacje i miał prawo się obawiać, że kolejna będzie jeszcze słabsza. Przewidziała to i tym razem dużo bardziej się postarała. Włożyła mnóstwo pracy i zaangażowania w projekt, więcej niż w te, które robiła równoległe dla innych sklepów i możliwe, że również ich kosztem. Dlatego tak bardzo było jej żal, że nie zostanie zrealizowany. Czowała z tego powodu ogromne rozgoryczenie i powiedziała o tym Hebnerowi.

– Przykro mi, ale nie zmienię zdania. Zresztą pani Karolina już udekorowała wystawę i powinienem docenić również jej trud. Włożyła w to mnóstwo serca. A projekt zdąży pani jeszcze wykorzystać w innym sklepie, więc się nie zmarnuje. Jeśli jest tak dobry, jak pani mówi, z pewnością znajdą się na niego chętni.

– To bez znaczenia, bo i tak im go nie dam – mruknęła z rezygnacją. – Pasuje tylko tu, nigdzie indziej. – Położyła papierową teczkę na stole. – Zostawiam go panu w ramach naszej umowy. Może mimo wszystko zechce go pan kiedyś wykorzystać.

Nim odeszła, po raz ostatni rzuciła okiem na witrynę sklepu, na której obok biokominka, obwieszzonego świątecznymi girlandami i skarpetami, stało żywe drzewko o długich gęstych igłach. Soczyście zielone, choć ledwie widoczne spod ogromnej ilości zabawek – gwiazdek, dzwonków i serduszek uszytych z kolorowych tkanin, bałwanków i bujanych koników z malowanego drewna oraz ręcznie dzierganych śnieżnobiałych aniołków. Nieopodal pysznił się uszaty fotel w kratę. Na jego siedzisku ułożono książki dla dzieci. Grzbiety kilku z nich wydały się Julii znajome, jednak nie podeszła bliżej, żeby przekonać się, czy są jej autorstwa. Wolała nie wiedzieć. Również tego, czy Karolina i jej pracodawca rozpoznali w niej pisarkę, którą już od dawna nie była.

Dlatego postanowiła, że nie będzie więcej zaglądać do Galerii pod Zapomnianym Aniołem, nawet tylko po to, by wracając z parku rozgrzać się kubkiem gorącej czekolady. Wolała nie ryzykować, że usłyszy pytania, na które nie

będzie potrafiła odpowiedzieć.

Tak też uczyniła. Kilka dni później zaskoczył ją niespodziewany esemes od Hebnera. *Sekretarzyk od teraz należy do Pani – pisał. – Przepraszam, że dopiero dziś przekazuję tę wiadomość, ale potrzebowałem trochę czasu, żeby to zrozumieć. Życzę, by służył Pani tak dobrze, jak mojej świętej pamięci babce.*

Podziękowała za ten gest również Antoniemu, który udawał zaskoczonego.

– Odnowię sekretarzyk najlepiej, jak potrafię. Odzyska dawny blask – zapewniała żarliwie, usiłując w ten sposób wyrazić swoją wdzięczność, ponieważ nic innego nie przychodziło jej do głowy.

– Ależ do tego nie potrzeba wcale farb i pędzli, tylko czegoś zupełnie innego – odparł staruszek poważnie. – Zacznie lśnić swoim własnym niepowtarzalnym blaskiem tak, jak kiedyś, gdy siadała przy nim moja Konstancja, jeśli tylko będziesz go używać równie często jak ona. I tak samo traktować.

Dotknęła lekko jego rąk, które splótł przed sobą.

– Będę, obiecuję. Zatrąszczę się o niego najlepiej, jak umiem, i dopilnuję, żeby wszystkie niezapisane dotąd słowa trafiły we właściwe miejsce. A potem zaniosę je do parku i tam wszystkie uwolnię.



22.

---

Zdecydowała, że zaprosi Antoniego do siebie na święta. Przygotuje coś dobrego do jedzenia, może nawet udekoruje świątecznie mieszkanie, ubierze choinkę. I przede wszystkim odnowi sekretarzyk, żeby mógł zobaczyć go w takiej wersji, jaką pewnie zapamiętał, bo obecna mogłaby go przygnębić.

Ucieszył się, gdy mu o tym powiedziała, a nawet zaproponował pomoc w przygotowaniach, jednak jej nie przyjął. Woląca zrobić wszystko sama.

Nie opowiedziała mu też o swoim spotkaniu z matką. To również chciała zrobić w święta. Przede wszystkim dlatego, że na razie nie umiałaby o tym rozmawiać spokojnie. A odnosiła wrażenie, że Antoni owego spokoju bardzo potrzebował.

– Nie wygląda pan ostatnio za dobrze – powiedziała zgodnie z prawdą, bo coraz częściej zastawała mężczyznę w jego pokoju, zamiast w świetlicy, gdzie wcześniej spędzał większość czasu, dokarmiając ptaki.

Zwykle drzemał w fotelu z okularami zsuniętymi na czubek nosa, chociaż za każdym razem upierał się, że właśnie czyta. Jednak zakładka w jego książce prawie nie zmieniała pozycji, więc czytanie mogło być tylko pretekstem do odpoczynku bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń. Julii, personelu ośrodka i pewnie wnuka. Julia przez chwilę rozważała podzielenie się z panem Eustachym swoimi spostrzeżeniami, ale po namyśle zrezygnowała. Nie tylko dlatego, że nadal nie wtrącała się w sprawy między nim a dziadkiem. Myśl, że na wystawie sklepu mogły być jej książki, powstrzymywała ją przed kontaktem z jego właścicielem. Dlatego za każdym razem, gdy odwiedzała park, nadkładała drogi, ale omijała Galerię z daleka.

– Zaniósł tam moją powieść. – Dokończyła rozpoczętą w głowie myśl, poprawiając pled na kolanach staruszka. – Do parku – dodała szybko. – I przeczytałam.

Nie skomentował, ale w jego oczach pojawiło się pytanie. Wiedziała, jakiej oczekuje odpowiedzi, i właśnie dlatego długo milczała, zanim jej wreszcie udzieliła.

– Miałam wrażenie, że napisał ją ktoś obcy, nie ja – powiedziała wreszcie. – Zupełnie jakbym czytała ją po raz pierwszy w życiu.

– Ale spodobała ci się, tak? – Nadal patrzył na nią wyczekująco, jednocześnie szukając w jej twarzy potwierdzenia.

Znów zamilkła. Przygryzała nerwowo wewnętrzne strony policzków.

– Przeraziła mnie. Nie wiem, co mam o tym myśleć.

Poruszył się niespokojnie w fotelu.

– Może powinnaś ją komuś pokazać?

– Nie pisałam jej po to, żeby inni mogli ją czytać. – Obruszyła się lekko.

Dotąd sądziła, że Antoni to rozumie.

– Wiem, po co ją pisałaś. – Uspokoił ją gestem. – Dlatego może byłoby dobrze, żeby ktoś sprawdził, czy ostatecznie ci się udało... – zająknął się. – Czy osiągnęłaś wreszcie swój cel?

– Ma pan na myśli terapeutę? Psychiatrę, który oceni, czy z moją głową wszystko w porządku?

Czuła się niemile zaskoczona jego sugestią. Tym bardziej że już kiedyś przez to przechodziła. Wielogodzinne rozmowy, które tylko pogłębiły jej zły stan. Podobnie jak przyjmowane zbyt pochopnie leki, które w końcu sama zdecydowała się odstawić.

Mężczyzna wolno skinął głową.

– Mam na myśli po prostu kogoś, kto może ci pomóc.

– W takim razie to pan powinien ją przeczytać – powiedziała niespodziewanie, również dla siebie.

Pomysł zjawił się w jej głowie nagle i wyartykułowała go, zanim

zastanowiła się, czy jest dobry. Chwila namysłu upewniła ją, że tak.

Antoni przyglądał jej się w napięciu, jakby również sprawdzał, czy jej słowa nie przeczą myślom.

– Zrobię to, jeśli naprawdę tego chcesz – odparł, gdy wreszcie uwierzył, że Julia nie rzuciła propozycji zbyt lekkomyślnie i teraz tego nie żałuje.

– Chcę – powiedziała tym razem zdecydowanie.

Od razu zostawiła mu wydruk, ten, który czytała wcześniej w parku. A potem wyszła.

Kiedy znalazła się na zewnątrz, ledwie opanowała chęć, by zagarnąć w dłoń trochę śniegu i schłodzić nim płonące policzki. Nie żałowała swojej decyzji, a mimo to była przerażona. Bała się reakcji Antoniego, tego, że zostanie oceniona. Nie powieść, ale właśnie Julia i jej przeszłość. Zastanawiała się, czy znajdzie w sobie siłę, by kiedyś wrócić do Domu pod Dobrym Aniołem i stawić temu czoła. Miała sporo czasu na przygotowanie się do tego trudnego momentu, bo powieść posiadała wiele stron, jednak to wcale nie dodawało jej otuchy. Łudziła się jedynie, że zdąży okrzepnąć w niej chociaż część emocji, zanim wreszcie usłyszy wyrok.

By o tym nie myśleć, postanowiła skupić się na przygotowaniach do świąt, skoro zaprosiła gościa. Niestety, na samo wspomnienie świątecznych stroików, choinek i lampek poczuła niemiły dreszcz i bolesne ukłucie w okolicy serca. Już dawno nauczyła się tolerować ich wszechobecność i traktować z możliwie spokojnym chłodem, tyle że wychodziło jej to dobrze wtedy, gdy wiązały się wyłącznie z pracą. W innych okolicznościach najchętniej trzymałaby się od nich z daleka. Tym razem nie mogła sobie na to pozwolić. Musiała wpuścić uprzykrzone błyskotki do swojego bezpiecznego dotąd azylu, a to napawało ją prawdziwym lękiem. Postanowiła jednak się z tym zmierzyć. Nie dla siebie, ale dla Antoniego, żeby nie czuł się samotny, kiedy jego wnuk poleci do Anglii, do rodziców. Odpowiednia, miła atmosfera miała szansę pomóc przetrwać święta. Po cichu liczyła, że również jej.

Mimo że była już bliska pogodzenia się z najbliższą przyszłością, postanowiła przekornie zacząć przygotowania od sekretarzyka, bo to – w przeciwieństwie do kupowania bożonarodzeniowych ozdób – nie budziło w niej niechęci. Wręcz przeciwnie, perspektywa odnowienia leciwego mebla napawała ją entuzjazmem. W sklepie budowlanym znalazła potrzebne narzędzia i preparaty. Kupiła je, starannie omijając wzrokiem kolorowe, mrugające lampkami stoisko w centralnym punkcie marketu. Pragnęła jeszcze choć na chwilę odsunąć to od siebie, nie myśleć o tym, z czym się jej kojarzyły święta Bożego Narodzenia, bo zapomnieć ani nie mogła, ani nie chciała.

W domu od razu zabrała się do pracy. Ustawiła sekretarzyk na środku pokoju i wysunęła szuflady. Najpierw te, które nie stwarzały problemów. Potem zajęła się

ostatnią, wciąż stawiającą opór. Niestety, nadal nie można było jej wyjąć. Julia, coraz bardziej podenerwowana, miała ochotę szarpnąć nią porządnie, kładąc temu kres, ale powstrzymała ją myśl, że stary mebel mógłby tego nie przetrwać. Z zewnątrz wyglądał o wiele lepiej niż w środku, bo dopiero tam widać było kiepski stan źle zabezpieczonego drewna. Nie ulegało wątpliwości, że dalsze przechowywanie go w nieogrzewanym magazynie mogło się źle skończyć. Julia z żalem pomyślała o pozostałych wiekowych meblach, które tam zostały. Wiedziała, że mimo najszczerszych chęci nie znalazłaby dla nich miejsca w swoim małym salonie. Pozostawało mieć nadzieję, że Eustachy Hebner zajmie się nimi w odpowiedni sposób – zadba w końcu o rodzinne pamiątki. Jego wcześniejsze zachowanie i sentyment, jaki do nich żywił, pozwalały wierzyć, że kiedyś to nastąpi.

Domknęła szufladę i ostrożnie położyła sekretarzyk na tylnej ścianie. Zajrzała pod spód, ale nie odkryła niczego, co mogłoby ją blokować. Wysunęła ją ponownie, tym razem bardziej zdecydowanie. Usłyszała krótki dźwięk przypominający odrywanie taśmy klejącej, niestety nic więcej się nie wydarzyło. Spróbowała zajrzeć do środka, przyświecając sobie telefonem, ale otwór był za wąski. Ramię również nie miało szans się tam zmieścić, próbowała już wcześniej.

Jedynym możliwym sposobem wydawało się odkręcenie frontu szuflady, niestety uniemożliwiało to brak śrubokrętu, bo o nim Julia niestety nie pomyślała podczas zakupów. Przyjrzała się jednak uważniej wkrętom i po namyśle przyniosła z łazienki metalowy pilniczek do paznokci. Pasował idealnie! Odłożyła ostrożnie na bok odkręconą część i znów zajrzała do szuflady. Tym razem dostrzegła ciemny kanciasty kształt. Gdy go namacała, okazało się, że jest przyklejony do górnej części wnęki kilkoma paskami nadzwyczaj mocnej taśmy klejącej. Chwilę trwało, nim Julia poradziła sobie z jej usunięciem tak, by nie uszkodzić tajemniczego przedmiotu. W końcu jednak w jej niecierpliwych dłoniach znalazło się podłużne zamszowe pudełko. To ono przez cały czas uniemożliwiało pełne wysunięcie szuflady. I bez wątpienia nie znalazło się tam przypadkiem. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by je ukryć i przymocować tak porządnie, że przez wiele lat nawet nie drgnęło.

Powoli podniosła wieczko i uśmiechnęła się szeroko. Upewniła się tylko, że odgadła, kto był za to odpowiedzialny, zanim jeszcze zajrzała do środka.

Przez chwilę nie oddychała, wpatrując się w odsłoniętą zawartość pudełeczka i krótką dedykację umieszczoną na wewnętrznej stronie wieka. Drżącymi palcami pogładziła aksamitną wyściółkę i dopiero potem podniosła z niej poźółkły rulonik przewiązany błękitną wstążką. Zsunęła ją delikatnie, rozwinęła papier i popatrzyła na dwa pierwsze słowa: *Najdroższemu mężowi...* To wystarczyło, by zrozumieć, że nie powinna czytać dalej. Odłożyła zwitek na miejsce.

Teraz już nie miała wątpliwości, skąd wypadł list Antoniego znaleziony przed rokiem. Musiał być dołączony do pudełka, skoro to w nim znajdowało się spełnienie jego dziecięcych marzeń. Piękne pióro oprawione w srebrną stalówkę i miniaturowy kałamarz z nadal płynnym atramentem były gotowe do użycia – czekały jedynie na swojego właściciela. Julia przypomniała sobie opowieść Antoniego o jego pierwszych świętach bez żony i przełknęła łyzy wzruszenia. Konstancja odeszła nagle, krótko przed Bożym Narodzeniem, zdążyła jednak przygotować dla męża najwspanialszy prezent. Tyle że nie zdążyła mu go wręczyć i tym samym spełnić jego dziecięcego marzenia. W dodatku ukryła pióro tak skutecznie, że nikt go nie znalazł przez kolejne lata. Aż do teraz.

Pióro ze skrzydła anioła.

Julia odważyła się wreszcie wyjąć je z pudełka i dokładnie obejrzeć. Kusilo ją, by zanurzyć stalówkę w atramencie i skreślić choćby tylko kilka słów, ale wiedziała, że nie powinna tego robić. To był przywilej Antoniego i miała zamiar dopilnować, by z niego skorzystał w jedynym właściwym momencie. Postanowiła, że spełni ostatnie życzenie jego żony i położy pióro pod choinką w noc Bożego Narodzenia. Do tego czasu nie będzie go nawet dotykać. Wzdrygnęła się lekko na myśl o bożonarodzeniowym drzewku i innych prezentach nadal opakowanych w ozdobny papier, które nigdy się pod nim nie znalazły.

Odłożyła pióro na miejsce, a potem schowała je do szafy obok małej sterty paczek wyglądających jak gotowe do wręczenia prezenty. Leżały tam prawie od początku, podobnie jak szare pudełko służące do przechowywania zdjęć tych, do których miały kiedyś trafić przechowywane podarunki.

Przez chwilę miała ochotę uchylić tekturowe wieczko i popatrzeć raz jeszcze na ostatnie fotografie, przyniesione przez matkę. Wtedy, w kawiarni, nie obejrzała ich dokładnie lub też takie pozostało w niej wrażenie. To dlatego, że nie przeglądała ich w zaciszu swojego mieszkania. Zrobiła to w obecności Anioła Zatrokanego. Łzy, które zalały wówczas jej oczy, rozmazały ukochane twarze na fotografiach i nie zapamiętała ich tak, jak powinna. Nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, czy widziała na nich uśmiech, czy też tylko to sobie wmawiała, próbując znaleźć pretekst do złamania własnych zasad. Ustanowiła je, gdy matka przysłała jej zdjęcia po raz pierwszy. Te i wszystkie następne Julia postanowiła oglądać tylko jeden raz, w dodatku z poczuciem, że nie zasługuje nawet na tyle. Wzdrygnęła się na tę myśl i energicznie wsunęła wszystkie pudełka w najdalszy zakamarek szafy. Mimowolnie zerknęła ostatni raz na te opakowane, a potem, westchnąwszy ciężko, odwróciła wzrok.

Renowacja biurka zajęła jej trzy dni, w trakcie których nie robiła właściwie nic innego. Pozbawiała je starego lakieru, zabezpieczała przed szkodnikami, wypełniała szpachlą nieliczne ubytki, maskowała rysy, sprawdzała solidność mocowań. Wygładziła drobnoziarnistym papierem ściernym, miękkim pędzlem

naniosiła nową warstwę bejcy, a potem lakieru. Natarła woskiem wszystkie prowadnice szuflad, wypolerowała starannie gałki i błyszczący teraz blat. Nie spieszyła się, nie tylko dlatego, żeby nie popełnić błędu i niechcący czegoś nie zniszczyć. Usiłowała w ten sposób wypełnić czas, jaki zostawiła Antoniemu na czytanie powieści. Nie umówili się na żaden termin, ale postanowiła, że odczeka tydzień i dopiero wtedy odwiedzi Dom pod Dobrym Aniołem.

Sekretarzyk wkrótce był gotowy, więc teraz musiała zająć się czymś na tyle absorbującym, by zagarnęło to również większość jej myśli. Wybierać mogła jedynie spośród styczniowych projektów zamówionych przez najbardziej wytrwałych zleceniodawców, którzy wciąż korzystali z jej usług. Postanowiła, że tym razem nie zawiedzie nie tylko ich, ale również siebie. Zdeterminowana zabrała się do pracy. Pochłonięta planowaniem i sprawdzaniem, czy dostępność rekwizytów nie ogranicza jej coraz zwawiej pracującej wyobraźni, nie usłyszała pukania do drzwi, które złało się z dźwiękiem klawiatury laptopa. Gdy jednak zdała sobie z tego sprawę, przestraszona wy tężyła słuch. Pukanie stało się głośniejsze i bardziej natarczywe. Przez brak wizjera nie mogła podejrzeć, kto się do niej dobija. Po chwili wahania uchyliła ostrożnie drzwi, tylko tyle, by to sprawdzić.

– Julita! – Julia odetchnęła, gdy w progu zobaczyła sąsiadkę, jednak już po chwili pojawił się niepokój.

Dziewczyna nie odwzajemniała uśmiechu i widać było, że jest bardzo zdenerwowana. Miała zaróżowione od mrozu policzki, a na wystającej spod czapki grzywce wciąż skrzyły się płatki śniegu. Była zdyszana, więc pewnie biegła. Julia widząc na jej ramieniu torbę z marionetkami, domyśliła się skąd wraca.

– Przepraszam, że panią niepokoję, ale pomyślałam, że zechce pani wiedzieć – zaczęła niepewnie. – Bo byłam dziś w ośrodku i akurat kiedy miałam wychodzić, przyjechało pogotowie. Na sygnale. Okazało się, że wezwano je do pana Antoniego.

Julia poczuła, jak uginają się pod nią kolana.

– Co z nim? – wydusiła.

– Podobno zasłabł, czymś się wzruszył albo zdenerwował. Tylko tyle udało mi się dowiedzieć. I ponoć nie zgodził się na szpital.

– Jak to, nie zgodził się?

– Zwyczajnie. Powiedział, że nie pojedzie, i już. Starsi ludzie już tak mają. Boją się, że mogą stamtąd nie wrócić.

– Co za bzdura! Powinien już dawno porządnie się przebadać, ostatnio nie czuł się najlepiej.

– Właśnie. Też to zauważyłam. – Julita pokiwała głową. – I wielokrotnie mu mówiłam, że nie może tego ignorować, ale nie chciał mnie słuchać. I proszę, jak to się skończyło. – Westchnęła. – Przyjechał też ten pan, który go zawsze odwiedza,

i sam chciał go zawieźć do lekarza, jak już karetka odjechała. Antoni jakoś go przekonał, że czuje się już dobrze, ale moim zdaniem to był blef. Zmyśla, bo boi się szpitala. I w końcu napyta sobie biedy – podsumowała. – Dlatego pomyślałam, że może pani z nim porozmawia... On się bardzo liczy z pani zdaniem, często panią wspomina, zawsze bardzo ciepło.

Julia uśmiechnęła się mimowolnie. Słowa Julity otuliły przyjemnie jej serce, jak ciepły, miękki koc. Uważała Antoniego za prawdziwego przyjaciela, najlepszego, jakiego kiedykolwiek miała. Nie wątpiła, że i on ją polubił, ale słuchanie o tym z czyichś ust okazało się nadspodziewanie miłe.

– Nie wiem, czy to coś zmieni, skoro nawet wnukowi nie udało się go namówić... – odparła z namysłem. – Ale oczywiście spróbuję. Pojadę do niego zaraz i będę przekonywać do skutku.

Już na dole, kiedy wychodziła z windy, minęła się ze znanym z widzenia mężczyzną z dziewiętego piętra i jego eteryczną narzeczoną. On dźwigał sporych rozmiarów choinkę, ona przytrzymała mu drzwi. Uśmiechnęli się jednocześnie na widok Julii i życzyli jej wesołych świąt – na wszelki wypadek, gdyby do Wigilii już się nie spotkali.

Podziękowała z lekkim roztargnieniem i – zamiast ruszyć w swoją stronę – cofnęła się i wsiadła razem z nimi do windy. Nie zwróciła uwagi, że przez choinkę ledwie się tam mieści, a świerkowe igielki wystające z siatki z pewnością kłują boleśnie mężczyznę, który tulił do siebie drzewko, by zrobić Julii miejsce.

– Zapomniałam o czymś ważnym, a bardzo się spieszę – wymamrotała zmieszana, wyjaśniając swoje nietypowe zachowanie.

Nagle przyszło jej do głowy, że powinna zabrać ze sobą pióro. Już teraz, mimo że planowała położyć je pod choinką. Do świąt zostało zaledwie kilka dni, ale ona przestraszyła się, że może ich nie wystarczyć. Że Antoniemu, tak jak kiedyś jego żonie, nie będzie dane przeżyć kolejnej Wigilii. I że już nigdy nie spełni się marzenie małego chłopca tęskniącego do swojej mamy, zapisane tak dawno temu na kartce wyrwanej z zeszytu.

Te myśli zmroziły ją na nowo i zakłuły boleśnie, ale czuła, że nie powinna ich ignorować.

23.

---

Antoni ucieszył się na jej widok jak nigdy wcześniej. Widać było, że nie mógł się jej doczekać. Sprawiał wrażenie, jakby od ostatniego spotkania z Julią w ogóle nie ruszał się z miejsca, był nawet tak samo ubrany. Siedział w ulubionym fotelu, z tą samą książką na kolanach, i starał się trzymać prosto, choć na pewno wiele go to kosztowało. Uśmiech również miał bledszy niż zwykle, mimo że bez wątpienia niewymuszony. Kompletnie opadł z sił i z pewnością byłoby mu wygodniej, gdyby się położył. Ktoś podparł mu głowę złożonym na pół jaśkiem i okrył kolana kocem, pewnie nie zdoławszy namówić go na powrót do łóżka. Ani też na przyjęcie pomocy w ubraniu się i doprowadzeniu do ładu, o czym świadczyły zmierzwione lekko włosy i krzywo zapięta kamizelka. Julię ogromnie rozczulił widok mlecznobiałych i miękkich jak ptasie piórka kosmyków opadających mu na czoło, była świadoma determinacji, z jaką Antoni starał się udowodnić wszystkim wokół i być może też sobie, że czuje się świetnie i nic mu



nie dolega. Jak tylko mógł, ignorował własną niemoc. Uśmiechał się i usiłował żartować, jednak głos miał słaby i drżały mu kąciki ust.

Julia przysunęła sobie taboret i usiadła dostatecznie blisko, by sięgnąć jego dłoni. Próbował odwzajemnić jej uścisk, ale okazało się, że i na to nie starcza mu siły. Udała, że tego nie dostrzega. Czekwała na moment, w którym będzie mogła pokazać mu pudełko z piórem, odnalezione w sekretarzyku. Obawiała się, że związane z tym wzruszenie może mu zaszkodzić i znów rozważała odłożenie tego do świąt. Nagle pomysł, by dać mu pióro wcześniej, i jeszcze bardziej powód, dla którego chciała to zrobić, wydały jej się niedorzeczne. Skrzywiła się mimowolnie, a zdawszy sobie sprawę, że Antoni dostrzegł targające nią rozterki i przyglądał się jej z rosnącym zainteresowaniem, rozglądała się nerwowo, by ukryć ciągle wahanie i poszukać inspiracji do neutralnego tematu rozmowy. W końcu zatrzymała wzrok na odsłoniętym oknie, w dodatku szczerze zaciekawiona. Wcześniej nie zauważyła karmnika ustawionego na zewnętrznym parapecie.

– O! – wykrzyknęła, kiwając w tamtą stronę brodą. – Skąd się tu wziął?

To nie był karmnik kupiony przez nią. Ten był dużo ładniejszy. Przypominał parkową altankę, był okrągły, miał zielony daszek i rzeźbioną balustradkę, a mieszankę ziaren wsypano do specjalnego dozownika, więc nie trzeba było jej uzupełniać na bieżąco.

– Staszek go tu przyniósł po tym, jak zabronili mi przesiadywać w świetlicy. Martwiłem się, że nikt nie będzie dbał o nasz karmnik i ptakom zabraknie pokarmu, więc najpierw zamontował tam taką zmyślną maszynkę jak ta tutaj. A potem domyślił się, że najbardziej brakuje mi widoku ptaszków, dlatego przyniósł drugi karmnik i ustawił tak, żebym go widział nawet stąd. Tylko że na razie jeszcze żaden z tych rozświergotanych huncwotów nie przyleciał. Przyzwyczyli się pewnie, że człowiek im sypie z ręki, i boją się tego ustrojstwa.

– Zobaczymy. – Julia wyjęła z torebki opakowanie z karmą i, uchyliwszy lekko okno, wysypała wszystko na zewnątrz. Część do karmnika, resztę podrzucając wysoko, tak jak to robiła w parku znajoma staruszka.

Uśmiechnął się na ten widok, a zaraz potem obrócił głowę. Podążyła za jego wzrokiem. Na stole, obok kubka z niedopitą herbatą leżał wydruk jej powieści. Znów zerknęła na książkę, którą Antoni trzymał na kolanach. Zakładka już od kilku tygodni tkwiła w tym samym miejscu, więc jej nie czytał. Pewnie nie miał na to siły.

Gdy o tym pomyślała, dotarło do niej, jak wiele oczekiwała od staruszka. Zbyt wiele. Speszyla się i zbeształa w duchu za własną niefrasobliwość. Czytanie z pewnością go męczyło i być może zbierał się, by jej o tym powiedzieć, dlatego postanowiła go wyręczyć. Podeszła do stołu i podniosła z niego wszystkie kartki z powieścią.

– Chyba lepiej będzie, jeśli to zabiorę – powiedziała, zwijając je w rulon. –

To raczej nie jest odpowiedni moment... Może później.

– Tak, tak, właśnie zamierzałem cię o to prosić. Twoja powieść nie powinna tak tutaj leżeć, jest zbyt osobista, mogłaby wpaść w ręce kogoś przypadkowego. Ostatnio sporo obcych się tutaj kręci.

Zamarła z plikiem przyciśniętym do piersi.

– Czy to znaczy, że zaglądał już pan do niej?

– Przeczytałem wszystko. A potem jeszcze raz, tak bardzo mnie poruszyło to, co tam znalazłem.

Zadrzała i przełknęła z trudem nieprzyjemną gorycz, którą nagle poczuła w ustach. Jak mogła być tak samolubna i nierozważna? To była jej wina! Przez nią Antoni się rozchorował. Julita powiedziała, że zasłabł nagle, ponieważ coś go zdenerwowało. Teraz już wiedziała, co. Pewnie staruszek rozmawiał z nią tak spokojnie tylko dlatego, że nie miał siły podnieść głosu i wygarnąć jej wreszcie, co naprawdę o niej myśli. A powinien to zrobić! Przecież właśnie dlatego dała mu do przeczytania tę nieszczęsną powieść. Potrzebowała, by ktoś w końcu powiedział jej w twarz wszystko to, co dotąd bała się usłyszeć z czyichkolwiek ust. Dlatego przecież nieustannie uciekała. To była forma pokuty, jaką sama sobie zadała. Niestety, nie przewidziała, że może dotknąć też kogoś, kto nie był niczemu winien. Po raz kolejny okazała się egoistką i dowiodła, że nie zasługuje na czyjąkolwiek przyjaźń, zwłaszcza Antoniego, który, nieświadom prawdy o jej przeszłości, okazał jej zbyt wiele serca.

– Przepraszam. Teraz widzę, jak straszliwy popełniłam błąd. – Skruszona przysiadła na krześle i ukryła twarz za trzymanym wciąż plikiem. – Tak mi wstyd. Nie powinnam panu tego pokazywać, przecież wiedziałam, że ostatnio nie czuje się pan zbyt dobrze. Mogłam przewidzieć, co się może stać po tym, jak wyjdzie na jaw, kim naprawdę jestem.

– Co masz na myśli? – Był autentycznie zdziwiony. Zrobił nawet ruch, jakby chciał wstać i do niej podejść, ale przecenił swoje siły i opadł bezwładnie na fotel. – Bo chyba nie sądzisz, że zakręciło mi się w głowie po przeczytaniu twojej powieści?

– Przecież to oczywiste. – Przełknęła głośno ślinę. Nadal nie odsłaniała twarzy, czując, jak zaczyna drżeć jej broda. – Miał pan prawo się zdenerwować. Skoro już pan wie, co zrobiłam... – Nie wytrzymała napięcia i załkała cicho.

– Dziecko kochane! – Wyciągnął do niej ramiona, ponagłając, by się zbliżyła, ale ona nadal nie była w stanie ruszyć się z miejsca. – Co ty mówisz? Dziecko!

Jemu również głos się załamał. Julia poderwała się przestraszona. Nie wiedziała, co robić. Marzyła tylko, by uciec jak najdalej, schować swój wstyd i zażenowanie możliwie głęboko nie tylko przed nim, ale przed całym światem, jednak powstrzymywał ją i jednocześnie paraliżował lęk o Antoniego. Nie mogła

dopuszczyć do tego, by znów coś mu się stało. By kolejny raz ktoś przez nią umarł...

Ostania myśl uderzyła ją z potworną siłą i prawie pozbawiła tchu.

– Ja nie chciałam – wyszeptała przez zaciśnięte gardło. – Nie chciałam...

– Podejź. Proszę. – Nadal wyciągał do niej ramiona i widać było, jak wiele wkłada w to wysiłku. Bruzdy na jego twarzy pogłębiły się. Mimo to wydawał się już trochę spokojniejszy. – Usiądź koło mnie – powiedział łagodnie, zupełnie jakby odgadł jej chęć ucieczki i przestraszył się, że nie zdoła jej zatrzymać.

Przycupnęła na krawędzi krzesła, ustawivszy je wcześniej dokładnie naprzeciwko Antoniego, ale tak, by nie mógł jej sięgnąć. Widząc to, opuścił ramiona na podłokietniki fotela, ale zachowując je szeroko otwarte, jakby w nadziei, że Julia zmieni zdanie i poda mu swoje.

– Przepraszam. – Tylko tyle zdołała z siebie wykrztusić.

– Ależ za co ty mnie przepraszasz? Bo chyba nie za to, że się tu u mnie w ogóle zjawiałaś i zaufałaś na tyle, by się ze mną podzielić tym wszystkim. – Wskazał kartki, które Julia położyła sobie na kolanach. – Wiem, ile cię to musiało kosztować.

– Mniej niż pana. Gdybym tylko się pohamowała...

– Wtedy z pewnością nadal dochodziłbym do siebie, może nawet w szpitalnym łóżku, albo już by mnie tu nie było – dokończył za nią i powstrzymał gestem, gdy otworzyła usta, by zaprzeczyć. – To nie przez twoją powieść poczułem się gorzej. Właściwie nie zdążyłem nawet zacząć jej czytać.

– Jak to? – Podniosła na niego zaskoczone spojrzenie.

– To prawda, że się zdenerwowałem, ale nie z twojego powodu. Dowiedziałem się, że... Zresztą teraz to już nieważne. – Machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę. – A potem, kiedy już trochę doszedłem do siebie, chciałem zająć czymś głowę, żeby nie myśleć o tamtym. Sięgnąłem po twoją powieść. I wtedy się zawstydzilem. Bo to, co mnie zdenerwowało do tego stopnia, że trzeba było fatygować lekarzy z pogotowia, okazało się błahe i właściwie głupie w porównaniu z tym, co wyczytałem w twoich zapiskach. Tak głupie, że zrobiło mi się wstyd. To sprawiło, że wyrzuciłem z głowy własne troski, które nagle stały się nieistotne. Chłonałem linijka po linijce, słowo po słowie wszystko to, co odważyłaś się opowiedzieć już nie tylko sobie, ale i mnie.

– Potrzebowałam wyrzucić to z siebie – powiedziała cicho. – Może miałam nadzieję, że w ten sposób pozbędę się wspomnień raz na zawsze i w końcu przestanę mi tak bardzo ciążyć?

– Ale się nie udało. – Bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Zrozumiałam, że to nigdy nie będzie niemożliwe.

– O czymś takim nie da się zapomnieć. – Przytaknął. – Zwłaszcza gdy się to przeżywa wciąż od nowa. A ty tak właśnie robisz, bez przerwy o tym pisząc.

– Dlatego, że to wszystko nie jest takie, jak bym chciała.

– I nigdy nie będzie. Musiałabyś wymazać wiele nie tylko z powieści, ale i ze swojego życia, skoro właśnie je opisujesz.

– To prawda. Wiele bym dała, by tamten wieczór wyglądał inaczej. By tamto nigdy się nie wydarzyło.

– Myślę, że każdy chciałby mieć przynajmniej jedną taką szansę, by cofnąć się w czasie i coś naprawić. Ja również. Ale nie mogę, dlatego staram się nie myśleć, kim byłbym dziś i co bym miał, a czego nie, gdyby kiedyś wszystko potoczyło się inaczej. Jaki to ma sens, skoro niczego nie zmieni?

– Chce pan powiedzieć, że to, co robię, jest zupełnie bez sensu?

– To miało jakiś sens, dopóki układałaś sobie życie na nowo. Jednak już dawno skończyłaś to robić i teraz jedynie przekładasz wszystko z miejsca na miejsce, choć to niczego nie zmienia. Nie będzie już lepiej, dlatego powinnaś zamknąć również szafę.

– Szafę?

W pierwszej chwili sądziła, że chodzi o tę, w której przechowywała pudełko ze zdjęciami.

– Twoją powieść – wyjaśnił. – Ona jest jak ogromna szafa, do której chowasz wszystkie swoje osobiste rzeczy i segregujesz ciągle na wiele różnych sposobów, bo nie wiesz, który jest najlepszy. Niepotrzebnie! Zamknij ją jak najszybciej, bo jeszcze chwila, a zrobisz w niej większy bałagan, niż miałaś na początku.

– Powinnam przestać pisać?

– Powinnaś skończyć ją pisać – powiedział z naciskiem. – Twoja powieść potrzebuje ostatniego rozdziału. Musisz jej go dać.

– To niemożliwe. Nigdy nie będzie ostatniego rozdziału, bo to się nigdy nie skończy. Już zawsze będę musiała żyć z tym, co zrobiłam.

– Żyć, a nie w kółko rozpamiętywać. To naprawdę już niczego nie zmieni, zrozum wreszcie!

– Winnych należy ukarać.

– Tak, jeśli można ich wskazać. A tutaj jedynym winnym jest los. Nie można nikogo karać za jego decyzje.

– Nie karzę nikogo innego poza sobą! – obruszyła się.

– A twoja rodzina? Zostawiłaś ich.

– Dla ich dobra. Beze mnie jest im lepiej.

– Myślisz, że właśnie dlatego matka przysyła ci zdjęcia? Żeby ci to okazać?

– Nie wiem.

Znów zabrakło jej odwagi, by opowiedzieć o spotkaniu z matką. Bo wówczas musiałaby przyznać, że okazało się porażką. Niczego nie zmieniło, a przyniosło tylko cierpienie im obu, zaogniło stare rany. Nie powinna była się z nią widzieć, teraz to rozumiała. Nie żałowała jednak, że nie zadała pytania, które

właśnie postawił jej Antoni. Nie czuła się gotowa, by poznać odpowiedź.

– Dlaczego nie oglądasz tych zdjęć? – Wciąż nie dawał za wygraną.

– Oglądam! – zawołała płaczliwie.

– Ledwie rzucasz na nie okiem, a potem chowasz jak najgłębiej i nigdy więcej nie sięgasz po nie. Tak właśnie napisałaś. Dlaczego? Boisz się, że zobaczysz na nich coś, czego tak naprawdę nie chcesz widzieć? Na przykład dostrzeżesz w twarzach bliskich tęsknotę za tobą?

Albo jak są beze mnie szczęśliwi, pomyślała bezwiednie, jednak nie powiedziała tego głośno. Wówczas z pewnością uwierzyłyby w to i umarłyby ostatnia nadzieja tłąca się w najodleglejszym zakamarku jej podświadomości.

– To tylko zdjęcia. Nie da się z nich wiele wyczytać. Małe fragmenty życia wyrwane z kontekstu.

W którym mnie już nie ma, znów pomyślała o tym, o czym nie odważyła się powiedzieć.

– Kontekst zamknęłaś w pudełku. Na pozostałych fotografiach. Wyjmij je stamtąd. Wszystkie. I poukładaj chronologicznie, od początku... – Urwał i wychylił się, jakby chciał sięgnąć do szafki po swojej prawej stronie. – Mogłabyś otworzyć pierwszą szufladę?

Spełniła prośbę. Wewnątrz znalazła piękny stary album oprawiony w gobelinową tkaninę. Skinął twierdząco głową i wyciągnął rękę, by mu go podała. Z zapartym tchem patrzyła, jak Antoni odsłania pierwszą stronę, spodziewając się rodzinnych fotografii. Ku jej zaskoczeniu okazała się pusta, podobnie jak kolejne. Widać było jedynie kilka małych nacięć, w których pewnie niegdyś znajdowały się zdjęcia. Niezapełnione czarne strony były przedzielone pożółkłymi płatami bibuły, nieco wymiętej, jakby przewracano je mnóstwo razy.

– Proszę. – Antoni zatrzasnął wreszcie okładki i podał jej album. – To mój świąteczny prezent dla ciebie. Wykorzystaj go do uporządkowania swojego życia. Wklej tu wszystkie zdjęcia z pudełka. A potem obejrzyj je sobie powoli i zastanów się, co wyrażają twarze twoich bliskich. Czy ci, których zostawiłaś, jak mówisz, dla ich dobra, są z każdym dniem coraz szczęśliwsi? Bo jeśli tak jest, zapewne to dostrzeżesz. Na każdym kolejnym zdjęciu ich uśmiechy powinny być coraz szersze.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, dlatego opuściła wzrok. Wtedy dostrzegła wytłoczoną na okładce albumu imienną dedykację.

– Nie mogę tego przyjąć – wyszeptwała, gładząc ją delikatnie. – To zbyt cenna pamiątka.

– Tylko wspomnienie, które jest dla mnie tym samym, czym dla ciebie twoja powieść. Przez lata przerzucałem te nieszczęsne puste strony i wyobrażałem sobie kolejne fotografie, którymi mógłbym je zapełnić, gdyby wszystko potoczyło się inaczej. Gdyby moja Tusia tak wcześniej nie odeszła.

– Nie zdążył pan jej go dać – domyśliła się.

Z dedykacji wynikało, że album miał być prezentem świątecznym. Tak jak pióro, które również nigdy nie zostało wręczone.

– Zapakowałem nawet i położyłem pod choinką, ale ona nigdy nie otworzyła prezentu. Nie wkleiła do niego naszych pozostałych wspólnych zdjęć, bo nigdy nie powstały. Dlatego już go nie potrzebuję. Koniec rozpamiętywania. Ty mi to uświadomiłaś. Dziękuję ci za to. Teraz pora, byś sama też to zrozumiała. Dopisz ostatni rozdział powieści i zakończ to wreszcie.

– Nie wiem, jak.

– Może powinnaś spytać o radę anioły z parku? – Uśmiechnął się ciepło. – Pisałaś, że nie raz ci pomogły Zresztą, nie tobie jednej...

Mówiąc to, zerknął za okno, zupełnie jakby park przypomniawszy mu o ptakach. Julia domyślała się, że właśnie z tego powodu lubił je obserwować. Odświeżały wspomnienie o miejscu, które tak kochała jego zmarła żona.

– Nie chcę nadużywać ich uprzejmości – zażartowała, by nie sprowokować zbyt patetycznej atmosfery. – Pewnie mają całą masę podobnych próśb.

– Wierzę, że żadnej nie ignorują – odparł poważnie. – Poproś je, pomogą ci na pewno. Tak jak mnie dawno temu... – Westchnął z nostalgią. Z pewnością znów pomyślał o żonie. – I pamiętaj, że cokolwiek się stanie, nie jesteś sama. – Mrugnął porozumiewawczo, wskazując na siebie. – Gdyby anioły się ociągały, jestem do twojej dyspozycji. Jeśli potrzebowałabyś o tym pogadać czy cokolwiek.

– Dziękuję. – Dotknęła lekko jego dłoni. – Myślę, że najlepiej będzie, jeśli poczekam, aż pan wyzdrowieje, i wtedy wybierzemy się do parku razem. Każdy w swojej sprawie.

Zaprzeczył gwałtownie.

– Ja już znalazłem większość odpowiedzi na moje pytania, reszta jest nieistotna. Anioły nie są mi już potrzebne, przynajmniej po tej stronie. – Zrobił w powietrzu cudzysłów, ignorując jej pełne oburzenia spojrzenie wywołane insynuacją. – Poza tym ich bracia mniejsi są tutaj, ze mną, cały czas. – Wskazał karmnik, do którego jak na zawołanie przyfrunęły właśnie dwa gile o pękających czerwonych brzuskach, zwabione zapewne świeżo wysypanym ziarnem.

Julia na dźwięk ostatnich słów drgnęła i zamrugowała gwałtownie.

– Anielscy bracia mniejsi? – powtórzyła, niepewna, czy się nie przesłyszała.

– O to, to. – Ucieszył się. – Takie miano dla nich wymyśliła najserdeczniejsza przyjaciółka mojej żony. Pola. Wspominałem ci o niej. Zwykle razem chodziły dokarmiać ptactwo i ona tak je nazywała, nigdy inaczej. Konstancji bardzo się to podobało.

Julia zamyśliła się.

– Zostawiały ziarno na dłoni Anioła Zatrokanego, prawda? – Przypomniała sobie, jak jej opowiadał, że jego żona tak robiła.

- Oczywiście! Zawsze na koniec.
- W takim razie ja ją poznałam! Polę.
- Jak to poznałaś?

Julia stropiła się.

– No... Chyba to za dużo powiedziane, bo nawet nie wiedziałam, że tak ma na imię. Ale spotkałam ją parokrotnie w parku, rozmawialiśmy. Za każdym razem mówiła o braciach mniejszych z wielką czułością. No i podrzucała im karmę dokładnie w taki sposób, jaki pan kiedyś opisywał... To musiała być ona!

– Przykro mi, ale to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Ponieważ Pola od wielu lat nie żyje. – Pokiwał głową ze smutkiem. – Ostatni raz widziałem ją na pogrzebie Konstancji. Dziwnie się zachowywała, omal nie zepsuła całej uroczystości. Bardzo się wtedy zdenerwowałem, nie mogłem pojąć, dlaczego mi to zrobiła. Dopiero później dowiedziałem się od jej córki, że już wówczas była chora. Miała, zdaje się, początki Alzheimera. To dlatego wykrzykiwała te wszystkie rzeczy. Do dziś zachodzę w głowę, skąd wiedziała... – Urwał i zamyślił się.

– O czym? Co takiego mówiła?

– Prosiła, żebym odnalazł pióro ze skrzydła anioła. Właściwie nie prosiła, a nalegała. W dodatku bardzo natarczywie. Nie chciałem słuchać, a ona wówczas zaczęła strasznie krzyczeć, jakby ją coś opętało. Błagała, żebym natychmiast zaczął szukać, a potem bym napisał nim list do Tusi, bo ona tam czeka. Nie mam pojęcia, skąd w ogóle wiedziała o tym moim dziecięcym pomysle. Przyznam, że niejednym raz się nad tym zastanawiałem.

Julia, słuchając go, trzymała się za policzki. Długo nie mogła wykrztusić z siebie słowa. Antoni, gdy to zauważył, zamilkł skonsternowany.

– Myślę, że usłyszała o tym od pańskiej żony – wyjaśniła, ledwie powstrzymując otwartą ekscytację.

– Nigdy jej o tym nie wspominałem. Nie sądzę, by wiedziała.

– Ale przecież list był w jej sekretarzyku, stamtąd wypadł. Musiała więc wiedzieć. Poza tym jest coś jeszcze. – Urwała, chcąc pokazać najpierw świadectwo swoich słów, ale Antoni ją ubiegł i bezwiednie nie pozwolił na to, chwytając za ramię.

– To jeszcze nic nie znaczy – zapewniał. – List mógł się tam znaleźć później, już po jej śmierci. Trzymałem w jej biurku różne stare papierzyska, więc pewnie się między nimi zawieruszył, a potem wsunął w jakiś zakamarek i dlatego został przeoczony.

Julia dotknęła pudełka schowanego w torebce, ale jeszcze go nie pokazała. Z troski o zdrowie staruszka wolała zachować ostrożność i przygotować go lepiej na zbyt silne dla niego emocje. Jej samej trudno było się uspokoić. Bezwiednie

zaciskała drugą dłoń na krawędzi albumu, który wciąż trzymała na kolanach.

– Mogłoby tak być, gdyby nie pewien fakt – zaczęła wolno. – Chodzi o sekretarzyk. Postanowiłam wreszcie go odnowić, żeby był piękny jak dawniej, wtedy, kiedy należał do pańskiej żony. Pomyślałam, że może będzie panu miło...

– Dziękuję. Doceniam twój gest, ale nadal nie rozumiem związku...

– Już na początku natknęłam się na coś... – zawahała się krótko – ... niespodziewanego. Początkowo zamierzałam dać to panu dopiero w święta, ale ponieważ wszystko się pozmiało... To znaczy moje zaproszenie jest oczywiście nadal aktualne – dodała szybko. – Tylko musi pan najpierw wydobrzyć i nie wiem, czy to się uda do Wigilii. Dlatego pomyślałam, że już teraz przywiozę tutaj to, co miało znaleźć się pod choinką.

– Ależ po cóż było się tak kłopotać! Nie powinnaś mi robić prezentów. Już samo to, że tu jesteś, całkowicie mi wystarczy – odparł wzruszony, a Julia poczuła ucisk w gardle.

– Tylko że prezent, który mam na myśli, wcale nie będzie ode mnie. – Wyjęła z torebki pudełko. – Czekał na pana bardzo długo, ukryty w sekretarzyku. – Powoli uchylila wieczko i zamilkła, dając Antoniemu czas na oswojenie się z widokiem, który bez wątpienia nim wstrząsnął. – Myślę, że pana żona życzyłaby sobie, żeby pan je wreszcie dostał – powiedziała, nie odrywając od niego wzroku. Wciąż obawiała się o jego zdrowie i nie darowałaby sobie, gdyby coś mu się stało. Mimo to czuła, że nie powinna zwlekać z ujawnieniem znaleziska.

Nie odzywał się długo, trwając w bezruchu. Z niedowierzaniem wpatrywał się w zawartość pudełka, prawie nie oddychał. Wreszcie wyciągnął drżącą dłoń i musnął palcami samą końcówkę pióra, lecz nie odważył się go wydobyć z welurowego zagłębienia. Nie sprawdził też papierowego ruloniku przewiązanego wstążką, a Julia pomyślała, że wolałby to zrobić, gdy zostanie sam. Rozumiała go. Na jego miejscu postąpiłaby podobnie.

– Więc Pola wcale nie zwariowała. – Westchnął. – Wiedziała o tym...

– Pańska żona musiała wtajemniczyć przyjaciółkę w swój plan. A ona robiła, co mogła, by mimo wszystko się powiódł.

– A ja jej nie uwierzyłem – odparł smutno. – I jeszcze byłem na nią zły, powiedziałem jej wówczas tyle przykrych słów. Głupiec ze mnie!

– To nie pańska wina. Skąd mógł pan wiedzieć?

– Powinienem był się domyślić, skojarzyć z tym starym listem. – Poruszył się niespokojnie, jakby zamierzał wstać. – Dlaczego Konstancja nie przyznała się, że go znalazła?

– Cóż, pewnie nie chciała panu zepsuć świątecznej niespodzianki.

– Tak, to do niej podobne. Uwielbiała zaskakiwać. Cała Tusia. – Roztkliwił się i z udawanym roztargnieniem potarł oczy, usiłując to ukryć. – Często robiła mi niespodzianki, no a ta udała jej się jak żadna inna. Pewnie teraz gdzieś tam na



górze zaciera ręce z uciechy.

Julia pokiwała głową. Nie powiedziała jednak głośno tego, co miała na końcu języka. Zazdrościła Antoniemu tak silnej wiary w istnienie jakiejś drugiej strony, gdzie zmarli czekają na tych, którzy nadal żyli, śledząc nieustannie ich każdy krok. Dla niej przyjęcie takiej możliwości rodziło nowy powód do niepokoju. Bierne czekanie często wiązało się z poczuciem osamotnienia i smutku. A tego przecież nikt nie chciał dla najbliższych sobie osób. Dlatego czasem bezpieczniej było wierzyć, że po drugiej stronie nie ma już nic. Również po to, by nie ulec pragnieniu przekroczenia tej niewidzialnej granicy życia i śmierci i przerwania w ten sposób dojmującej tęsknoty. Julia dawniej często o tym myślała. Jeszcze zanim zamknęła się w swojej śnieżnej szklanej kuli. To ona ją ocaliła przed ostatecznym przekroczeniem owej granicy, zza której nie byłoby już powrotu.

Antoni obserwował ją, jakby dostrzegł malującą się w jej oczach niepewność. A potem wziął pudełko i wydobyl z niego pióro. Z ogromną delikatnością, jakby było zrobione z czegoś równie kruchego, jak ulotne wspomnienie dawnych, niespełnionych nigdy marzeń.

– Wyobrażam sobie, jak bardzo pan za nią tęskni – powiedziała prawie szeptem. – To przykre, kiedy po kimś zostaje tylko pustka.

Znów przeniósł na nią badawczy wzrok.

– Nigdy nie jest tak, że nie zostaje już nic. Nie da się przecież odejść do końca, zawsze zostawia się żyjącym jakąś część siebie. Dlatego Konstancja tak naprawdę nigdy nie odeszła. Ci, którzy oddają się życiu bez reszty, nie znikają całkiem, śmierć jest wobec nich bezsilna, przegrywa z ich wolą istnienia. Tacy ludzie zawsze będą z nami, tak jak my z nimi. Ja też będę z tobą, cokolwiek się wydarzy. Pamiętaj.

– Spróbuję – odparła, myśląc jednocześnie, że nie chce kolejnych niespodziewanych zdarzeń. Wolą, by wszystko zostało tak, jak jest.

Pragnęła zapewnić Antoniego, że będzie dobrze, że wkrótce wyzdrowieje, ale nie potrafiła się przemóc. Bała się, że jeśli to zrobi, widmo najgorszego z możliwych zakończeń, o którym w ogóle nie chciała myśleć, stanie się jeszcze bliższe.

Tymczasem jej jedyny przyjaciel uśmiechał się całym sobą i wyglądał na bardzo szczęśliwego.

– Pióro ze skrzydła anioła – wyszeptał, nie kryjąc już wzruszenia. – Oddałbym wszystko za jego magiczną moc, w którą wierzyłem jako dziecko.

– Myślę, że wielu by tego chciało – powiedziała cicho, szykując się do wyjścia.

Włożyła płaszcz, otuliła się szalikiem i przycisnęła do piersi album. Czuła, że powinna zostawić teraz mężczyznę samego, pozwolić mu nacieszyć się odświeżonymi nagle wspomnieniami. Ona zresztą również potrzebowała chwili

samotności, żeby uporządkować własne.

24.

---

Światło wpadające przez okno namalowało na białej ścianie pomarańczową lunę. Na jej tle jak szare ćmy tańczyły cienie rzucone przez wirujące za oknem płatki śniegu. Zimowa zadymka z wymaginowanego kulistego świata Julii przeniosła się do tego realnego.

Julia długo wpatrywała się w ten przedziwny spektakl. Siedziała na podłodze w sypialni, oparta plecami o szafę, gdzie w kilku tekturowych pudełkach ukryła swoje wyrzuty sumienia. Najwięcej w tym, do którego zaglądała w pierwszych dniach każdego miesiąca, by dorzucić kolejne, wypakowane z szarej koperty. Czowała, że już niedługo będzie musiała się z nimi zmierzyć. Wyczekiwała jedynie właściwego momentu, choć w głębi duszy wiedziała, że taki może nigdy nie nadejść. Odwlekała w czasie to, co nieuniknione, wiedząc, że to niczego nie zmieni. Jednak nie przestawała czekać, z mglistą i niezasłużoną nadzieją na cud. Chłonoła resztki otaczającej ją ciszy i spokoju, prawie się nie ruszając, by ich nie

zakłócić. Chociaż jeszcze przez chwilę, zanim wszystko w końcu pęknie i rozsypie się na kawałeczki, których nie da się już zabrać i tym bardziej złożyć na nowo.

Myśląc o tym, wolno przewracała puste czarne strony przedzielone delikatną bibułą. Wsłuchiwała się w ich przyjemny szelest. Nie patrzyła na nie, i tak na niewiele by się to zdało, bo w pokoju panował półmrok. Podobnie jak Antoni, jedynie w myślach wklejała do albumu zdjęcia, które nie miały nigdy powstać. Wyobrażała sobie, co mogłoby się na nich znaleźć, gdyby złośliwy los nie zdecydował inaczej, z bolesną świadomością, że żadna z tych wizji nie miała szansy się ziścić. Mimo to tworzyła w głowie kolejne ujęcia, wtłaczając każde w chmurę własnego cierpienia. Nie broniła się przed nim, było jej to potrzebne jak powietrze, nawet to zbyt lodowate, by wdychać je bez bólu w płucach i krtani. Bo Julia od dawna nie oddychała innym. Królowa Śniegu postanowiła odejść, ale zostawiła po sobie trwałą chłód.

Bezpośrednio po spotkaniu z Antonim Julia udała się do parku i odwiedziła po kolei wszystkie tamtejsze anioły.

Zacząła od tego mogącego pojąć uczucie, do którego najtrudniej jej się było przyznać, nawet tylko przed sobą. Niestety, nie wytrzymała jego pełnego gniewu spojrzenia i uciekła, tłumiąc płacz i wstyd z powodu swojego tchórzostwa. Może właśnie dlatego kolejnym skrzydlatym posłańcom – Rozradowanemu i Rozmarzonemu – nie miała odwagi nawet spojrzeć w twarze? Od dawna nie należeli do jej świata. W przeciwieństwie do Zadumanego i Zasepionego. Ci jednak wyglądali na zbyt zajętych własnymi sprawami, by chcieć z kimkolwiek rozmawiać. Pierwszy, jakby oderwany od rzeczywistości, nieustannie spoglądał w niebo, drugi wbijał smutny wzrok w palce swoich obutych w sandały stóp. Tylko Zatroskany jak zwykle pochylił nad nią swoją głowę. A potem długo milczał, by w końcu zwrócić się do niej głosem Antoniego, nadal pobrzmiwającym jej w głowie.

– Uporządkuj swoje życie. Poukładaj wszystkie zdjęcia. Od początku do końca. I dobrze im się przyjrzyj...

Ale jak miała to zrobić, gdy jej własny początek był w zupełnie innym miejscu, a końca nadal nie знаła? Ten, który rysował się w oddali, mógłby zmienić wszystko, ale niczego by nie naprawił. Więc jaki sens ku niemu podążać?

Zamknęła oczy i przywołała w myślach czytany tysiące razy fragment swojej powieści:

*... nie rozświecał wewnętrznego ani zewnętrznego mroku i nie zaczynał niczego, choć może powinien. Dla niej miał się stać początkiem końca, a niespodziewanie przeobraził się w interludium między „przedtem” a „teraz”, niedostatecznie donośne, by zagłuszyć to, co było wcześniej, jednak wystarczająco intensywne, aby niespokojne i chaotyczne nuty przeniknęły do jej nowego życia.*

Jako jeden z nielicznych, mimo upływu czasu, pozostawał aktualny. Był również jednym z pierwszych, a to oznaczało, że tak naprawdę od tamtej pory nie posunęła się nawet o krok naprzód. Tkwiła w miejscu, nie zdając sobie sprawy z własnej bierności lub też uznając ją za dobrą monetę. Nie chciała w swoim życiu więcej zmian, być może z obawy przed tym, że jeszcze jeden mały krok w przód albo w tył pociągnie ją w przepaść. Teraz Antoni wskazał jej jeszcze inną drogę. Tę, której kres wydawał się najbliższy, choć wciąż tak trudno było go osiągnąć. Jak światełko w długim tunelu. Albo ptasie piórko.

*Twoja powieść potrzebuje ostatniego rozdziału. Musisz jej go dać.* – Znów zabrzmiał jej w uszach jego głos. Jak wtedy, gdy siedziała na parkowej ławce i prosiła o pomoc swojego anioła.

– Cokolwiek zrobię czy napiszę, nigdy już nie będzie lepiej – wyszeptała, podnosząc się z kolan. – Może być tylko gorzej, więc nie mam wiele do stracenia.

Zapaliła światło. Mrużąc odzwyczajone od niego oczy, wymacała w czeluściach szafy pudełko po butach. Wydobyła je w końcu i przez chwilę trzymała na kolanach. W końcu zdecydowanym ruchem obróciła do góry dnem i wytrząsnęła całą zawartość. Zdjęcia rozsypały się po podłodze z cichym szelestem. Uwiecznione na nich cztery pory roku – każda w dwóch lub trzech odsłonach – stworzyły wielobarwny kolaż. Bez chronologii i porządku. Fotografie przemieszały się ze sobą, podobnie jak widoczne na nich twarze – raz zagniewane, innym razem smutne, ale też uśmiechnięte czy wręcz uradowane, a niekiedy dziwnie zamyślane, jakby nieobecne. Julia poczuła, że drgają jej kąciki ust, dotknęła policzków ściągniętych gęsią skórką.

Zupełnie jak oblicza parkowych aniołów, pomyślała bezwiednie.

Walcząc z nagłą sztywnością palców, rozłożyła zdjęcia w szeroki wachlarz, by były lepiej widoczne, i długo błędziła po nich wzrokiem. Wreszcie podniosła ujęcie, którego szukała. Pierwsze, jakie wydobyła z szarej koperty otrzymanej niedługo po tym, gdy powodowana nagłym impulsem skontaktowała się z matką, a potem uległa jej prośbie i udostępniła adres swojej skrzynki pocztowej. Nie zostało opatrzone datą, ale nietrudno było ją odgadnąć. Wystarczyło policzyć świeczki na urodzinowym torcie i spojrzeć na pochyloną nad nim twarzyczkę o pucułowatych, przygotowanych do dmuchania policzkach. Julia pogładziła z czułością ich słodki owal, a potem umieściła zdjęcie na pierwszej stronie albumu. Rozejrzała się za następnym. Jednak tym razem, zamiast trzymać się chronologii, szukała wzrokiem kolejnych tortów i świeczek, przy gaszeniu których nie była obecna. A gdy je odnajdywała, usiłowała odgadnąć wypowiedane pewnie wówczas życzenia.

Zastanawiała się, czy umiałyby je spełnić. Bo dopóki mogła, robiła wszystko, by tak się stało. Urodzinowe życzenia były dla niej tak samo ważne, jak

te spisywane w listach do Świętego Mikołaja, i każde inne. Kiedyś знаła je wszystkie, teraz mogła sobie jedynie wyobrażać, co znajdowało się w paczkach pod choinką albo przy urodzinowym stole, i obserwować znikomy tylko, nieruchomy ułamek rzeczywistej radości obdarowanych, uwieczniony na fotografiach. I myśleć z bólem o tym, że następny taki moment właśnie nadchodził. Już niebawem pod tamtą choinką znów znajdą się prezenty, a ona nie będzie świadkiem momentu ich otwierania.

Nie zauważyła, kiedy zrobiło się jasno i lampa nie była już potrzebna. Album powoli zapełniał się zdjęciami. Każdemu poświęcała tyle samo uwagi, na każde spadło tyle samo łez. Wkładając je do albumu, nie przestawała wyobrażać sobie, jak mógłby wyglądać, gdyby tamtego ranka nie zamknęła za sobą drzwi swojego prawdziwego domu po raz ostatni. Mimo że każda nowa wizja wklęwała się w jej serce jak lodowa igiełka, by pod wpływem jego żaru topnieć i pozostawić po sobie jedynie piekący ból.

Gdy jej oczom ukazała się ostatnia pusta strona, zamarła. Pozostało już tylko jedno zdjęcie. W ciemnoszarych oczach mężczyzny, które wyglądały, jakby wiedział, że patrzy właśnie na nią, malował się żal podszyty cierpieniem i tęsknotą. A nieco głębiej było coś jeszcze. To, co Julia dostrzegła, gdy zajrzała w te oczy po raz pierwszy w życiu, wiele lat temu. Wielką, niegasnącą nawet na ułamek sekundy miłość. Na nikogo innego nie patrzył w ten sposób, nie miała co do tego wątpliwości. To dało jej pewność, że owo spojrzenie było przeznaczone specjalnie dla niej. Wiedział, że Julia zobaczy to zdjęcie, i próbował jej o czymś powiedzieć za jego pośrednictwem, skoro inaczej nie mógł. A ona, zamiast go wysłuchać, włożyła fotografię do pudełka, ledwie rzuciwszy na nią okiem. Tak samo jak wtedy, gdy nieustannie usiłował jej coś tłumaczyć, przekonywać do tego, czego nie chciała zaakceptować, namawiać na niemożliwe, prosić, a wreszcie błagać. Początkowo jedynie zatykała uszy i odwracała głowę. Kiedy to przestało wystarczać, uciekła.

– Przepraszam – wyszeptała, tuląc zdjęcie do mokrego policzka. – Tak bardzo cię przepraszam, kochanie. Was...

Przeszył ją dreszcz, a ból odczuwany dotąd jedynie w piersiach, objął całe ciało. Jednak zamiast cierpienia, przyniósł niespodziewaną ulgę. Miał oczyszczającą moc, jak łzy, które powinny wypłukać z oczu okruch z rozbitego zwierciadła złośliwego czarodzieja, by przestał zniekształcać rzeczywistość. Nie dbała o to, że zalewają jej twarz, nie ocierała ich. Nie broniła się już przed tym, czego i tak nie mogła uniknąć. Mimo że nie wiedziała, czy po kolejnym w jej życiu końcu wszystkiego będzie następny początek. Nie miało to jednak dla niej znaczenia. Czuła się zbyt zmęczona, by cokolwiek zaczynać od nowa. Nie widziała też żadnej stabilnej podstawy, na której mogłaby coś jeszcze wybudować. Ta, którą kiedyś za taką uważała, wciąż chwiała się w posadach i nie dawała nadziei, że to,

co na niej powstanie, przetrwa.

Chwyciła się oburącz za głowę. Rozległ się w niej łoskot, który na moment ją zamroczył. Gdy się ocknęła, zrozumiała, że cały jej świat i wszystko, co wokół siebie z takim mozolem tworzyła przez ostatnie trzy lata, przestało właśnie istnieć. Niewidzialna ochrona zniknęła, a wraz z nią naiwna ułuda.

Śnieżna kula rozprysła się z hukiem na milion kawałków. Symboliczna szklana granica między „przedtem” a „potem” runęła ostatecznie. Stare i nowe życie Julii zlało się w jedno, wręcz jakby w ogóle nie istniały osobno, a ona nigdy nie odcięła się od tego, kim była, zanim odeszła z domu, tego prawdziwego. Przedtem, potem i przede wszystkim teraz. Jej obie rzeczywistości mieszały się jak zdjęcia rozsypane na podłodze. Nie miała siły na zrobienie kolejnych porządków i właściwie nie wiedziała, czy tego chce. Potworne zmęczenie mąciło nie do końca uzasadnioną ulgę. Miała wrażenie, że ktoś nagle zdjął z jej barków ciężar, z którego istnienia wcześniej nie zdawała sobie sprawy ani nie potrafiła opisać, czym tak naprawdę był. W dodatku wytchnienie okazało się pozorne, ponieważ z każdą minutą Julia coraz bardziej opadała z sił.

Spojrzała po raz ostatni na ściskane wciąż w dłoniach zdjęcie, a potem delikatnie włożyła je do albumu. Podniosła go z podłogi i przytuliła do piersi jak coś niewyobrażalnie cennego. Nadal nie wstając z kolan, oparła głowę o krawędź łóżka Czują, jak niewidzialna dłoń przemocą zamyka jej oczy. Nie zamierzała się bronić. Ufnie osunęła się w ramiona Morfeusza, pozwalając mu ukołysać się do snu.

Zanim przybył i rozgościł się na dobre, wyświetlił pod jej powiekami pogmatwany film. Klatka po klatce przesuwwały się pod nimi zdjęcia z albumu, na przemian z zapisanymi stronami powieści.

*Poranna rosa zmieniła się w szadź, która skradła światu kolory. Spowila go szczerlnie mroźną półprzezroczystą bielą, aż stał się monochromatyczny.*

Początek.

I potem ciąg dalszy. Pierwsze zdjęcie, urodzinowe świece, za oknem wiosna.

Lato, jesień, zima, kolejna wiosna, i wszystko od początku. Następne zdjęcia, świece, torty, nierozpakowane prezenty pod choinką. Najukochańsze na świecie twarze na fotografiach i tylko w jej wspomnieniach, spisanych na kartach powieści. Oraz to, czego nie było ani na jednym, ani na drugim, bo tkwiło jedynie w jej umyśle jak lodowa igiełka wbita głęboko przez okrutną Królową Śniegu.

– *Dopisz ostatni rozdział i zakończ to wreszcie!* – Na samym krańcu jej świadomości znów zabrzmiał kojący głos przyjaciela.

– Nie potrafię. – Usłyszała własny szept, a zaraz po nim cichy stukot

klawiatury. Zdrętwiałe palce poruszały się w ich rytm, chociaż wbrew jej woli:

*... było w nim dokładnie siedem głównych alejek. Na początku każdej stał jeden anioł, ale każdy inny, bo też inne miał do spełnienia zadanie.*

– *Potrafisz.* – Głos w głowie brzmiał zbyt stanowczo, by mogła mu się przeciwstawić. – *Pamiętaj, że nie jesteś sama. Poproś o pomoc anioły, pomogą ci. Tak jak mnie kiedyś pomógł ten pierwszy, Rozmiłowany.*

– Ale on dawno temu zaginał. – Załkała tylko w duchu. – A wraz z nim odeszła tancerka, której dzielny żołnierz oddał swoje ołowiane serduszko. Zostało tylko ono, resztę pochłonął ogień...

Myśli lub też pierwsze sny nicowały jej zmęczony umysł. Nie potrafiła ich odgonić albo nie chciała...

– *Nie da się odejść do końca, zawsze zostawia się za sobą jakąś swoją część.* Dlatego Konstancja tak naprawdę nie odeszła. Ci, którzy kochają, nigdy nie znikają. Oni zawsze byli z tobą, tak jak ty z nimi. Ja też tu jestem. *Pamiętaj.*

– Pamiętam.

– *Teraz uporządkuj rozdziały jak zdjęcia i dopisz ten ostatni, a wtedy wszystko się ułoży, zobaczysz, i będzie jak dawniej... To zależy tylko od ciebie...*

Głos Antoniego pobrzmiwający w jej głowie stawał się coraz słabszy, aż w końcu ucichł. Natomiast nieprzerwany stukot klawiszy niespodziewanie zmienił się w ogłuszający łoskot.

Pociąg!

Miarowe kołatanie, którego nie dało się wyłączyć ani zatrzymać, dawno temu wyznaczało początek, ale mogło też być końcem, gdyby tylko odwrócić bieg wydarzeń.

Gdyby...

– Przecież nie mogę tam wrócić! – Tym razem słowa wydobyły się z jej ust.

Otworzyła oczy, tylko na chwilę, ponieważ jasne światło dnia ją oślepiło. Objęła rękami głowę i zasłoniła uszy. Nie mogła zrozumieć, dlaczego stukot nie ustawał, skoro sen minął. Trwała chwilę w otumanieniu, zanim do niej dotarło, że hałas nie jest jego efemeryczną pozostałością. Stukanie było jak najbardziej realne, w dodatku bardzo natarczywe.

Chwilę trwało, zanim wreszcie zorientowała się, skąd dochodzi, jednak wciąż z trudem panowała nad kompletnie zdrętwiałym ciałem i umysłem. W końcu, przytrzymując się ściany, ruszyła do drzwi. Otwierała je niemrawo, zastanawiając się, co skłania młodą sąsiadkę do wizyty o tak wczesnej, jak przypuszczała, porze. Gdy wreszcie uporała się z zamkiem, zamarła w pół słowa, które utraciłszy ważność, uleciało jej z pamięci.

To nie była Julita.



Przed drzwiami stał Eustachy Hebner. Nadal miał uniesione w pogotowiu knykcie, jakby nie zorientował się, że nie musi już pukać.

– Przepraszam – powiedział, zanim Julia zdążyła ponownie się odezwać i tym bardziej porządnie zebrać myśli. – Przepraszam, wiem, że nie powinienem...

– Ale skąd... Tutaj? – wykrztusiła wreszcie, całkiem skołowana.

– Podśluchałem niechcący, jak ta dziewczyna od marionetek przechwalała się, że mieszka obok pani. Zdobyłem jej adres w ośrodku. – Domyślił się dalszej części jej pytania. – I od razu przyjechałem. Naprawdę przepraszam – powtórzył. – Ale nie widziałem innego wyjścia...

Gdy to mówił, zyskała czas, by lepiej mu się przyjrzeć. Również dlatego, że jej oczy przyzwyczały się wreszcie do światła. A wówczas wszystko, co chciała mu powiedzieć, ugrzęzło jej w gardle. Pytania okazały się zbyteczne. Przesunęła się i zrobiła miejsce, dając samym gestem znak, by wszedł. Z ciągłym wahaniem przestąpił jedynie próg i zatrzymał się obok niej.

– Dziadek umarł w nocy – powiedział wreszcie to, co Julia właściwie już wiedziała.

Natomiast jej samej ostatecznie zabrakło jakichkolwiek, nawet tych najbardziej banalnych słów.

25.

---

Światło nadal wydawało się za ostre. Raziło, podobnie jak zbyt jaskrawe kolory podkreślane przez złotawe słoneczne smugi, które od dobrych paru godzin przeszukiwały mieszkanie Julii, docierając do jego najgłębszych zakamarków. Musnęły nawet wieko pustego już pudełka po butach i odbiły się w złotym papierze tych pozostałych – nadal nierozpakowanych, widocznych w niedomkniętych drzwiach szafy.

W każdym kącie rozgościło się nedorzeczne, rozgorączkowane ożywienie. Rozhuśtane błyski kryształków żyrandola, które Julia potrąciła chwilę wcześniej, zdejmując przez głowę przepocony sweter, wzniciły bezsensowną wesołość. W dodatku zachowywały się tak, jakby miały ochotę na więcej.

Rozswawolone promienie słońca niczym spragniony zabawy psiak trącały nieustannie wystające spod koca stopy, dłonie i policzki Julii, niestety nie były w stanie przedrzeć się do jej wnętrza, by rozświetlić panującą tam szarość, zakłócić

bezruch. Były jednak bardzo uparte i nie zaprzestawały prób. Początkowo Julia broniła się przed nimi, kuląc się w przepastnym uszатыm fotelu, w końcu jednak pozwoliła im się rozpanoszyć i tu.

Poddała się, nie opuściła nawet rolet, by ukrócić słoneczną samowolę. Zrozumiała też, że to, co się wokół działo, niczego nie mogło zmienić. Nic nie było w stanie rozproszyć mgły, która otulała w tej chwili jej duszę. Miętko, ale mimo to boleśnie.

Zacisnęła dłonie na książce, którą położyła sobie na kolanach. Nie mogła uwierzyć, że zaledwie dzień wcześniej w dokładnie ten sam sposób trzymał ją Antoni. Ani w to, że jego już nie ma...

– Prosił, żeby pani to przekazać – oznajmił Eustachy Hebner, gdy wydobył z za pazuchy zwyczajną, wygniecioną plastikową torbę. Podał ją Julii. – Wczoraj. Zupełnie jakby przewidział, że nie będzie mógł już zrobić tego sam.

Przełknął głośno ślinę i zamilkł, wpatrując się w Julię ze zboląłym wyrazem twarzy, jakby w oczekiwaniu na choćby słowo otuchy. Ona jednak również milczała, usiłując zebrać myśli i poszukać w głowie fraz, których mogłaby w takiej chwili użyć bez zakłopotania. Bała się jednak odezwać, przewidując drżenie własnego głosu. Starła się opanować, ale nie umiała powstrzymać wewnętrznego dygotu. Dlatego zastygła w bezruchu i napięła wszystkie mięśnie. Hebner wciąż nie spuszczał z niej wzroku. Nadal stali naprzeciwko siebie między kuchnią a salonem, z czego Julia zdała sobie sprawę dopiero, gdy wolnym ramieniem poszukała czegoś, czego mogłaby się przytrzymać, czując nagle dziwną wiotkość w kolanach. Gestem zaprosiła mężczyznę, by usiadł, i z ulgą zajęła miejsce naprzeciwko.

– Nic z tego nie rozumiem – odezwała się w końcu, wciąż przyciskając do piersi szeleszczący pakunek, który bez zastanowienia przyjęła, nie zaglądając nawet do środka. – Dlaczego? Przecież rozmawiałam z nim, twierdził, że czuje się już znacznie lepiej.

– Pozwolił nam w to wierzyć, i personelowi ośrodka też. Myślałem, że to chwilowa niemoc, takie rzeczy już się zdarzały – mówił tak, jakby usiłował przekonać do tego nie ją, ale siebie. A to oznaczało, że mógł czuć się winny. Chwilę później ujawnił bezpośredni powód. – To przeze mnie się zdenerwował, przez ten cholerny wyjazd! – wybuchł tonem przepelnionym goryczą.

– Przecież wiedział, że chce pan spędzić święta z rodzicami. Myślę, że to rozumiał. Nie sądzę, by to miało jakiś wpływ... – Julia usiłowała go uspokoić. Mężczyzna oddychał ciężko i nerwowo luzował krawat.

Podniosła się, by podać mu szklankę wody. Wypił duszkiem, jednak to go nie uspokoiło. Był nawet bardziej podenerwowany. Przez moment wyglądał, jakby zamierzał wstać i wybiec, ale ostatecznie tego nie zrobił. Opadł na oparcie kanapy z wyraźną rezygnacją.

– Chciałem tylko zrobić mu niespodziankę – powiedział cicho, patrząc

gdzieś w bok. – Kupiłem bilety, byłem pewien, że się ucieszy. Kiedyś, dawno temu nawet o tym rozmawialiśmy i wydawał się podekscytowany, więc... Tym razem jednak potwornie się zdenerwował i powiedział, że nigdzie ze mną nie pojedzie.

– Zamierzał pan zabrać go do Londynu? – Była zdumiona tym, co usłyszała.

Nie dowierzała, jak mógł wpaść na coś tak niedorzecznego. To było bardzo nieodpowiedzialne. Taka podróż była według niej czymś nie do pomyślenia przede wszystkim ze względu na zły stan zdrowia staruszka. Od początku wiedziała o jego problemach z sercem, uświadomiona właśnie przez wnuka, gdy po raz pierwszy poprosiła go o umożliwienie spotkania z dziadkiem. Nie pozwolił jej, tłumacząc to jego problemami zdrowotnymi. Dlatego nie mogła uwierzyć, że sam je zignorował i podjął za jego plecami tak ryzykowną decyzję. Jednak, z drugiej strony, coś jej podpowiadało, że gwałtowna odmowa Antoniego nie miała najmniejszego związku z troską o własne zdrowie. To było do niego niepodobne. Przyczyna musiała leżeć gdzie indziej. Jednak ani Julia, ani Hebner nie mieli już szansy na rozwikłanie tej tajemnicy.

– Planowałem to od dawna. Zacząłem jeszcze wtedy, gdy dziadek czuł się znacznie lepiej. – Usprawiedliwiał się, zupełnie jakby przejrzał jej myśli albo prawidłowo zinterpretował wyraz twarzy, którego nie zdołała ukryć. – Uznałem, że święta to najlepszy czas na takie sprawy, przy wigilijnym stole łatwiej jest się pojednać, zapomnieć o dawnych urazach... – Zamilkł na chwilę, marszcząc brwi, jakby się nad czymś zastanawiał. – Mój ojciec... On też ostatnio nie czuł się najlepiej, mama nieustannie się o niego martwiła, bo bardzo dziwnie się zachowywał. Zaczął nagle wspominać dziadka przy byle okazji, pytać o niego, jak nigdy wcześniej. Widziałem, że gryzie się tym, co między nimi zaszło. Zresztą w nich obu jakby coś nagle pękło, tylko żaden nie umiał zdobyć się na ten pierwszy krok. Dlatego postanowiłem im w tym pomóc. Nawet nie podejrzewałem, że to tak bardzo zdenerwuje dziadka. Do teraz nie mam pojęcia, co się właściwie stało, dlaczego zareagował tak emocjonalnie. Powiedziałem mu o wszystkim, a potem trzeba było wezwać pogotowie... – Opuścił głowę i wbił wzrok we własne buty. – Po tym, jak go zostawiłem samego i, jakby tego było mało, nazwałem na koniec starym uparciuchem – dodał z goryczą.

– Nie mógł pan przewidzieć, że tak to się skończy – powiedziała cicho. Nie zdobyła się jednak na nic więcej.

Mimo że jej samej trudno było go nie obwiniać, poczuła się w obowiązku podnieść go na duchu. Głównie ze względu na Antoniego. Wiedziała, że życzyłyby sobie tego. Eustachy Hebner był jego jedynym i z pewnością ukochanym wnukiem.

– Ależ oczywiście, że mogłem przewidzieć – zaprotestował nerwowo. – Wiedziałem, że ma chore serce. Powinienem o tym pamiętać i powiedzieć o wszystkim najpierw ojcu. Wtedy przyjechałby wcześniej i może wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Czy to znaczy, że pański ojciec nie zdążył...?

Nie wiedziała, jak ma o to spytać, by nie zabrzmiało trywialnie, dlatego zamilkła z nadzieją, że Hebner mimo wszystko odpowie przecząco.

– Zdążył, w pewnym sensie... – urwał i zaczął przeszukiwać kieszenie. W końcu wydobyl z przewieszzonego przez oparcie kanapy płaszcz a telefon i z roztargnieniem przeglądał chwilę jego zawartość. – Spotkali się, ale nie udało się doprowadzić wszystkiego do końca – powiedział i podał Julii telefon. Zobaczyła niezbyt wyraźne zdjęcie. Przez słońce, które jakby złośliwie padało wprost na wyświetlacz, nie od razu rozpoznała, co na nim jest. Odchyliła się i przysłoniła telefon dłonią, a potem wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Czy... Czy to jest...? – Podniosła na mężczyznę zaskoczony wzrok.

Skinął wolno głową.

– Okazało się, że cały ten czas był niedaleko, zaledwie kilkanaście kilometrów od swojego dawnego miejsca, na szczęście nienaruszony i właściwie lepiej zadbany niż jego parkowi bracia. Teraz jest tam biblioteka, ale wcześniej dworek zajmował jakiś ważny urzędnik państwowy. Podobno zażyczył sobie posąg anioła do przyozdobienia ogrodu.

– Jak się pan tego dowiedział?

– Mój ojciec był przy tym, jak zabierano figurę, i pamiętał nazwisko osoby, która to nadzorowała. Przyznał mi się do tego niedawno i nawet pomógł odnaleźć owego człowieka. Udało nam się to całkiem szybko, ale i tak nie zdążyliśmy na czas.

– Nie rozumiem! – Mimowolnie podniosła głos. – Przecież Antoni tak bardzo żałował, że go zabrano! Anioł Rozmiłowany przypominał mu o ukochanej żonie. To przy nim się poznali, a może nawet dzięki niemu. Pański ojciec musiał o tym wiedzieć! Dlaczego więc tak długo powstrzymywał się przed wyjawianiem prawdy? Dlaczego nie pomógł odnaleźć anioła wcześniej?!

– Myślę, że właśnie z tego powodu, który pani wymieniła. – Mężczyzna uśmiechnął się smutno. – Chciał w ten sposób ukarać ojca za krzywdy, jakich rzekomo zaznał od niego i babci. A kiedy zrozumiał, że to, co robi, jest złe, było już za późno.

– Czy to znaczy, że pański dziadek nie poznał prawdy o swoim aniele przed... odejściem?

Hebner rozłożył bezradnie ręce. Na jego twarzy malował się bezgraniczny smutek. Julii zrobiło się go żal.

– Nie mogliśmy go tam zabrać. – Westchnął. – Dziadek, co prawda, gotów był zerwać się ze szpitalnego łóżka i jechać tam natychmiast, ale lekarz mu na to nie pozwolił, mówił, że to może się dla niego źle skończyć. Wiedzieliśmy, że nie przesadza, kiedy pokazał nam wyniki i wyjaśnił, w jak złym stanie jest serce dziadka. Niestety, on nie chciał nikogo słuchać. Tłumaczyliśmy mu, że to dla jego

dobra, że zabierzemy go tam, jak tylko dojdzie do siebie, ale on nie ustępował. Denerwował się coraz bardziej i bez przerwy powtarzał, że nic mu nie jest. Kiedy myśleliśmy, że udało nam się go uspokoić, zaczął nagle majaczyć. Mówił różne dziwne rzeczy, wołał babcię Konstancję, potem chyba wydało mu się, że mój tata znów jest małym chłopcem. Ze łzami w oczach zapewniał, że razem z babcią już zawsze będą się nim opiekować i czytać najpiękniejsze bajki na dobranoc, że nigdy nie pozwoli, by był sam. A potem poprosił, by powiedzieć o tym pani.

– Jak to... Mnie? – zdumiała się.

– Też tego nie rozumiem. – Mężczyzna potarł wierzchem dłoni skroń. – Ale wyraźnie wymienił pani imię. Wspominał też coś o anielskich piórach, myślę jednak, że chodziło mu o to, żeby nie zapomniał pani oddać tego. – Wskazał brodą pakunek, który Julia wciąż trzymała na kolanach. – Gęsie pióro do pisania atramentem.

Julia dopiero wówczas zdała sobie sprawę, że nadal tuli do siebie foliową torbę, którą Hebner wręczył jej na początku. Powoli zajrzała do środka.

– Pióro ze skrzydła anioła – wyszeptwała. – Ale dlaczego dał je mnie? Nie rozumiem.

– Dziadek prosił, żeby pani koniecznie coś dokończyła, i że ono jest pani właśnie do tego potrzebne. To też powtarzał wielokrotnie, jeszcze gdy był całkiem świadomy. Nie wyjaśnił niczego dokładnie, jednak widać było, że bardzo mu na tym zależy. Mam nadzieję, że rozumie pani, co miał na myśli. – Zamilkł na chwilę, jakby oczekiwał, że Julia mu to wyjaśni. Nie zrobiła tego jednak, właśnie dlatego, że od razu domyśliła się, o co naprawdę poprosił Antoni. – Dał mi je wczoraj razem z książką, jeszcze zanim pojechaliśmy do szpitala.

Wsunęła dłoń do torby i wydobyła z niej książkę obłożoną w zwykły szary papier. Zakładka tkwiła dokładnie w tam, gdzie widziała ją ostatnio. W pierwszym odruchu chciała sprawdzić, co zaznacza, ale coś ją przed tym powstrzymało. Zamiast tego odkryła stronę tytułową.

– Wiersze? – Zdumiała się mimowolnie.

– Dziadek prawie nigdy nie rozstawał się z tym tomikiem. Był podobno ostatnim prezentem, jaki dostał od babci.

Zaprzeczyła gwałtownie.

– Nieprawda. Ostatnim było pióro – powiedziała, zanim zdążyła się zastanowić, czy powinna.

Widząc zdziwienie w oczach mężczyzny, opowiedziała, jak znalazła list, a potem pudełko w piórem i dedykacją od Konstancji. Kiwał głową, mocno poruszony, na szczęście nie skomentował jej zachowania, być może dlatego, że sama przyznała się do błędu i przeprosiła, że nie wspomniała mu o wszystkim wcześniej, jak tylko znalazła w sekretarzyku list. Słuchając wyjaśnień, machnął tylko ręką na znak, że to nie jest dla niego w takiej chwili ważne.

– Czy mógłbym jeszcze raz je obejrzyć? – zapytał, wyciągając niepewnie rękę.

– Oczywiście. – Skwapliwie spełniła jego prośbę i podała mu pudełko, wahając się jedynie chwilę, czy nie zrobić tego samego z książką. – Właściwie powinno należeć do pana. To przecież cenna, rodzinna pamiątka.

– Wykluczone – odparł i zdecydowanym gestem oddał jej pióro, ledwie rzuciwszy na nie okiem. – Nie powinniśmy się sprzeciwiać woli dziadka. Wierzę, że miał ważny powód, by przekazać je właśnie pani.

Julia skinęła głową, jednak po chwili zastanowienia wyjęła z pudełka mały papierowy rulonik przewiązany wstążką.

– Wobec tego proszę zachować chociaż to.

Niepewnie rozwinął papier. Wodził po nim wzrokiem przez bardzo długą chwilę, czytając wielokrotnie. W końcu podniósł na Julię szkliste spojrzenie.

– Dziękuję – powiedział lekko zdławionym głosem i jednocześnie sięgnął po swój płaszcz. – Pójdę już. Ojciec na mnie czeka. I muszę przecież zająć się... wszystkim.

Skinęła głową i, odprowadziwszy go do drzwi, poprosiła, by powiadomił ją o terminie pogrzebu.

Po jego wyjściu natychmiast podniosła z fotela pozostawiony tam tomik, ale nie od razu zajrzała na stronę z zakładką. Poczowała dziwne klucie w piersiach i usłyszała własny puls. Nagle zyskała pewność, że już za chwilę odkryje klucz do tego, co naprawdę chciał jej przekazać Antoni. Długo siedziała w fotelu, zaciskając dłonie na książce. W końcu wsunęła palce między zaznaczone stronicę i ostrożnie je rozchyliła. Wzięła głęboki oddech i przeczytała na głos tylko pierwszą zwrotkę zamieszczonego tam wiersza.

*Po życiu pełnym bezsensu i rozpacz,  
Zmieniony ręką boską w srebrnego anioła,  
W noc, która gwiazdą betlejemską straszy,  
Człowiek pewien przyfrunął tam, gdzie Dziecko woła[2].*

Następnej nie dała rady przeczytać. Jej ciałem wstrząsnął spazmatyczny szloch.

[2] Fragment wiersza Czesława Miłosza pt. *Baśń wigilijna*.

26.

---

Wolno zamknęła laptopa, ale nie wstała zza biurka, skrępowana dziwnym odrętwieniem. Zastanawiała się, co właściwie powinna czuć, gdyby tylko umiała się na to zdobyć, gdyby odnalazła w sobie siłę.

Kiedyś w podobnych momentach ogarniała ją głównie euforia. Pozostałe wrażenia były zmienne i często sprzeczne. Radość, ulga i podekscytowanie mieszały się z niepokojem i napięciem powodowanym brakiem pewności, czy podołała zadaniu. Czy sprostała cudzym wyobrażeniom, czy jedynie własnym? Bo nawet jeśli sama była przekonana, że ostatnia kropka w powieści była tą, którą stawia się również nad „i”, i w ten sposób wieńczy subiektywnie doskonale dzieło, to jej wydawca, a potem czytelnicy mogli mieć na ten temat zupełnie inne zdanie.

Tym razem nie istniał żaden wydawca ani czytelnicy. Była tylko ona i ostatni rozdział powieści, pisany niemal bez odrywania rąk od klawiatury komputera, niczym w transie. Nie było też euforii ani żadnego innego równie wyrazistego



uczucia. Wszystkie zostały zblendowane w umyśle i sercu Julii na jednolitą papkę, a kilka dorzuconych nieświadomie i dlatego nieznanymi składnikami spowodowało, że niemożliwe stało się rozpoznanie i nazwanie tych oczywistych. Być może stąd wziął się stan odrętwienia – pustka granicząca z wyjałowieniem. Jej wnętrzu stało się prawie sterylne, wolne od wcześniejszych zanieczyszczeń.

– Udało się – wyszeptała, patrząc na gruby plik kartek, nadal tkwiący w drukarce. – W końcu się tego pozbyłam. Naprawdę. Wyzwoliłam się z wszystkich niechcianych słów i myśli.

Wciąż nie była pewna, co to właściwie dla niej oznacza, ale nie szukała odpowiedzi. Postanowiła poczekać, aż pojawi się sama. Jak impuls, który nakazał jej usiąść przy sekretarzyku Konstancji i położyć dłonie na klawiaturze komputera.

Myśląc o tym, przeniosła wzrok na otwarte welurowe pudełko, które położyła przed sobą, zanim zaczęła pisać. Dopiero teraz wzięła do ręki pióro i długo obracała w palcach, łaskocząc sobie policzek i usta jego miękką jak aksamit lotką. Potem otworzyła delikatnie kałamarz i zanurzyła w nim czubek srebrnej stalówki. Przyglądała się ze zmarszczonym czołem małej czarnej kropli, dopóki nie odkleiła się od końcówki pióra, by opaść w ciemną atramentową toń. Potem zrobiła to jeszcze raz, i kolejny.

W końcu odłożyła pióro, opierając je o krawędź pudełka. Wysunęła pierwszą szufladę sekretarzyka i wydobyła z niej błękitną papeterię. Papier przyjemnie zaszeleścił, gdy przesunęła po nim dłonią, żeby go wygładzić. Znowu zanurzyła pióro w atramencie i – bez żadnej próby – nakreśliła pierwsze litery na górze błękitnej strony. Dmuchnęła lekko, by przeschnęły, i zagryzła usta, patrząc na nagłówki.

Kolejne zdanie wyszło spod jej ręki samo, jakby bez udziału świadomości. Potem następne. Słowa płynęły z najgłębszych zakamarków jej duszy, a ona dziwiła się, że jest ich aż tyle. Same piękne, ze skrzydłami, jak anioły, spływały na błękitny papier łagodnie, by zostawić na nim swój świetlisty ślad, a potem wracały tam, skąd przybyły, jakby wiedziały, że mogą być jeszcze potrzebne. Julia chowała je w sobie niczym najcenniejszy skarb. Pisała prawie bez wytchnienia, pochylona nad kartką, przerywając tylko po to, by zamoczyć stalówkę albo otrzeć z policzków łzy, tym razem ulgi i wzruszenia. Nie wszystkie jednak udało jej się pochwycić. Niektóre sturlały się pomiędzy zapisane słowa, czyniąc je jeszcze piękniejszymi.

Poczekala aż obeschną – zarówno te na papierze, jak i na twarzy. Dopiero wtedy złożyła ostrożnie list i wsunęła do koperty, na której wykaligrafowała adres:

*Niebo.*

Pod nim umieściła imię, którego do niedawna nie miała odwagi przywołać nawet w myślach.

Wcześniejsza niepewność uleciała wraz z ostatnią niepotrzebną refleksją.

Julia nie miała już wątpliwości, co powinna zrobić, i nie zamierzała z tym

zwlekać. Zdecydowanym gestem wyjęła z drukarki plik. Spojrzała na pierwszą stronę, na której teraz widniał tytuł – jedyny, jaki mogła nadać swojej bezimiennej dotąd powieści: *Aleja Siódmego Anioła*. Pod nim w roli motta znalazła swoje miejsce pierwsza strofa wiersza, który zaznaczył w swoim tomiku Antoni.

Julia zwinęła kartki w rulon i przewiązała tasiemką wyjętą z papeterii. Wraz z listem wsunęła je do torebki przyniesionej z przedpokoju. Rozejrzała się z nieodpartym poczuciem, że o czymś zapomniała i nie zrobiła jeszcze wszystkiego. Wtedy jej wzrok padł na najniższą szufladę sekretarzyka, tę, w której schowała baśnie Andersena подарowane jej przed paroma miesiącami przez Eustachego Hebnera.

Otworzyła ją. Przez chwilę przyglądała się saniom Królowej Śniegu umykającym w ciemność. Podniosła książkę i przerzuciła szybko kilka kolejnych stron, zatrzymując się tylko raz, przy ilustracji do bajki o dzielnym ołowianym żołnierzyku. Na jego widok uśmiechnęła się lekko i pogładziła wiotką postać ślicznej tancerki, która spoglądała na zakochanego w niej młodzieńca z okna wspaniałego pałacu.

– Mam dla was całkiem nowe zadanie – powiedziała, zamykając książkę, po czym spakowała ją do torebki. – Ktoś inny czeka na swoje ulubione bajki i potrzebuje ich o wiele bardziej niż ja.

Ubrała się szybko i bez wahania zamknęła za sobą drzwi. Zamiast czekać na windę, zbiegła po schodach z irracjonalnym przekonaniem, że tak będzie szybciej. Jakby nawet najkrótsza chwila bierności mogło ją niepotrzebnie spowolnić. Poza tym bała się, że jeśli zatrzyma się choćby na moment, wydarzy się coś, z czym nie będzie umiała sobie poradzić, bo powróci wcześniejszy stupor i znów ją obezwładni. Wtedy wszystko poszłoby na marne, a ona nie byłaby już w stanie zrobić tego, o co poprosił ją Antoni.

Nie sprawdziła, kiedy odjeżdża pociąg. To nie miało dla niej znaczenia, skoro zdecydowała się wsiąść do pierwszego, który jechał we właściwą stronę, i było jej wszystko jedno, ile na niego poczeka. Na szczęście nie musiała czekać. Zaraz po zakupieniu biletu weszła do zatłoczonego przedziału i zajęła jedyne wolne miejsce, przy oknie. Od razu zapatrzyła się w nie, by nie napotkać wzroku współpasażerów, z irracjonalnym lękiem, że któryś dostrzeże w jej oczach coś zbyt intymnego, by dzielić się tym z kimkolwiek.

– Żeby tylko opóźnienia nie miał. – Usłyszała czyjś głos tuż obok siebie, ale nie odwróciła się, żeby sprawdzić, do kogo należy. – Nie wyobrażam sobie utknąć gdzieś w polu w taki dzień. – Kobieta, która to mówiła, głośno westchnęła.

W taki dzień? Julia zadrżała w środku. Przecież to był tylko jej dzień! Jeden jedyny, najważniejszy.

– Zdamy. Nawet, jeśli się spóźni. – Tym razem głos należał do mężczyzny. – Do wigilii zostało jeszcze dużo czasu.

Wigilia! Przeszył ją niemiły dreszcz. Jak mogła zapomnieć, że to dziś? Zastanawiała się gorączkowo, czy to cokolwiek zmienia, ale nie potrafiła na to sobie odpowiedzieć. Pomyślała, że może właśnie dlatego nie ma to znaczenia. Patrzyła niewidzącym wzrokiem na przesuwany się za szybą krajobraz, usiłując o tym nie myśleć. Niestety bezskutecznie, ponieważ nie potrafiła znaleźć niczego „zamiast”. Myśli wbrew jej woli błędziły nieustannie wokół świątecznie zastawionych stołów i uroczystych kolacji złożonych z tradycyjnych dwunastu dań. Podróżujący z nią ludzie z pewnością śpieszyli się właśnie dlatego, by podzielić się z bliskimi opłatkiem.

Zamknęła oczy. Pod powiekami jednak nadal migotały kolorowe lampki, które pewnie zapalono już w niemal każdym z mijanych domów. To był ostatni moment na ubranie choinki. Julia wzdrygnęła się mimowolnie. Wspomnienie świątecznego drzewka nagle sprawiło, że przypomniała sobie o prezentach, które zostały w szafie obok pustego pudełka po zdjęciach. Ogarnął ją niepokój. Kupiła je i zapakowała w piękny złoty papier krótko przed pierwszymi świętami spędzonymi samotnie, ale nigdy ich nie wysłała. I chociaż wiedziała, że już tego nie zrobi, dotąd nie potrafiła się ich pozbyć. Teraz również nie zabrała ich ze sobą, co nie powinno mieć dla niej znaczenia, a mimo to poczuła dziwne ukłucie żalu.

By pozbyć się z głowy niechcianych reminiscencji, usiłowała zasnąć. Miała nadzieję, że wówczas opuści ją poczucie winy spowodowane myślami wybiegającymi o wiele za daleko, w rejony, których przecież nie miała prawa odwiedzać. Niestety. Tkwiące w niej jak lodowa igła zakazane pragnienie wygrało przynajmniej pierwsze starcie. Nie potrafiła mu się oprzeć, mimo to nie przestawała walczyć.

Wśluchiwała się w miarowy stukot pociągu z nadzieją, że ukołysze ją do snu, ale zamiast tego przed oczami przesuwały jej się kolejne wspomnienia – dzień, w którym Julia w podobny sposób i właściwie z tego samego powodu usiłowała odizolować się od zewnętrznego świata, mimo że tak bardzo drżała przed uwięzieniem tylko w tym własnym, sam na sam z potwornym poczuciem winy. Teraz czuła się podobnie, chociaż bała się czegoś zupełnie innego. Przyczyna jej strachu była jednocześnie na początku, jak i na końcu obranej drogi, a ona niebawem miała się z tym zmierzyć – pokonać własną słabość i sprawić, by – zgodnie z pragnieniem Antoniego – ziściło się to, co napisała w ostatnim rozdziale powieści, po tym, jak uporządkowała wszystko. Mimo że wciąż nie wierzyła, że to kiedykolwiek nastąpi, postanowiła właśnie dla niego podpowiedzieć losowi, jak ma poukładać resztę jej życia i w ten sposób spełnić ostatnią prośbę najlepszego przyjaciela. Nawet jeśli plan nie miał szans powodzenia.

Stukot był kojący, ale nadal nie przynosił wyczekiwanych następstw. Julia nie mogła już zatrzymać kołowrotka myśli, który tkął kobierzec wspomnień, zamiarów i intencji o trudnym do przewidzenia, nieuporządkowanym wzorze,

w dodatku zaczynając z niewłaściwej strony.

Czas się obrócił o sto osiemdziesiąt stopni, pomyślała bezwiednie. Wbrew wcześniejszemu przekonaniu, że to nigdy nie będzie możliwe. Koniec stał się początkiem, a początek końcem. Jeden i drugi wyznaczała podróż, której finał trudno było odgadnąć. W dodatku Julia nadal nie była pewna, czy jest na niego gotowa, podczas gdy nie dało się już zawrócić. Pomyślała, że to dobrze, ponieważ wciąż sobie nie ufała. Nie powstrzymałaby się przed skorzystaniem z okazji, gdyby takowa się nadarzyła. Tymczasem powinna doprowadzić wszystko do końca.

Dotknęła torebki, do której włożyła przedmioty, które mogły jej w tym pomóc. Wiedziała już, gdzie zostawi list i baśnie. Natomiast wydruk powieści miał jedynie dodać otuchy i odegrać rolę mapy. Drogę, którą miała przemierzyć, co prawda знаła na pamięć, ale bała się, że towarzyszący jej lęk podstępnie zawiedzie ją na manowce.

Ocknęła się, gdy usłyszała nazwę znajomej stacji. Poderwała się i od razu ruszyła ku wyjściu, mimo że było na to o wiele za wcześnie. Uznała, że tak będzie bezpieczniej.

Wreszcie wysiadła, na lekko miękkich nogach. Na peronie powitali ją tłumnie kolejni ludzie śpieszący się pewnie, by zdążyć na wigilię. Mijali ją obojętnie, potrącając łokciami, gdy zatrzymała się na chwilę dla złapania oddechu. Dopiero po chwili ruszyła ich śladem w stronę strumienia orzeźwiającego chłodnego powietrza, wpadającego do dusznej hali przez otwierane automatycznie drzwi. Chciała jak najszybciej opuścić dworzec przywołujący kolejne wspomnienia. Nie tylko te z dnia, w którym opuszczała go po raz ostatni, ale też inne, jeszcze mniej pożądane, bo radosne, nabrzmiące śmiechem i pełną ekscytacji perspektywą wspólnie spędzonego czasu. Nad morzem, w górach, wszędzie i o każdej porze roku, byle tylko razem.

Kierowca taksówki skinął głową, gdy powiedziała, dokąd chce jechać. Westchnął jedynie, trochę zbyt ostentacyjnie. Pomyślała, że pewnie jak wszyscy w takim dniu wolałby spędzać ostatnie przedświąteczne momenty w otoczeniu najbliższych. Widać to było również w przesadnie nerwowych gestach i słowach szeptanych pod nosem, gdy bezskutecznie usiłował włączyć się do ruchu. Potem, gdy dotarli do celu, już całkiem otwarcie wyraził swoje niezadowolenie, gdy zanim jeszcze wysiadła, poprosiła, by na nią zaczekał.

– Ściemnia się – mruknął. – A w takim miejscu lepiej chyba nie pałętać się po zmroku.

Podala mu stużłotowy banknot i poprosiła o podarowanie jej trzydziestu minut. Nie była pewna, czy tyle wystarczy, ale miała nadzieję, że mężczyzna nie odjedzie, jeśli minie więcej czasu. Wciąż nie wyglądał na zadowolonego, mimo otrzymanego sowitego napiwku. By dodatkowo go nie denerwować, szybkim, zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę cmentarnej bramy. Dopiero gdy znalazła

się poza zasięgiem jego wzroku, zwolniła.

W końcu zatrzymała się przy grobie, na którym paliło się kilka białych zniczy. Dotknęła lekko świerkowej gałązki ozdobionej maleńkimi kolorowymi ozdobami, wsuniętej do granitowego wazonu, pogładziła czarną tablicę. Potem wstrzymała na chwilę oddech i otoczyła zziębniętymi dłońmi owalny porcelanowy medalion, z którego patrzyły na nią zbyt długo nieoglądane oczy.

– Przepraszam – wyszeptała zdławionym głosem. – Tak bardzo cię przepraszam.

Dobrze pamiętała dzień, w którym była tu pierwszy i zarazem ostatni raz. Przywieźli ją prosto ze szpitala. Na pogrzebie nie mogła być, zatem postanowili umożliwić jej ostatnie pożegnanie. Nikt jej wtedy nie spytał, czy tego chce, czy jest na to gotowa. Podobnie jak o wiele innych rzeczy. Jakby wraz z tym, co się stało, straciła prawo do decydowania o sobie. Nie winiła ich jednak za to ani wtedy, ani tym bardziej teraz. Oni również cierpieli, może nawet bardziej niż ona, bo oprócz straszliwej straty musieli nadal obcować z jej sprawczynią. Dlatego postanowiła uwolnić ich chociaż od tego. Niestety nie pomyślała, że w ten sposób odbierze sobie prawo i możliwość odwiedzenia grobu wtedy, gdy sama tego zapragnie, gdy będzie już na to gotowa.

Oderwała dłonie od granitu i porcelany. Starła z policzków zimne już łzy i wyszarpnęła z torebki list, w nerwowym pośpiechu, jakby bała się, że nie zdąży.

– Mam nadzieję, że jest tam blisko ciebie pewien dobry anioł, który ci go przeczyta – powiedziała, kładąc kopertę na nagrobku. – Ma na imię Antoni i obiecał mi, że się tobą zaopiekuje i że już nigdy nie będziesz sam, tam, gdzie teraz obaj jesteście. – Obok listu położyła książkę z baśniami. – Myślę, że będzie wiedział, którą lubiłeś najbardziej.

Kłęcząc na zimnym kamieniu, nadal wpatrywała się w śliczną dziecięcą twarzyczkę na kawałku porcelany, z poczuciem, że jeśli tylko oderwie od niej wzrok, pęknie jej serce. Gdy tylko jej szloch zelżał na tyle, by odblokować gardło, zaczęła całkiem bezwiednie szeptać drugą zwrotkę wiersza, którą zapamiętała, czytając tekst w nieskończoność, by jak najlepiej zrozumieć to, co postanowił przekazać jej za jego pośrednictwem Antoni.

*Rozpościerał szeroko skrzydło nad kołyską,  
A dziecko bawił odbłask na skrzydle odbity.  
Śnieżystą górą dziecku skrzydło się wydało  
I sto różowych na niej potoków igrało[3].*

– Obiecał, że się tobą zaopiekuje i już nie będziesz sam – powtórzyła na koniec.

Kiedy Hebner przekazywał jej ostatnie słowa swojego dziadka, od razu

domyśliła się, że wcale nie były majaczeniem umierającego człowieka. Zawierały jasny przekaz, który miał dotrzeć do Julii i wlać w jej serce upragniony spokój. Antoni wierzył przecież w istnienie aniołów. Nigdy nie powiedział tego wprost, ale Julia widziała tę wiarę w jego oczach za każdym razem, gdy je wspominał.

Drgnęła, słysząc dźwięk klaksonu. Otarła z oczu łzy i popatrzyła niespokojnie w kierunku cmentarnej bramy, ale nie podniosła się z kolan.

– To nic. Zostanę tu, jak długo zechcesz – wyszeptała.

– Ty idź, a ja tu na ciebie zaczekam... – Usłyszała w głowie słowa, które zamiast ulgi wywołały kolejną falę bólu.

– Gdybyś tylko zaczekał. Gdybym... – Znów załkała cicho.

Teraz to już nie miało znaczenia. Czas można było iluzorycznie obrócić, by zatoczył koło, ale nigdy cofnąć. Dziś już wiedziała, że nie powinna wtedy wychodzić z domu ani zabierać małego ze sobą, skoro tak bardzo chciał zostać.

– Stłukłeś moją ulubioną bombkę z aniołkiem. Lepiej, żebyś nie dotykał innych. – Tym razem usłyszała własny głos i w zaciśniętej dłoni poczuła wrywającą się z niej małą rączkę. – Musimy jeszcze przygotować wigilijną kolację. Pomożesz mi, skarbie, prawda? Zrobimy tylko szybciotko zakupy, a kiedy wrócimy, choinka będzie ubrana. Wtedy zobaczysz, jaka jest piękna.

Nie wrócili, a on już nigdy nie zobaczył zaledwie drugiego w swoim życiu przybranego świątecznie drzewka. Dźwięk tłukącej się bombki z brokatowym aniołkiem przez wiele kolejnych miesięcy mieszał się w jej głowie z jego płaczem, czuła opór malutkiego ciała, gdy siłą zapinała je w foteliku. Wszystko z czasem mijało, ale tylko po to, by ustąpić miejsca innym koszmarom, a potem powrócić ze zdwojoną siłą.

– Tak bardzo cię kocham, syneczku...

Wzdrygnęła się, gdy znów usłyszała klakson, a mimo to jeszcze mocniej przywarła kolanami do nagrobka. Kolejny, tym razem dłuższy i jeszcze bardziej natarczywy dźwięk – wyjątkowo rażący w miejscu, gdzie miał czelność się roznieść – spowodował, że w końcu wstała. Nie mogła dopuścić, by cokolwiek zakłócało spokój i ciszę, które teraz powinny otaczać jej zmarłe dziecko. Była mu to winna.

Powoli docierało też do niej, że taksówkarz lada moment odjedzie i zostawi ją tu samą. Przez chwilę myślała, że tak byłoby lepiej, ale zaraz potem znów przypomniała sobie, co obiecała Antoniemu. Mimo to ku cmentarnej bramie ruszyła nieśpiesznie, usiłując mimowolnie skusić los, by zdecydował za nią. Niestety, nie udało się jej. Zdażyła.

– Dokąd teraz? – spytał mężczyzna, ruszając z piskiem opon, gdy tylko zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Na dworzec – wychrypiała i skuliła się na tylnym siedzeniu, bo wypowiedziane automatycznie słowa boleśnie zakłuły ją w gardło. Ścisnęła

kurczowo pasek torebki, w której wciąż tkwił zwinięty w rulon wydruk.

Mapa, mapa, mapa.

Po jej głowie kołatało się już tylko to jedno słowo – w rytmie, który przypominał stukot kół pociągu. Mapa. Nie potrafiła go odegnąć ani wyciszyć, podobnie jak poczucia, że kolejny już raz kogoś zawiodła.

– Antoni – wyszeptała niemal bezgłośnie.

Mapy nie zawsze pomagają się odnaleźć, tłumaczyła w duchu sobie i jemu. Mapy czasem zawodzą...

Nagle poczuła brutalne szarpnięcie, które na chwilę wytrząsnęło z jej głowy większość myśli i zablokowało oddech. Taksówka zahamowała gwałtownie.

– Cholerne ptaszyska – syknął rozeźlony kierowca, a oszołomiona Julia zobaczyła dwa szare gołębie podrywające się z ulicy. Jeden z nich uderzył skrzydłem w boczną szybę samochodu, od strony, gdzie siedziała. Przestraszona patrzyła za nim z obawą, że zrobił sobie krzywdę, ale niepotrzebnie. Oba ptaki odleciały, a ona raz jeszcze rozejrzała się nerwowo i wtedy poczuła w żołądku bolesny skurcz.

– Proszę się tutaj zatrzymać! – krzyknęła do taksówkarza, który zdążył już ruszyć i, chcąc nadrobić stracony czas, jeszcze bardziej przyśpieszył.

– Ale do dworca stąd jeszcze kawał drogi – oponował.

– Prosiłam, żeby pan się zatrzymał – powtórzyła z naciskiem, trzymając już w pogotowiu pieniądze. – Zapłacę panu za cały kurs.

Rzuciła mu banknot na przednie siedzenie i wyskoczyła z taksówki. Nie zważając na niezrozumiałe już dla niej krzyki kierowcy, pobiegła przed siebie. Jednak nie na oślep, choć takie miała wrażenie. Wiodła ją powieściowa mapa i szemrzący gdzieś na dnie świadomości znajomy głos, który nie pozwalał jej się zatrzymać.

Skręciła w wąski przesmyk między dwiema posesjami otoczonymi bezlistnym żywopłotem, a potem w kolejną, niedbale odśnieżoną ulicę. Przecięła ją na skos i wpadła w następną. Minęła trzy przecznice, skręciła dopiero w kolejną – bez wahania i chwili przystanku, nawet tylko dla nabrania tchu. Zdyszana i zlana potem zwolniła w momencie, gdy zdała sobie sprawę, że jest już blisko. W końcu zatrzymała się przed jednym z parterowych domów, gdzie w oknach paliły się wszystkie światła, a na krawędzi zadaszenia werandy migotały świąteczne lampki.

Dokładnie tak, jak wtedy, gdy powinna pozwolić mu zostać, kiedy ją o to prosił. Pragnął jedynie dokończyć ubieranie choinki ze swoimi braćmi i ojcem, zafascynowany błyszczącymi ozdobami wyjmowanymi z zakurzonych kartonowych pudeł. Widziała wówczas, jak zachłannie wyciąga rączki, chwytając delikatne kolorowe bombki i turla beztrudnie po podłodze. Jak zanurza paluszki w puchatych łańcuchach albo z uśmiechem niedowierzania potrząsa szklanymi dzwoneczkami. Znowu słyszała, jak się śmieje, odsłaniając drobne ząbki, podobny

do pyzatyh aniołków z gipsu i miękkich bałwanków z waty z doklejonymi filcowymi noskami i guzikami, które na szkolnych zajęciach zrobił jeden z jego starszych braci. Czują jego nadal niemowlęcy zapach, który wcale się nie ulotnił, choć minęło ponad dwa lata od jego narodzin.

Przed oczami Julii przewijały się kolejne sceny sprzed dokładnie trzech lat, jak dawno nieoglądany, ale dobrze znany film. Scenariusz wymyślonej przyszłości, który spoczywał teraz w jej torebce, miał nauczyć ją żyć od nowa, już osobno. Nadal nie zrealizowało się jego zakończenie i nie wiadomo było, czy tak się stanie, ale początku nie dało się już zmienić.

Tamto już się wydarzyło i zapadło jej w pamięć na zawsze.

Widziała wszystko bardzo wyraźnie. Dużą zieloną choinkę, pudełka z ozdobami przyniesione ze strychu, podekscytowane dzieci i ich ojca starającego się nad wszystkim zapanować. Podniósł na nią nieco zamglony wzrok, gdy stanęła w progu pokoju i zawołała najmłodszego syna.

– Zostaw go, damy sobie jakoś radę. – W jego głosie pobrzmiwało zmęczenie.

Miał prawo tak się czuć. Od wielu tygodni wyręczał ją we wszystkim, ponieważ bez wytchnienia pracowała nad najnowszą powieścią. Bardzo ważną, być może przełomową w jej karierze. Ostateczny termin przesłania jej do wydawcy zbliżał się nieubłaganie, a ona wciąż miała nienapisany cały długi rozdział – ostatni, więc najistotniejszy. Zabierała się do niego wielokrotnie, jednak im bardziej się starała, tym gorzej jej szło. Głównie z powodu wiszącego nad jej zmęczoną głową widma zbliżających się świąt i nieznośnej myśli, że powinna zająć się przygotowaniami. To było przecież jej zadanie, od zawsze. Dlatego czuła się coraz bardziej poirytowana, mimo że starała się tego nie okazywać.

– Przygotuję pyszną wigilijną kolację – zapewniała, myśląc jednocześnie, że przecież nie zrobiła zakupów, mimo że sama się do tego zobowiązała, gdy mąż proponował, że ją wyręczy. Nie chciała go dodatkowo obciążać. Niestety zakupy szybko zeszły na dalszy plan, a potem całkiem wypadły jej z głowy, tak jak wiele innych domowych spraw. Całą jej uwagę przejęła nowa powieść i perspektywa związanego z nią wydawniczego sukcesu.

W Wigilię już od bladego świtu nerwowo przebierała palcami po klawiaturze komputera, coraz rzadziej spoglądając na zegarek. Bała się, że wena, która nieoczekiwanie wróciła, znów ją opuści. Musiała wycisnąć ją do ostatniej kropelki, jeśli chciała skończyć powieść na czas. Pracowała bez wytchnienia kilka godzin. Z twórczego amoku ocknęła się dopiero, gdy usłyszała dźwięk tłukącej się bombki i buntownicze krzyki swoich synów.

– Przypilnuję ich. – Jej mąż cierpliwie zbierał kawałeczki cieniutkiego szkła, przytrzymując jednocześnie najmłodszego synka, który usiłował mu pomóc, by nie pokaleczył się odłamkami. Starsi w tym czasie z lekko oburzonymi minami



zgodnie rozplątywali łańcuchy zmierzwione pewnie również przez młodszego brata. – Ty przecież musisz zająć się kolacją.

– Jasne, jak wolisz. – Kiwnęła z roztargnieniem głową i znów spojrzała na zegarek.

Już niebawem zamykano ostatnie sklepy. Miała nadzieję, że mimo to zdąży kupić coś, co da się szybko przygotować. Jakies pierogi, uszka, gotową rybę po grecku, sałatkę ze śledzi, barszcz czerwony w kartonie albo butelce, może krokiety z kapustą i grzybami. A na deser sernik albo makowiec lub cokolwiek innego. O ile oczywiście wszystko nie zostało wykupione, pomyślała ze strachem i przełknęła nerwowo ślinę.

Usiłując nie tracić nadziei i przede wszystkim czasu, narzuciła na ramiona płaszcz i zasunęła zamek w kozakach. Zanim wyszła, zajrzała do salonu. Jej rezolutny mały synek dobierał się właśnie do kolejnych szklanych ozdób, korzystając z tego, że nikt nie zwraca na niego uwagi, ponieważ starsi bracia rozwieszali z ojcem lampki, asekurując go i podpowiadając, które gałązki zostały pominięte.

– Zabiorę go ze sobą – zdecydowała głośno. – Nie będzie wam przeszkadzał.

– Nie chcę! – Usta dziecka wygięły się w podkówkę. – Ty idź, a ja tu na ciebie zaczekam. Z tatą. Będę już grzeczny, obiecuję.

– Kochanie, właśnie stłukłeś moją ulubioną bombkę z aniołkiem. Lepiej, żebyś nie dotykał innych – powiedziała, ciągnąc go już za sobą, mimo że wrywał się jej, jak tylko mógł. – Musimy jeszcze przygotować wigilijną kolację. Pomożesz mi, skarbie, prawda? Zrobimy tylko szybciutko zakupy, a kiedy wrócimy, choinka będzie ubrana. Wtedy zobaczysz, jaka jest piękna.

Pogoda nie była najlepsza, więc mimo że jej się spieszyło, jechała wolno. Usiłowała też zapanować nad nerwami i uspokajała łagodnie nieustannie płaczące dziecko, jedną ręką wycierała od czasu do czasu spływające po jego policzkach łzy. Odetchnęła z ulgą, gdy synek w końcu trochę się uspokoił, i pochyliła się lekko, chcąc pocałować rączkę, którą do niej wyciągał.

Niestety nie zdążyła.

Nadal przechowywała w głowie i uszach tamten huk, wciąż miała przed oczami maleńkie, blade i nieruchome paluszki. Już nigdy ich nie pocałowała...

– To nie była twoja wina. Według policji kierowca tamtego samochodu zasnął i zjechał na twój pas. Nie mogłaś nic zrobić... – Słyszała potem milion razy od każdego, kto siadał przy jej szpitalnym łóżku.

– Nieprawda – odpowiadała tylko w myślach, gdyż plastikowa rurka kneblowała jej usta. – Mogłam pozwolić mu zostać. Chciał przecież tylko pomóc ubrać choinkę...

Zacisnęła oczy i otworzyła je na nowo.

Nie była w stanie odkleić wzroku od gładkiego śnieżnego całunu, który przykrywał niczym białe prześcieradło prostokątny trawnik przed domem. Stał się idealnym tłem dla projekcji jej wspomnień, gdy całkowicie przejęły nad nią kontrolę. Dlatego nie zauważyła, kiedy w jednym z okien niespodziewanie zgasło światło. Ani tego, że drzwi prowadzące na werandę uchylły się. Dopiero na dźwięk skrzypiącego śniegu podniosła wzrok, przestraszona. Zobaczyła postać zmierzającą w jej stronę. Niestety było już za późno na ucieczkę.

– Proszę, zostań! – Usłyszała stłumiony chrypką krzyk, gdy oderwała ręce od furtki i cofnęła się kilka kroków. – Nie uciekaj już.

Została, ponieważ, sparaliżowana lękiem, nie była w stanie zrobić nawet kroku. Znów zacisnęła oczy. Chwilę potem poczuła, jak ją obejmuje. Nie broniła się. Pozwoliła, by otarł z jej twarzy łzy i przycisnęła policzek do jego swetra. Przez długą chwilę trwali w milczeniu przytuleni, w końcu on nachylił się do jej ucha.

– Chodźmy. Oni tam na ciebie czekają – wyszeptał.

– To niemożliwe – odparła, nadal nie patrząc mu w oczy.

Chwycił ją za podbródek i zmusił, by na niego spojrzała.

– Od dnia, w którym zniknąłeś, każdego wieczoru wyglądaliśmy przez okno, żeby sprawdzić, czy już wracasz. Dziś również. Prosiłiśmy wszyscy, by pierwsza gwiazdka spełniła nasze życzenie. I wreszcie to zrobiła.

– To nie gwiazdka, tylko jeden z moich aniołów.

Pochwycił jej rękę i przyciągnął do swoich ust.

– Anioły nigdy się nie mylą – szepnął, ogrzewając jej zziębnięte palce oddechem. – Dobrze, że posłuchałaś tego, który nad tobą czuwa. Już czas, byś zrobiła kolejny krok.

– Ale przecież dzieci... Nie mam... Nie mam dla nich prezentów – załkała cicho. – Zostawiłam je. Nie mam nic.

– Masz ich i mnie, a oprócz nas twoją matkę, która jak co roku przygotowała dla ciebie nakrycie przy wigilijnym stole. Cały ten czas wierzyła, że wreszcie przy nim siądziesz, podobnie jak my – odparł spokojnie, prowadząc ją powoli w stronę uchylonych drzwi. – Nasi chłopcy wcale nie czekają na prezenty, pragną tylko odzyskać mamę. Prosiłi o to we wszystkich listach, chcieli, bym je wysłał... Nie, nie do Świętego Mikołaja, tylko do ciebie. – Pokręcił głową, gdy otworzyła usta. – Nie wiedziałem, jak im wytłumaczyć, że nie mogę.

– To dlatego, że pisali do mamy, która wcale nie była w niebie. Nie mieli anielskiego pióra – dokończyła bezwiednie, przypomniawszy sobie inny list, ten, dzięki któremu była tu teraz. – W przeciwnym razie listy pewnie dotarłyby, wszystkie.

– Twoje miejsce jest tutaj. Zawsze było.

Mówiąc to, otworzył drzwi, a na jej ściągniętą niepewnością twarz padł snop złotawego światła. Zmrużyła oczy i wstrzymała oddech, czując, jak zbyt

gwałtownie wciągnięty haust ostrego zimowego powietrza więźnie jej w płucach i wbija się w nie tysiącem lodowych igiełek. Jednak tym razem trwało to tylko chwilę, bo zaraz potem wszystkie naraz zaczęły topnieć, ogrzane nowym ciepłem. Biło od uśmiechu matki czekającej w progu i drobnych dziecięcych ramion, które otuliły ją, zanim zdążyła zdać sobie sprawę z ich obecności i przygotować się na ich przyjęcie. Zaskoczona zachwiała się lekko, gdy dwie jasne chłopięce głowy przylgnęły mocno do jej drżącej od płaczu piersi.

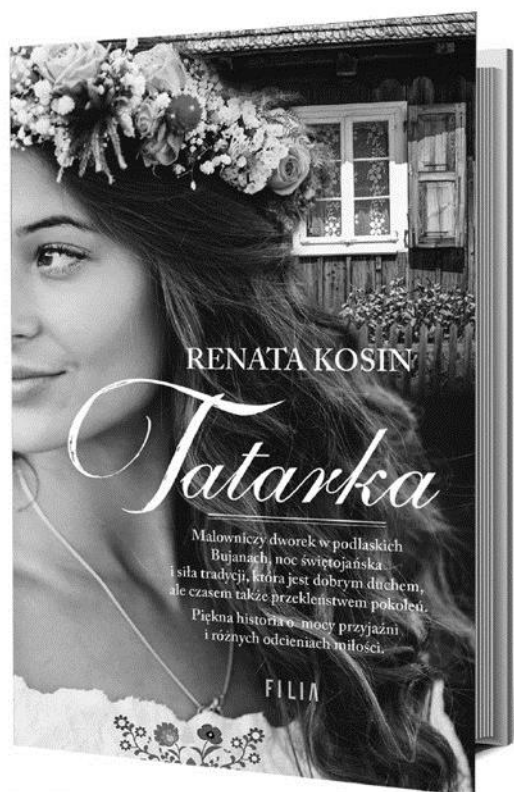
Objęła je gwałtownie i żarliwie, patrzyła, jak skapują na nie jej własne łzy.

Oto wydarzył się cud, o którym dotąd nie śmiała marzyć, wierząc, że nie ma nawet do tego prawa. Tymczasem ostatnia strona jej powieści, spisana pod dyktando najlepszego przyjaciela, przeobraziła się w rzeczywistość. Królowa Śniegu odeszła na zawsze, dzielny ołowiany żołnierz dołączył do swojej ukochanej, a dziewczynka z zapalkami, która dotąd mieszkała w Julii, umarła, by narodzić się na nowo już poza światem zamkniętym w szklanej śniegowej kuli i po drugiej stronie okna, w które wcześniej mogła jedynie patrzeć z tęsknotą i nie do końca uświadomioną nadzieją.

I chociaż na zewnątrz nadal trwała śnieżna zamieć, a niebo zakrywała gęsta warstwa chmur, to jednak tam, gdzie było ciepło i bezpiecznie, pozostawało tylko uwierzyć, że w końcu zajaśnieje długo wyczekiwane światło i jakiś zatroskany anioł zgubi wreszcie jedno ze swoich magicznych piór.

*grudzień 2016 roku*

[3] Fragment wiersza Czesława Miłosza pt. *Baśń wigilijna*.



# Tatarka

Malowniczy dworek w podlaskich  
Bujanach, noc świętojańska  
i siła tradycji, która jest dobrym duchem,  
ale czasem także przekleństwem pokoleń.

Piękna historia o mocy przyjaźni  
i różnych odcieniach miłości.

FILIA

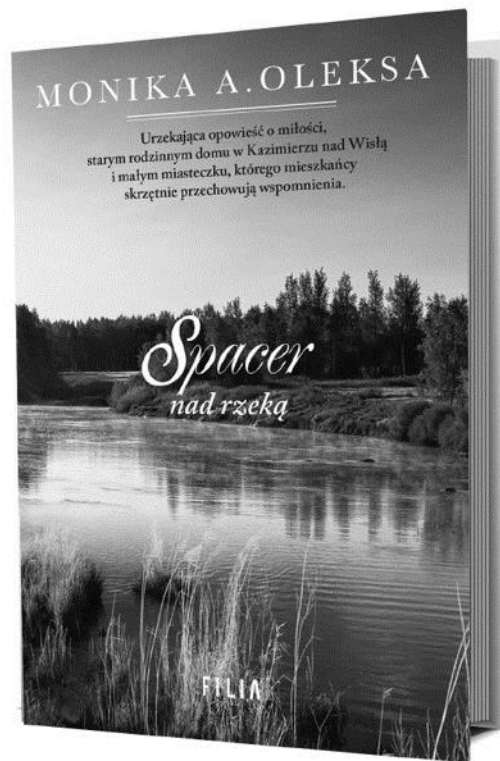


# *Cuda i cudenka*

---

*W małym, sennym miasteczku  
tylko na pozór niewiele się dzieje...*

**FILIA**



# *Spacer nad rzeką*

Urzekająca opowieść o miłości,  
starym rodzinnym domu w Kazimierzu nad Wisłą  
i małym miasteczku, którego mieszkańcy  
skrzętnie przechowują wspomnienia.

**FILIA**

## SPIS TREŚCI

---

Okładka

Karta tytułowa

Cytat

1.

2.

3.

- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.
- 19.
- 20.
- 21.
- 22.
- 23.



24.

25.

26.

Reklama 1

Reklama 2

Reklama 3

Karta redakcyjna

Copyright © by Renata Kosin, 2017

Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2017

Projekt okładki: Olga Reszelska

Fotografia na okładce: © Elisabeth Ansley / Trevillion Images (postać)  
© Kichigin/Shutterstock (tło)

Redakcja i korekta: SEITON, [www.seiton.pl](http://www.seiton.pl)

Skład i łamanie: Graphito, [www.graphito.pl](http://www.graphito.pl)

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-362-4

# FILIA

Wydawnictwo Filia

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

RENATA KOSIN

Czy jeśli straciłaś wszystko,  
masz jeszcze szansę, aby zacząć od nowa?

*Aleja  
Siódmego Anioła*

FILIA

